

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*  
**PARYŻ**      **Nr 4/559**      **1994**

---



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

R. SURMACZ: **OPOLSZCZYŻNA**

J. HUCZKOWSKI: **HISTORIA I SKUTKI  
PEWNEJ POLITYCZNEJ DOKTRYNY**

L. UNGER: **KRET W JAGUARZE**

K. WOLICKI: **PÓŁTONY**

WI. BOLECKI: **KSIĄŻKA DLA NAGRODY**

## SPIS RZECZY

Ryszard Surmacz:	<i>Opolszczyzna</i> .....	3
Jerzy Huczowski:	<i>Historia i skutki pewnej politycznej doktryny</i> .....	17
<b>WIERSZE</b>		
Adam Tadeusz Bąkowski:	<i>Brzozy</i> .....	27
Tadeusz Chabrowski:	<i>Brat Franciszek do siostry Klary</i> .....	28
Mirosława Kruszewska:	<i>Początek</i> .....	28
Florian Śmieja:	<i>Festina</i> .....	29
<b>ARCHIWUM POLITYCZNE</b>		
Leopold Unger:	<i>Kret w Jaguarze</i> .....	31
<b>KRAJ</b>		
Krzysztof Wolicki:	<i>Półtony</i> .....	47
Ewa Berberysz:	<i>Kartki ze skażonej strefy</i> .....	54
SMECZ:	<i>Z ukosa</i> .....	61
<b>SPRAWY I TROSKI</b>		
Jolanta Rokoszowa:	<i>Polski pidgin</i> .....	72
Leszek Szaruga:	<i>Znasz-li ten kraj?</i> .....	78
<b>SĄSIEDZI</b>		
Adam Kruczek:	<i>Notatki rosyjskie</i> .....	81
Bohdan Osadczyk:	<i>Ukraina 1994 — wolność i chaos</i> .....	86
Andrzej Stach:	<i>Kronika niemiecka</i> .....	93
<b>CI, CO ODESZLI</b>		
Paul Latawski:	<i>Kazimierz Smogorzewski</i> .....	97
Piotr Daszkiewicz:	<i>Bolesław Hryniewiecki</i> .....	99
<b>KSIĄŻKI</b>		
Włodzimierz Bolecki:	<i>Książka dla nagrody</i> .....	105
Maria Danilewicz Zielińska:	<i>Odstanianie przeszłości</i> .....	112
Andrzej Dobosz:	<i>Karta</i> .....	116
M. Broński:	<i>„Inna Rosja” w Krakowie</i> .....	120
Teresa Halikowska-Smith:	<i>Nowa Europa Wschodnia w oczach Zachodu</i> .....	123
Ryszard Löw:	<i>„...bo oni wszyscy żyją we mnie...”</i> ..	127
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i> .....	132
Fundusz Pomocy Niezależnej Literaturze...:	<i>Komunikat</i> .....	134
<b>NOTATKI REDAKTORA</b> .....		
<b>POLEMIKI</b>		
Aldona Chojnowska:	<i>O stosunkach polsko-ukraińskich bez katastrofizmu</i> .....	140
Bohdan Osadczyk w odpowiedzi A. Chojnowskiej:	<i>Stosunki polsko-ukraińskie</i> .....	146
Z.P. Zagórski:	<i>Odpowiedź na list p. M. Dakowskiego</i> ..	149

Ciąg dalszy SPISU RZECZY na str. 160

# KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Kwiecień-Avril

1994

**INSTYTUT**



**LITERACKI**



## WPLĄTY NA FUNDUSZ «KULTURY»

N. i C. Barakońscy, Sherman Oaks, CA (USA), po raz 24-ty — dol. 21,00 .....	F.	122,00
Stefan J. Giniiewicz, Bakersfield, CA (USA), po raz 16-ty — dol. 25,00 .....	F.	145,00
Dr Jacek Jędruch, Summit, N.J. (USA), po raz 20-ty — dol. 21,00 .....	F.	122,00
Dr Stanisław Judek, Ottawa (Kanada), po raz 18-ty — dol. can. 100,00 .....	F.	430,00
Maciej Kołaczkowski, pełnomocnik podziemnej organizacji KPK w Warszawie, przekazuje pozostałość z darów nadchodzących z zagranicy w okresie stanu wojennego (m.in. i z Funduszu „Kultury”) równającą się sumie .....	F.	27.318,00
Pamięci Marii Wasung w pierwszą rocznicę Jej śmierci, Córka — Fr.szwaj. 100,00 .....	F.	400,00
Irena i Andrzej Pleszczyńscy, Santa Barbara, CA (USA), po raz 25-ty — dol. 189,00 .....	F.	1.096,00
Romuald A. Quas de Penno, po raz 13-ty — dol. 26,00 .....	F.	150,00
Michał Sienko, South River, N.J. (USA), po raz 18-ty — dol. 10,00 .....	F.	58,00
Zamiast kwiatów na grób naszego przyjaciela, Jana Halperna — w pierwszą rocznicę Jego śmierci — Maria Strelcyn z Rodziną .....	F.	100,00
Adela i Władysław Żeleńscy, Paryż, dla uczczenia pamięci zmarłej 7 marca 1994 w Orsay (Francja) Zofii Straszewskiej, nieodżałowanej przyjaciółki, zasłużonej w pracy społecznej we Francji, pod okupacją niemiecką czynnej na czołowym stanowisku w wydziale Informacji BIP w Komendzie Głównej AK .....	F.	500,00
●		
Jan Zalewski, Chester (W. Brytania) — na pomoc dla Polaków w Rosji — £ stg. 20,00 .....	F.	172,00

DZIĘKUJEMY

## Opolszczyzna

Polska Ludowa po przeprowadzonej weryfikacji nie wykazywała obecności Niemców na Górnym Śląsku. W Niemczech natomiast mówiło się o milionowej mniejszości niemieckiej w Polsce. Można powiedzieć, że sytuacja patowa trwała aż do 24 czerwca 1990 r., kiedy to w *Polityce* ogłoszono, że „...Niemcy u nas... są!”. Rewelacja ta wywołała oburzenie zwłaszcza wśród byłych członków Związku Polaków w Niemczech. W rok później deklarację tę rozszerzono w traktacie polsko-niemieckim na „mniejszość niemiecką”, bez interpretacji samego pojęcia. Powstała więc taka sytuacja, że według wspomnianego traktatu Niemcem w Polsce może być kto chce, w Niemczech natomiast ten, kto spełnia m.in. warunki artykułu 116 Konstytucji RFN. Dziś nikt nie jest w stanie policzyć ilu jest Niemców na Górnym Śląsku. Johan Kroll (założyciel opolskiej mniejszości niemieckiej) w 1990 r. twierdził, że „jest nas 400 tys., ale ile jeszcze w Polsce pozostało?”. Dziś opolska mniejszość liczy 182 tys. członków zarejestrowanych, na około 300 tys. rodzimej ludności śląskiej. Hubert Hupka podaje, że 800 tys., Dietmar Brehmer, że 700 tys. Natomiast Instytut Śląski w Opolu rdzennych Niemców zamieszkałych na Opolszczyźnie szacuje na 3-5 tys. O co chodzi?

Wątpliwości rozwiązał prof. Franciszek Antoni Marek z opolskiego WSP pisząc, że: „Wśród podpisujących listę pana Krolla nie ma zapewne ani jednej osoby, która do trzeciego roku życia nie modliła się... «Aniele Boży, stróżu mój», bez względu na to do jakiej szkoły chodziła” („Tragedia górnośląska”, Opole 1989). Powiedział też, że: „polskość i niemieckość na Śląsku ma swoją cenę. Różnica jest taka, że za



polskość płaci Ślązak a za niemieckość płacą Ślązakowi". Ruch niemiecki na Opolszczyźnie jest wybitnie śląski i ma charakter antagonizmu śląsko-polskiego. Korzenie jego sięgają okresu plebiscytowego, międzywojennego i powojennego, kiedy to Polska przysłała do pozostałej części Ślązaków. Zupełnie inna Polska.

Skąd jednak na Śląsku Opolskim wzięło się tylu Niemców? Bezpośrednią przyczyną okazał się artykuł 116 Konstytucji niemieckiej i obietnica Związku Wypędzonych, że po powrocie Śląska do Niemiec wszystkim będzie dobrze. Powstał w ten sposób „polski bałagan” za sprawą niemieckiego prawa. Rzecz jednak, jak zwykle na pograniczach kulturowych — nie ważne faktycznych czy socjohistorycznych, jak Górny Śląsk — ma swój naturalnie dłuższy rodowód.

### *Powrót Śląska Opolskiego do Polski*

Od wiosny 1945 Opolszczyzna zaczęła się coraz bardziej zaludniać. Wracali tu do swych domów niedawni uciekinierzy: Ślązacy i Niemcy. W kwietniu przybyły pierwsze transporty ekspatriantów ze wschodu. Śląsk Opolski, jako byłe terytorium Niemiec, nietknięte dotychczas wojną, stał się często areną wyrównywania krzywd i miejscem uzupełniania straconego podczas wojny mienia. Ludzi ciągle przybywało a weryfikacja i wysiedlenia przeciągały się. Tworzył się bałagan. Na tym tle doszło do organizowania obozów przesiedleńczych (ale to osobny problem).

Świat na Opolszczyźnie oglądany był z dwóch stron: z perspektywy tych, którzy zostawali i tych, którzy przybyli. Dla ludności rodzimej to, co działo się wokół nich, było przede wszystkim grabieżą. Sowietci wywozili głównie fabryki, polscy szabrownicy mienie użytku codziennego. Zdarzały się też przypadki karygodne. Na przykład przedstawiciel polskiej władzy ludowej na oczach rodziny śląskiej potrafił podrzeć dokument zaświadcający polskość tej rodziny; czy sąd, który nie uznał dokumentów potwierdzających udział w powstaniu śląskim. Z milicjantem można było też „załatwić” wysiedlenie bogatego Ślązaka do obozu po to, by zająć jego gospodarstwo. Tak było do czasu, kiedy przynależność państwowa Opolszczyzny nie została ostatecznie przesądzona.

Temperaturę po stronie polskiej podsycały tu i ówdzie działające bandy Wehrwolu i niemiecka propaganda głosząca rychły powrót Niemiec na utracone tereny. Nieufność a przez

to i chęć odwetu rosła. Sytuacja była bardzo niestabilna: osadnicy zza Bugu żyli zwykle chęcią powrotu na swoje, ale jednocześnie zadawali sobie pytanie dokąd pójdziemy, jeżeli nas stąd wygonią; ludność rodzima: co będzie dalej i pod kim teraz będziemy; powracający na Śląsk członkowie Komunistycznej Partii Niemiec (KPD) zakładali swoje komórki i organizację „Wielkie Niemcy” a niemieccy optymiści kompletowali władze administracyjne (np. w Lewinie Brzeskim; Z. Kowalski, „Powrót Śląska Opolskiego do Polski”, Opole 1988).

W takich warunkach katolicki Śląsk Opolski wracał do komunistycznej Polski. Dla Ślązaka-Polaka był to szok, dla Ślązaka o opcji niemieckiej potwierdzenie polskiego barbarzyństwa, dla obojętnego narodo- kolejna zemsta na słabszym. PRL zamiast niwelować niekorzystne wrażenie, podsycała jeszcze wzajemną nieufność. Ponadto, jak twierdzi prof. F.A. Marek, w dostępie do władzy preferowani byli członkowie przedwojennej KPD negatywnie ustosunkowani do powstań śląskich. Tak było jeszcze w kilkanaście lat po zakończeniu wojny. Powstańców gnębiono i zamykano. To wszystko szło na polski rachunek.

Wykształceni Ślązacy rozumieją, że to co działo się w PRL było wbrew woli Polaków, przeciętni — nie, bo innej Polski nie znali. Ci ostatni nie mogli nawiązać kontaktu i zamknęli się w sobie.

### *Ślązak na rodzinnej ziemi opolskiej*

Z badań socjologicznych przeprowadzonych w 1990 r. przez Instytut Śląski w Opolu wynika, że 65 % badanych opowiedziało się jako Ślązacy, 3,5 % jako Polacy, 7 % skłaniało się ku polskości, 25 % ku niemieckości, z tego 10 % opowiedziało się jako Niemcy. 32 % badanych uznało mniejszość niemiecką jako reprezentanta swoich interesów.

Wśród badanej młodzieży 62,7 % używa ciągle gwary śląskiej, czasem — 24 %, a 8,3 % nie używa w ogóle. W 1990 r. 68,5 % uważało, że ma swoją ziemię rodzinną, 53,8 % powiedziało, że jest nią miejscowość i okolice, 10,5 % oceniło, że nie posiada ziemi rodzinnej a 18,4 % że trudno powiedzieć. 14 % za rodzinną ziemię uznało Śląsk Opolski, 14,7 % Śląsk, Polskę — 1,9, RFN — 0,6 %.

Na pytanie gdzie chciałbyś mieszkać po ukończeniu szkoły: rodzinna miejscowość — 37,7 %, RFN — 13,2 %, nie



wiem — 14,9% a 10,1% że nie ma takiego miejsca, brak odpowiedzi — 10,1%. Wśród ludności śląskiej przeważa wykształcenie podstawowe i zawodowe — 84%, średnie 12%, wyższe 3,3%. 90% badanej populacji śląskiej zajmuje taką samą pozycję w polskiej strukturze społecznej, jak poprzednia generacja w społeczeństwie niemieckim. (Wszystkie dane za D. Berlińska, *Przegląd Zachodni* 1990 nr 2).

Dziś na Opolszczyźnie panuje przekonanie, że w gminach zamieszkałych zwarcie przez mniejszość niemiecką, Polska — plebiscyt — przegrałaby.

Na pytanie skąd się wzięli Niemcy na Górnym Śląsku odpowiedział też Stanisław Bieniasz: przyczyną było nieuznanie śląskości Ślązaków (w Prusach brzmiałoby to polskości Polaków). Powstała więc sytuacja taka, że Ślązacy nie mogą nie uznać mniejszości niemieckiej, dzięki której zaistnieli a jednocześnie nie mogą się od niej odseparować bo ponownie zostaną bezimiennymi Polakami. Przynieśli Polsce Śląsk i nic z tego nie mają — są o tym przekonani. Droga więc liderów do niemieckości Śląska Opolskiego bez polskiej alternatywy, może okazać się jedyną z możliwych, ponieważ Polacy co najmniej od 20 lat pracują na niemiecką korzyść (łączenie rodzin, paczki, marki, brak zrozumienia dla specyfiki śląskiej), polską pozostawiając na ugorze. W rezultacie Polacy nie rozumieją ani swojej polityki, ani tym bardziej reakcji Ślązaków... Mimo to trudno uznać drogę wybraną przez liderów mniejszości niemieckiej za skutek powojennej polityki polskiej. Ich kreacja w przeważającej mierze jest koniunkturalna. A polityka dla Ślązaka zawsze oznacza klęskę. Wolę zrozumienia mogą wykazać tylko Polacy żyjący na podobnym poziomie materialnym.

Sytuację prawną mieszkańców Opolszczyzny określają traktaty polsko-niemieckie, ale też nie do końca. Art. 20 traktatu z 17.06.91 r. mniejszość niemiecką w Rzeczypospolitej Polskiej interpretuje jako: „Osoby posiadające obywatelstwo polskie, które są niemieckiego pochodzenia albo przynależą do kultury, języka lub tradycji niemieckiej”. W Niemczech mniejszości polskiej nie przewidziano: są osoby posiadające obywatelstwo niemieckie polskiego pochodzenia.

Art. 116 ustawy zasadniczej RFN mówi: „Niemcem w rozumieniu niniejszej ustawy zasadniczej, z zastrzeżeniem odmiennej regulacji ustawowej, jest każdy, kto posiada nie-

miecką przynależność państwową lub jako uciekinier, albo wypędzony narodowości niemieckiej lub też jego współmałżonek albo potomek znalazł przyjęcie na obszarze Rzeszy Niemieckiej wg stanu z 31.12.1937 r.”.

Oznacza to, że ludność autochtoniczna, pomimo traktatów uznających granicę na Odrze i Nysie, posiada nadal obywatelstwo niemieckie i ustawowo należy do Niemiec, wbrew woli państwa polskiego.

Prawnego doboru mniejszości narodowych wg art. 116 prawo międzynarodowe nie akceptuje. Dlaczego więc na jego podstawie stwarza się fakty dokonane?

Polska poruszając w traktacie sprawę mniejszości umiędzynarodowiła ten problem. Rząd Hanny Suchockiej udawał, że jest on sprawą regionalną, gdy w rzeczywistości Opole jest stolicą stosunków polsko-niemieckich. Rozmowy w ministerstwie kończyły się sakramentalnym: — No, załatwcie tam to jakoś (czyli róbcie, jak uważacie i uważajcie, jak robicie). Rząd Waldemara Pawlaka nie zdążył się jeszcze wypowiedzieć w tej sprawie.

### *My chcemy być Niemcami*

Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Mniejszości Niemieckiej na Śląsku Opolskim (TSKMN) Sąd Wojewódzki zarejestrował 16.02.1990 r. Fakt ten przyjęty został przez stronę polską bez większych obaw a nawet z pewną nadzieją na pozytywne ułożenie stosunków polsko-niemieckich. W trzy lata później (31.07.1993) Sąd Apelacyjny we Wrocławiu zatwierdził zmianę nazwy TSKMN na Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Niemców (TSKN). Ta zmiana przyjęta została z dużą rezerwą.

Od lutego 1990 do lipca 1993 r. minęło dwa i pół roku, podczas których w dużym pośpiechu wskrzeszono ślady materialnej ale też i duchowej kultury niemieckiej — najgorszego wymiaru. Okres ten upłynął pod hasłem „My chcemy być Niemcami”.

Województwo opolskie jest ósmym pod względem wielkości województwem w Polsce. Posiada 29 miast, 914 wsi i 1.050 tys. mieszkańców. 2/3 spośród nich stanowi ludność napływowa, 1/3 rdzenna ludność rodzima. TSKN jest najbliższą organizacją w regionie. W wyborach samorządowych uzyskało absolutną większość w 26 gminach. (Członkami TSKN jest 16 burmistrzów i wójtów). Posiada także liczną



reprezentację w sejmiku samorządowym. Na terenie województwa działa ponad 300 kół terenowych. W Sejmie przedostatniej kadencji TSKMN reprezentowało 7 posłów i jeden senator — najliczniejsza reprezentacja mniejszościowa w Europie, a może nawet w świecie. W ostatnich wyborach parlamentarnych na listę niemiecką głosowało 60 tys. osób. Na dwóch senatorów o 30% więcej. Aktualnie mniejszość niemiecką na Opolszczyźnie reprezentuje trzech posłów i jeden senator. Czwarty poseł wybrany został z województwa katowickiego. (Mniejszość katowicka liczy około 10 tys. członków).

Na Śląsku Opolskim działają w zasadzie dwie organizacje mniejszości niemieckiej: wspomniany TSKMN i Związek Młodzieżowy Mniejszości Niemieckiej R.P. w Opolu. Natomiast w ramach struktur mniejszości zalegalizowano: Związek Niemieckich Stowarzyszeń Społeczno-Kulturalnych w Polsce, Fundację Rozwoju Śląska, Związek Rolników Śląskich, Spółdzielnię „Śląski Reiffeisen”, Aqua Silesia, Silesia Press, Niemiecka Izba Gospodarcza i kilka mniej znaczących organizacji. Dotacji nikt nie jest w stanie policzyć. Wiadomo tylko, że mniejszość na Opolszczyźnie otrzymała od rządu bońskiego około 20 mln marek. Działają też inne organizacje, jak Związek Górnośląski, Związek Górnoślązaków, Konwersatorium im. J. von Eichendorfa. Polską na Opolszczyźnie jest władza i od niedawna powstające organizacje narodowców.

### Z pomnikami w XXI wiek

Po zarejestrowaniu TSKMN w 1990 r. na Opolszczyźnie zaczęły dziać się rzeczy dziwne. Oprócz kwestionowania legalności granicy na Odrze i Nysie i ukazania się 20 kwietnia 1990 r. sygnałnego numeru dwujęzycznego *Oberschlesische Nachrichten — Wiadomości Górnośląskie* (urodziny Hitlera; w tamtym czasie trudno było nie uznać tego za przypadek), w październiku wybuchła pierwsza afera tzw. „16 punktów”. W sposób demonstracyjny wręczono władzom polskim i niemieckim drugi memoriał Centralnej Rady Towarzystw Niemieckich, podyktowany przez BdV. Domagano się: 1. sformułowania gwarancji i statusu niemieckiej grupie narodowościowej (uwzględniono w traktacie), 8. prawa do tworzenia własnych partii lub określonego udziału w już istniejących (jest realizowane), 9. zabezpieczenia własnego przedstawiciel-

stwa parlamentarnego i samorządowego, jak również dostępu do wszystkich funkcji publicznych (jest realizowane), 14. nieograniczenia współpracy między organizacjami Niemców w Polsce i organizacjami wypędzonych w RFN (nie ma przeszkód), 16. zachowania niemieckiego obywatelstwa (paszporty wydaje konsulat we Wrocławiu). Memoriał wywołał wrzenie po obu stronach granicy, ale jego punkty, jak widać są realizowane. Dietmar Brehmer, przewodniczący Niemieckiej Wspólnoty Roboczej „Pojednanie i przyszłość” w Katowicach fakt ten uznał za polityczną arogancję.

W pół roku po podpisaniu traktatu polsko-niemieckiego mniejszość na zebraniu w Ochodzach (14.12.91) przegłosowała zmianę nazwy z TSKMN na TSKN. Opracowano też nowy statut, który był tak samorządny, że nic nie mówił o obywatelstwie polskim członków mniejszości niemieckiej na Opolszczyźnie. Znana też była swojego czasu niechęć Henryka Krolla do zapisu w polskiej konstytucji o identycznej treści (wbrew zapisowi w traktacie). Niby to było tak oczywiste, że nie wymagało zapisu, ale art. 116 istnieje. Sprawa zmiany nazwy dwukrotnie trafiła do Sądu Apelacyjnego we Wrocławiu, który ostatecznie zatwierdził ją wraz z paragrafem 8, który nie mówi, że członkiem TSKN musi być obywatel polski. (Por. traktat art. 20: „Członkowie mniejszości niemieckiej w Rzeczypospolitej Polskiej, to znaczy osoby posiadające polskie obywatelstwo...”) Być może Sąd Apelacyjny we Wrocławiu stanął przed faktem dokonanym, ponieważ wcześniej Sąd Wojewódzki w Katowicach część TSKMN z siedzibą w Raciborzu (przed reformą administracyjną w 1975 r. woj. opolskie) zarejestrował jako TSKN. Termin półroczny na odwołanie do Sądu Najwyższego już minął.

Największego rozgłosu nabrała sprawa pomników z faszystowskimi symbolami: helmy, żelazne krzyże, niemieckie orły i napisy w języku niemieckim np. „Naszym dzielnym bohaterom”, „Naszym dzielnym wojownikom” itp. Pierwszy pomnik ku czci żołnierzy i ofiar cywilnych I i II wojny powstał prawdopodobnie 23 września 1990 r. w Kamieniu Śląskim — poświęcił go ksiądz katolicki. Następne powstawały, jak grzyby po deszczu. Gdy pomnikowe tablice zaczęły pojawiać się na kościołach a liczba pomników w terenie przekroczyła 50, powołano Zespół Negocjacyjny ds. Pomników i Tablic. W jego skład weszli przedstawiciele władz wojewódzkich, Kurii Biskupiej oraz jednorazowo: proboszcz, sołtys i przewodniczący miejscowego koła TSKMN. Komisja rozpoczęła pracę 18 listopada 1992 r.



Trzeciego grudnia tego roku ukazał się komunikat Wydziału Duszpasterskiego: „Przypomina się, że są one nagrobkami ofiar wojen a nie bohaterów wojennych. Mogłyby być też wspólne dla wszystkich tzn. zawierać nazwiska poległych czy pomordowanych z rodzin o nie śląskim rodowodzie (...) Napisy na pomnikach powinny być dwujęzyczne, aby były zrozumiałe dla wszystkich, a cały wystrój pomnika jednoznacznie chrześcijański. Tzn. bez symboliki wojskowej i wojennej (...) Mają one skłaniać żyjących do modlitwy za ofiary wojny i stanowić przestrozę przed jej powtórzeniem”.

Pomniki można by ostatecznie uznać za osobliwość Opolszczyzny, ale do dziewięciosobowej sejmowej Komisji Mniejszości Narodowych i Etnicznych należałoby mieć zaufanie. 20 lutego 1993 dokonała wizji lokalnej a 17 marca miała zebrać się ponownie celem opracowania oficjalnego stanowiska. Do spotkania jednak nie doszło ponieważ jej przewodniczący Jan Piątkowski (zastępcą był pos. H. Kroll) został mianowany na stanowisko ministra sprawiedliwości... i sprawa tak dokładnie ucichła, jak gdyby jej nigdy nie było.

Komisja pomnikowa działała nadal i 24 maja ukazał się jej komunikat. Napisano w nim, że podstawowym celem zespołu było poszukiwanie rozwiązań służących budowaniu spokoju społecznego. Podkreślono też, że zaistniała możliwość wypowiedzenia zadawnionych żalów, pretensji oraz przeprowadzenia głębokiej dyskusji o wartościach podstawowych. Zapisano również, że pomniki powstały jako przejaw nieznanności prawa, jak również braku zrozumienia zła z czasów II wojny. Ten brak zrozumienia był dosłowny: zwykli członkowie mniejszości mówili nie o żelaznych krzyżach lecz o... maltańskich, jeden z nich płakał (!) wołając: — Dlaczego wy tego nie chcecie zrozumieć, to był pogrzeb mojego brata Karlika!!!... inni z kolei, że takie dostawali i że ksiądz je poświęcił.

Liderzy mniejszości, dawni działacze partyjni, legitymują się dyplomami polskich uczelni — nie mogli nie wiedzieć.

Spośród 80 obiektów, 24 nawiązywały wyłącznie do okresu I wojny, 44 następne, które po 1945 „bezprawnie zburzono lub uszkodzono”, zostały odrestaurowane i uzupełnione tablicami z okresu II wojny, co całkowicie zmieniło ich wymowę. Pozostałe 13 wybudowano w latach 1991-92. Komunikat kończy się pojedynczą propozycją wprowadzenia w życie zaleceń zespołu, które w zasadzie pokrywają się z odezwą kościelną.

Może Komitet Helsiński zająłby się nie sprawą obrony mniejszości niemieckiej (ona daje sobie doskonale radę) lecz sytuacją ludności śląskiej, która u siebie we własnym domu zapędzana jest w matnię. Ślązakość krzyże żelazne, niemieckie hełmy i orły nie są potrzebne.

Nie jest to jednak koniec dziwów. Słynny już na całą Polskę i Niemcy sołtys Helmut Georg (dawniej Helmut Jerzy) Wiesiołek, właściciel dyplomu uznania, wydane przez Zarząd Tymczasowego Niemieckiego Wschodu (tymczasowy rząd na emigracji) gościł u siebie w Dziewkowicach grupę z Nationale Offensive. Jej członek Günter Boschitz przyjechał na Opolszczyznę uczyć języka niemieckiego a przy okazji organizować sobie kampanię wyborczą. Wraz z innym członkiem tejże organizacji, nazwiskiem Götz, zamieszkali na Polnej 10. Dla jasności sprawy powiesili hitlerowską flagę. Jak świadkowie twierdzą wisiała przez trzy tygodnie, aż do 2 listopada 1992. Zdjęto ją przed zapowiedzią wizyty polskich *skinhead*ów. Sołtys Wiesiołek przed powstaniem TSKMN udowadniał polskość ziemi śląskiej (Instytut Śląski w Opolu posiada jego prace), po zarejestrowaniu mniejszości niemieckiej zmienia nazwę Dziekwowice na Frauenfeld o/s (nazwa ta funkcjonowała zaledwie kilka lat w okresie hitlerowskim). Do sołtysa Wiesiołka ludzie piszą listy. Napisał też były premier J.K. Bielecki. Powołał się na odbyte kiedyś wcześniej spotkanie i wyraził zdziwienie wobec postępowania sołtysa.

Niedaleko Dziekwowic w Kadłubie koło Strzelec Opolskich miała siedzibę redakcja *Schlesien Report*, wydawanego przez innego skrajnego nacjonalistę Torstena Poprotha. (Wszyscy trzech wymienieni pochodzili z Konstancji). Miesięcznik o jawnie antypolskich treściach ukazywał się przez niemal rok. Wojewoda opolski Ryszard Zembaczyński złożył w końcu wniosek w Prokuraturze wojewódzkiej o delegalizację pisma. Odpowiedź była odmowna, po prostu „zabrakło” paragrafu.

Ponadto: dwujęzyczne nazwy miejscowości zaczynają się pojawiać, jak niegdyś pomniki. Obydwa rządy, polski i niemiecki nie uznają podwójnego obywatelstwa, ale niemiecki paszporty obywatelom polskim wydawane są w Konsulacie wrocławskim. (W polskim też, ale proporcje są nieporównywalne). Konsul niemiecki odwiedza wojewodę opolskiego bez uprzedzenia, po Śląsku Opolskim krążą funkcjonariusze bońskiego MSW bez wiedzy władz administracyjnych. Zdarzyło się, że poseł mniejszości niemieckiej pokazywał na granicy paszport niemiecki. Monopolistą w finansowaniu mniejszości



niemieckiej a jednocześnie pośrednikiem rządu niemieckiego jest BdV, który nie potwierdził traktatów polsko-niemieckich. Można by tak jeszcze dłużej.

Cała tajemnica powstania mniejszości niemieckiej na Opolszczyźnie kryje się zapewne w wypowiedzi przewodniczącego BdV Huberta Czaji na spotkaniu w Wawaerbergu (10-12.X.92). Powiedział: „Do Niemiec nie może wrócić to, co było, ale nie może pozostać tak, jak obecnie jest (...) W rokowaniach wyrównawczych należy co do Niemiec zacząć pertraktacje z punktu wyjścia od granic z 1937 r. — a więc terytorium bez zdobyczy hitlerowskich (...). We wspólnym kompromisie nie może uzyskać jeden 100 % a drugi zero...”.

### *Pierwsze ofiary*

W 1990 r. okazało się do jakiego stopnia Ślązacy byli zamknięci w sobie. Otworzyli się na alternatywę niemiecką, obiecującą potok marek, bo nie mieli polskiej. Otworzyli się w sposób zupełny i bezkrytyczny. Dziś można powiedzieć, że są u siebie: mówią, jak chcą, raz po śląsku, raz po niemiecku, ale dotyczy to tylko starszych ponieważ bardzo wielu młodych po prostu nie ma — wyjechali do Niemiec. Starszym jest ogólnie dobrze, mają możliwość wyjazdu do Niemiec do rodziny a nieco młodszy i silniejszy na zarobek. Domy wypiękniały, choć nie wszędzie, jak mówi sam przewodniczący opolskiej mniejszości Henryk Kroll, Ślązacy ze Śląska Opolskiego siedzą na walizkach. Opolszczyznę w dużej mierze odbudowują przyjezdni. Miejscomi pracują ciężko a za zarobione pieniądze kupują marki i wysyłają je dzieciom do Niemiec. Nie jest to praktyka powszechna, ale też i nie taka rzadka. A miało być odwrotnie. Co będzie jutro?... Smutny jest ten Śląsk Opolski.

Nadzieje wśród Ślązaków rozbudzili Niemcy a Polakom przyjdzie je zaspokoić.

Wyznawcy niemieckości na Opolszczyźnie to przeważnie wąska grupa pokomunistycznych działaczy, którzy spalili już za sobą mosty. Normalni ludzie chcą mieć podwójne obywatelstwo, nie dla politycznych celów lecz z czysto ludzkich pobudek — daje ono korzyści i pozwala normalnie żyć. Nie wiedzą, że ma ono bardzo wymierną cenę, nie wnikają też w szczegóły. To, co już zdobyli, uważają za swoją krwawicę i jakkolwiek uwaga czy krytyka odbierana jest jako bezpośredni atak na podstawę ich bytu. Mieszkająca na Opolszczyźnie

większość jest akceptowana na zasadzie przybyśza, a Polska ustawicznie porównywana z Niemcami... Ale tak to jest, gdy komuś w przeszłości zbyt wiele i często zabierano. Rzecz jednak w tym, że na plecach zwykłych członków mniejszości niemieckiej jadą politycy i politykierzy. Dziś Ślązacy nie zdają sobie sprawy, że kłamstwo aż tak ich dzieli. Gdy przy następnym rachunku dowiedzą się, ponownie zapadną w swoją naturalną izolację.

Dziś już można mówić o pierwszych ofiarach. Pierwszą ofiarą pochopnego traktowania standardów międzynarodowych (obiektywna teoria narodowości), która znalazła jednostronne potwierdzenie w traktacie polsko-niemieckim są właśnie Ślązacy. Zapis, że „przynależność do mniejszości narodowych jest sprawą indywidualnego wyboru osoby”, bez dokładnego zdefiniowania statusu mniejszości narodowych w demokratycznym państwie, jak również samej nazwy, doprowadził do wytworzenia się sztucznej sytuacji. Zniknęła ludność śląska (przynajmniej formalnie) a pojawiły się natomiast dziesiątki tysięcy politycznych Niemców inspirowanych przez BdV. Są indoktrynowani podwójnie: przez skrajnie prawicowe koła niemieckie, których powiązania sięgają bardzo głęboko i własnych liderów, którzy olśnieni nagłą „gierkowską” koniunkturą stracili poczucie rzeczywistości. Zarówno jedni, jak i drudzy wmawiają wszystkim Ślązakom, że są Niemcami. Opolanie podpowiadają, że po to, by przypadkiem nie poczuli się Polakami. Na wsiach śląskich panuje presja psychiczna w kierunku niemieckim. Mieszkańcy pruskiego przedwojennego Śląska Opolskiego dzisiejszą sytuację porównują do roku 1939, kiedy to presja władz pruskich odciskała piętno na życiu codziennym Górnos Ślązaków.

Z końcem lipca Sąd Apelacyjny we Wrocławiu zadość uczynił naleganiom mniejszości w sprawie zmiany nazwy. Prawdopodobnie nikt nie słyszał ze strony TSKMN i TSKN pochwały traktatu polsko-niemieckiego. Wobec tego zasadnym wydaje się pytanie: czy tak uporczywe dążenie do zmiany nazwy nie jest jedną z prób zdezawuowania traktatu?... Drugiego października z Urzędu Rady Ministrów wyszło pismo adresowane do przewodniczącego TSKN H. Krolla informujące, że w myśl traktatu mniejszość niemiecka stanowią „wyłącznie obywatele polscy narodowości niemieckiej (art. 20) i że wszelkie przywileje z tym związane odnoszą się do tak zdefiniowanej mniejszości”.

We wspomnianym traktacie mniejszość niemiecką określono, jako pomost między Polską a Niemcami. Jest to zapis



zyczeniowy i dla skrócenia drogi istotna byłaby jasna odpowiedź na pytanie: czy demokratyczne Niemcy mniejszość niemiecką na Opolszczyźnie uznają za reprezentantów swojej kultury i swoich interesów w Polsce? (Sprawa jest zbyt poważna, by odwoływać się do pośredników). Polacy potrzebują partnerskiego dialogu z demokratycznymi Niemcami. Takie stanowisko powinno przyświecać obu rządów: polskiemu i niemieckiemu. Tymczasem, jak odbywał się dialog w Polsce, gdzie mniejszość niemiecka nie powinna być stroną lecz lojalnym partnerem, pokazały ostatnie wybory parlamentarne.

Odezwa Niemców na Opolszczyźnie głosiła: „Nie godzimy się na: 1) pozycję drugiej kategorii w państwie polskim (tu wypadłoby zapytać: a w niemieckim?), 2) wykorzystywanie Niemców żyjących w Polsce jako zakładników w stosunkach polsko-niemieckich, 3) rolę kozła ofiarnego w przypadku występowania napięć, trudności gospodarczych i społecznych w kraju i regionie, 4) dalsze fałszowanie dziejów ziemi śląskiej...”. Odezwa kończy się wezwaniem: „Spotkajmy się na gruncie prawdy i tolerancji i razem weźmy udział w budowaniu nowej Europy”. (Dlaczego nie Polski, jest przecież w Europie, a Śląsk jest w Polsce?)

Gdy skonfrontujemy powyższe punkty z pięknymi domami na wsi śląskiej, z dobrym samopoczuciem przedstawicieli mniejszości, dotacjami, jakie płyną z Niemiec oraz pytaniem: kto ma pielęgnować kulturę śląską, nasuwa się bardzo smutny wniosek: nie na długo starczy tego pożywienia w budowanej twierdzy. Pożytek będą mieli jedynie liderzy, oni się wyżywią. Szeregowym członkom pozostanie proctwo zawarte w owych czterech punktach, kiedy Ślązak już każdemu się znudzi.

### *Śląsk Opolski w Trzeciej Rzeczypospolitej*

Dziś Śląsk po raz pierwszy w swoich dziejach nie leży na pograniczu. Odchodził od Polski na poziomie europejskim, wrócił na poziomie chłopskim i rzemieślniczym. W Drugiej Rzeczypospolitej i PRL wykształciła się nieliczna inteligencja śląska — w dużej mierze techniczna. Do wykształcenia elity uniwersyteckiej i dowartościowania śląskiej struktury społecznej pozostało już im niewiele...

Na Śląsku Opolskim trwa walka o rząd dusz, ale nie o dusze tu chodzi. Chodzi o pieniądze. Śląsk nie zostanie włą-

czony do Niemiec, bo Niemcy doskonale wiedzą, że śląskie dusze oznaczałyby w niedługim czasie o wiele silniejszą mniejszość polską. Rzecz polega więc nie na polityce, w której Ślązacy nie mają żadnych szans, lecz na ratowaniu rodzimej śląskiej kultury — tej szlachetnej (nie byle jakiej), która ukształtowana przez wieki eliminowała w sposób naturalny skrajności z obu stron. Ostatni okres — pruski, był pod tym względem szczególny. Właśnie w nim śląskość, jako wartość osadziła się pomiędzy polskością a niemieckością. Dzisiaj właśnie ona, a nie sztuczna niemieckość, może być pomostem, o którym napisano w traktacie. Należy ją wynieść i pokazać, by stała się elementem pojednania, najpierw Ślązaka z własną, rozszalaną po całej Polsce inteligencją a potem Polski z Niemcami. W drugim, jakoby etapie, szczególna rola przypadnie Ślązakom-Niemcom. Tylko w taki sposób Ślązak może zaistnieć i pozbyć się nostalgii we własnym domu. Natomiast poczucie bezpieczeństwa i przekonanie jego o dobrej woli Polaków jest poważnym wzmocnieniem polskiej konstrukcji państwowej. (Dotyczy to również pozostałych mniejszości narodowych mieszkających w Polsce. Warunkiem podstawowym jest dobra wola i lojalność z obu stron).

To, co Polacy powinni zrobić na Śląsku, można ująć w kilku punktach:

1. Umożliwić powstanie reprezentacji Ślązaków w wyżej wymienionym duchu, wyjaśnić sporne kwestie i włączyć ich do rzeczywistej odbudowy Śląska.

2. Dla Polski po bezpowrotnej utracie Kresów wschodnich Śląsk jest dzielnicą szczególną niemal pod każdym względem: gospodarczym, historycznym, moralnym. Dlatego też w polskim interesie leży doprowadzenie do poważnej merytorycznej i zobowiązującej dyskusji czynników polityczno-rządowych i opiniotwórczych z tymi śląskimi grupami, które uznają polską rację stanu na Śląsku. Dotyczy to całego Górnego Śląska, ale szczególnie części katowickiej. Dyskusja powinna mieć charakter wewnętrzny.

3. Wobec krystalizacji struktur państwowych obydwu naszych potężniejszych sąsiadów, z przyczyn historycznych, konieczne jest wyznaczenie stałej strategii polityki zagranicznej i wewnętrznej. Polska racja stanu, to kod, na podstawie którego można zbudować demokratyczną strukturę państwową. W demokratycznym państwie nie ma takiego pojęcia, jak „głupie społeczeństwo”. Wprowadzenie ładu w Polsce jest uporządkowaniem spraw na Śląsku.

4. Zachód mając do dyspozycji tak ogromne środki finan-



sowe nie zdołał wypracować modelu kulturowego. Dziś cofa się do swoich korzeni. W Niemczech, na przykład, odbywa się to dość tragicznie. W Polsce natomiast, jeżeli używamy pojęcia „budowanie Europy”, przede wszystkim powinniśmy zacząć od przezwyciężenia własnego chaosu pojęciowego — poprzez powrót do tradycyjnych, sprawdzonych, wartości. Powinniśmy dokonać również nowej syntezy historycznej, włączając w nią okres komunistyczny (był on etapem naszych dziejów).

5. Stopień przestrzegania prawa jest miernikiem stabilizacji państwa, ale też i powagi władzy. Szczególnie wyraziście widać to na Śląsku Opolskim. Na Opolszczyźnie konieczna jest jej synchronizacja, znacznie lepsza orientacja Urzędu Wojewódzkiego w terenie oraz poważne wzmocnienie Wydziału Spraw Obywatelskich w Opolu.

*Ryszard SURMACZ*

## Historia i skutki pewnej politycznej doktryny

W artykule tym chciałbym przypomnieć pewną doktrynę, nieodmiennie obecną w tzw. wolnej publicystyce, szczególnie w ciągu ostatnich 15 lat. Doktrynę z rozmaitych powodów szkodliwą, moim zdaniem, dla polskiej racji stanu. A co dziwniejsze — szkodliwą poprzez skutki jakie przyniosła (ostatnie wybory) również dla ugrupowań, które ją uporczywie lansują.

Cóż to jest za koncepcja czy doktryna? Najprościej rzecz ujmując jest to przekonanie, że ludzie, którzy „uczestniczyli” w tzw. Polsce Ludowej, co oznacza: zajmowali różne miejsca w strukturach państwa, byli członkami Partii (prawie wszystko jedno w jakim okresie czasu), działali w związkach z partią organizacjach — są wszyscy ludźmi niegodnymi szacunku, zaufania, naznaczeni piętnem hańby. Do Nowej Polski im wara — ona będzie utworzona bez nich, z udziałem jedynie ludzi „czystych rąk”, tych którzy o niepodległość, demokrację i wolność walczyli w ruchach czy ugrupowaniach od Partii jak najdalszych.

Ludziom „napiętnowanym” nie podaje się ręki, z nimi nie rozmawia i nie przyjmuje ich na opozycyjnych salonach. Przy czym nie żaden konkretny czyn napiętnowanego o tym decyduje — lecz sam fakt posiadania przez niego niegdyś partyjnej legitymacji. Czy takie stanowisko miało zawsze jakieś szersze społeczne poparcie? Nie zawsze! Przypomnijmy pierwszy z dużych społecznych buntów zmierzających do zmiany systemu — a więc wydarzenia roku 1956. Uważam je obojętnie za najważniejsze, najbardziej znaczące dla życia społeczeństwa. Wyprowadziły je bowiem z okresu pełnego zniewo-



lenia do systemu, w którym już dało się żyć z odrobiną godności. Różnica między Polską początku lat 50-tych a Polską po roku 1956 jest znacznie większa niż między Polską przed i po 1989 roku.

A więc: Październik 1956. Członkostwo Partii samo w sobie nie było wtedy — w społecznym odczuciu — żadną hańbą. Członków, a właściwie głównie liderów partyjnych, dzielono w społecznej opinii na tych, którzy byli podporą nieludzkiego reżimu, pracowali w bezpieczeństwie, współdziałali z agentami obcego mocarstwa — i tych, którzy się przeciw tym pierwszym zbuntowali i z nimi walczyli. W udzielaniu wsparcia tym drugim widziano polską drogę do wolności. Ludzie, których tłum prawie nosił na rękach, byli więc często również sekretarzami dużych partyjnych organizacji czy redaktorami partyjnego *Po prostu*.

Powstał wtedy, utrwalony w pojęciu społecznym na lata, podział członków Partii na „rewizjonistów” i „dogmatyków”. Powstało też przekonanie, że w istniejącej sytuacji geopolitycznej drogą do suwerenności i przyjaznego ludzimu systemu władzy wiedzie przez przemiany w Partii, których dokonac mogą „rewizjoniści” — jeśli będzie ich tam jak najwięcej i jeśli udzielimy im niezbędnego poparcia. Rewizjonistami bowiem byli ci, którzy chcieli poprawić socjalizm — w kierunku przez wszystkich oczekiwany. W jakim — nie bardzo było wiadomo — ale wszyscy za słynnym artykułem Leszka Kołakowskiego powtarzali litanię przywar „czym nie jest socjalizm”. Niestety, na pytanie czym jest socjalizm autor, jak pamiętamy, dał dość ogólnikową odpowiedź „socjalizm to bardzo dobra rzecz”.

Jak długo utrzymywało się takie społeczne przekonanie — jak długo udzielano moralnego wsparcia partyjnym reformatorom i dysydem? Wydaje mi się, że mimo następujących na przemian okresów nadziei i rozczarowań — dość długo. Prawie do końca lat 60-tych, a może i parę lat dłużej. W czasie tym cytowana przez Jakuba Karpińskiego w grudniowej *Kulturze* opinia, wedle której istnieją takie trzy cechy (inteligencja, uczciwość i członkostwo Partii) — z których naraz można mieć tylko dwie — nigdy trzy, bo się wzajemnie wykluczają — nie miałyby żadnego społecznego odbioru.

Nie chcę twierdzić, że wszyscy Polacy, którzy wtedy wstępowali do partii, robili tak dlatego, że chcieli „poprawić socjalizm”. Dotyczy to zapewne tylko niektórych — ale w ich przypadku nie był to wcale udawany wallenrodizm, lecz szczere przekonanie mające, jak się wydawało, pewne szanse realizacji.

Większość wstępowała do partii z innych, „niższego lotu” powodów. Uznawano, że mając ambicję odegrania odpowiedniej roli w życiu społecznym i zawodowym Polski tych lat musi się mieć pełne szanse wspinania się po drabinie społecznej i zajmowania w niej coraz bardziej znaczących pozycji — czyli robienia kariery. Tak jest, kariery. Na całym świecie ludzie w pewnym wieku marzą o zrobieniu w życiu kariery — ona jest motorem ich działania. Nic w tym zdołanego, gdyż jest też motorem rozwoju społeczeństwa. Tylko u nas z nieznanymi, a może znanych, przyczyn pojęcie kariery stało się czymś pejoratywnym.

Otóż dla zrobienia kariery w owym nie tak krótkim, bo około 30-letnim okresie czasu wstąpienie do partii było po prostu jedną z „formalności”, którą należało spełnić w ramach prawidłowego programu działań. Czy bez tego punktu programu nie dałoby się zrobić kariery? Dość często może dałoby się — ale trudniej, czasem bardzo trudno — a czasem w ogóle nie. Czy można było nie skorzystać z tej drogi, zrezygnować z robienia kariery i przyjmując, że członkostwo partii samo w sobie jest czymś hańbiącym, a „czyste ręce” wartością najwyższą — odsunąć się do drugiej czy trzeciej linii? Oczywiście można było! Ale czy to miałyby być właśnie program dla całego pokolenia Polaków na całe ich dorosłe życie? Lata, pomiędzy 1956 a 1989 — to było całe dorosłe życie jednego pokolenia! Co mieli ze swoim życiem zrobić? Przeczekać te lata? Czy nie sprzeczna to idea z szeroko rozumianym interesem kraju? Czy nie sprzeczna wreszcie ze zdrowym rozsądkiem? Kto miałby wtedy zapelnąć struktury państwa, którego istnienie, czy się ono komuś podobalo czy nie, było jednak niezbędne? Agenci? Tylko ci, którym „zabrakło uczciwości lub inteligencji”? No, ładnie byśmy dziś wyglądali.

Wróćmy jednak do historii. Wydarzenia roku 1968 i wreszcie zbrodnia na Wybrzeżu 1970 roku były ciosem dla tych, którzy uwierzyli, że w Partii i przez Partię można coś dla Polski zrobić. To prawda. Ale przecież nadzieja w ogóle ma to do siebie, że dość trudno ją zabić całkowicie. A prawdopodobieństwo innej drogi na początku lat 70-tych, w epoce breżniewowskiej było ciągle niewielkie. Jak niewielkie było i musiało być prawdopodobieństwo, że są możliwe duże, jakościowe spektakularne zmiany tylko w jednym kraju obozu, poza jego hegemonem. Więc jeszcze raz: Pomożecie? Pomożemy! Uwierzono, że nowa ekipa, która wydawała się być inna od poprzednich, jakby prozachodnia, prokonsumpcyjna



— będzie jakąś drogą „poprawy socjalizmu”. Początek lat 70-tych był w pewnym stopniu okresem „zgody narodowej” — a pierwsze trzy-cztery lata tej dekady okresem ewidentnego otwarcia na Zachód i spełnienia niektórych przynajmniej społecznych oczekiwań. A więc okresem nie pozbawionym pewnej szczypty entuzjazmu, poczucia, że coś się wreszcie zmienia. Dopiero kolejne lata przyniosły rozczarowanie. Nieudolność rządów nowej ekipy, szczególnie w sferze gospodarczej, która wtedy wyszła na jaw — jak i wiele innych zdarzeń i procesów spowodowało wśród wielu zdecydowane i trwałe rozczarowanie do koncepcji, że tylko w Partii i poprzez Partię istnieje jakaś droga zmiany panującego systemu. Właśnie to — rozczarowanie leży u podstaw zwiększającej się wtedy społecznej dezaprobaty wobec tych wszystkich, którzy tkwią jeszcze w różnych strukturach państwa i są jeszcze członkami PZPR, a przez to jakby w większym niż inni stopniu wspierają system samą swoją w nim obecnością, bez względu na uwarunkowania i intencje.

Tu właśnie tkwią główne korzenie, zrodzonej już oczywiście wcześniej, ale kształtującej się i znajdującej większe społeczne poparcie właśnie wtedy doktryny politycznej — którą nazwałem „doktryną odtrącenia”.

Doktryny, która po 13-tym grudnia 1981 roku przybierze najostrzejszą formę, znajdzie najszerze społeczne poparcie — i wpływać odtąd będzie na kształt polskiego życia politycznego aż po dzień dzisiejszy.

Wróćmy jednak do historii.

Niezależny ruch związkowy zrodził się już poza Partią i nie stanowisko partyjnych reformatorów, ale siła i zasięg żywiołowego protestu społecznego w dużych zakładach przemysłowych zmusiły reżim do dialogu z tym ruchem w 1980 roku i zawarcia z nim porozumienia w Gdańsku i Szczecinie. Ruch ten (zważmy na hasła i treść głoszonych postulatów) wcale nie proponował zasadniczej zmiany ustroju, restauracji kapitalizmu, ani czegoś w tym rodzaju. Mieścił się, przynajmniej w początkowym okresie, na możliwej do zaakceptowania i znanej już z roku 1956 drodze „naprawiania socjalizmu”. Więcej wolności, więcej ludowładztwa, więcej suwerenności — głosiły główne hasła.

Jak zareagowała na ten ruch formacja mająca niedługo stać się podmiotem „doktryny odtrącenia”? Mam tu na myśli wielomilionową rzeszę aktualnych i byłych członków PZPR, ludzi w różny sposób i w różnym stopniu uwikłanych, w pojęciu ich przyszłych adwersarzy, w Polskę Ludową. Formacja

ta stanowiła wtedy zapewne około 1/3 dorosłego społeczeństwa. Samych byłych i aktualnych członków PZPR było przecież około czterech milionów. Otóż zareagowała — dokładnie tak samo, jak reszta, czyli pozostałe 2/3 społeczeństwa. Zareagowała tak, ponieważ niczym się od tej reszty nie różniła. Procent ludzi uczciwych i nieuczciwych, inteligentnych i mniej inteligentnych, wierzących i niewierzących był w obu grupach taki sam. Statystyka dużych liczb!

Nawet procent zażartych antykomunistów był zapewne podobny w obu grupach, bo — o czym się obecnie zapomina — słowo „komunista” miało zabarwienie pejoratywne również pośród polskich członków Partii. Komuniści byli w Związku Sowieckim, u nas byli najwyżej ideowi zwolennicy jakiegoś wyidealizowanego socjalizmu, broń Boże nie „socjalizmu realnego”. Wielomilionowa rzesza aktualnych i byłych członków partii przyjęła więc rodzący się żywiołowo niezależny ruch związkowy z pełnym poparciem. Uznała, że jest on również jej ruchem i z jego zwycięstwem zaczęła wiązać wszystkie nadzieje.

Szczególnie entuzjastycznie przyjęła rodzącą się „Solidarność” inteligencja. Organizacje partyjne w uczelniach i środowiskach twórczych prześcigały się w deklaracjach poparcia! Oczywiście, obudzili się też „dogmatycy” okopani głównie w aparacie — i w każdej niemal wojewódzkiej organizacji partyjnej toczyła się zażarta walka o stosunek do nowego ruchu. Toczyły się też rozmowy pomiędzy liderami ruchu i ważniejszymi czasem od liderów jego „doradcami” na temat „jak i na ile można przeprowadzić rewolucję w jednym kraju”.

Sytuacja w kierunku „zgody narodowej” zmierzała jednak, jeśli w ogóle, to jedynie w pierwszych miesiącach. Obecna już w świadomości społecznej „doktryna odtrącenia” i bariera nieufności do wszystkich tych, którzy chcieli przylączyć się do ruchu a byli „z tamtej strony” zaczęła tworzyć pierwsze bariery. A podsycali je skutecznie ekstremiści z obu stron. W kolejnych, ostatnich już miesiącach przed 13 grudnia 1981 roku na pewno ekstremiści z „Solidarności”, wbrew ich subiektywnym intencjom udzielili „historycznego wsparcia” dogmatykom w partii. Którzy czując za sobą zdenerwowany, przyspieszony oddech „wielkiego brata” aż rwali się do tego, aby przyspieszyć „wybuch”, a na jego fali wziąć sprawę w swoje ręce. Nie samemu, oczywiście, bo skąd siły (nie mieli w rządzących gremiach zdecydowanej przewagi), lecz przy pomocy właśnie „wielkiego brata”.

Pamiętam prorocze słowa Jacka Kuronia wypowiedziane



na wielkim wiecu zorganizowanym jako spotkanie z „partyjnym reformatorem” Janem Jerschiną w Filharmonii Krakowskiej. Stwierdził on mianowicie, że proces, który aktualnie w Polsce zachodzi, ma wszelkie cechy rewolucji. Rewolucji, która aby się powiodła, musi być rewolucją samoograniczającą się. Nigdy dotąd, jak zakończył filozoficznie Kuroń, żadnej rewolucji w historii takie samoograniczenie się nie udało.

A no nie udało się i naszej. Przyszedeł grudzień 1981 r. Tragiczne wydarzenia grudniowe przecięły brutalnie zrodzoną w społeczeństwie nadzieję na możliwość daleko idących przemian „w jednym kraju”. Tragiczne były to wydarzenia również, a myślę nawet że szczególnie, dla członków partii.

Doktrynę „odtrącenia”, która pojawiła się wśród solidarnościowych ekstremistów w ostatnich miesiącach przed 13 grudnia, i która była formą owego opisanego przeze mnie historycznego wsparcia dla partyjnej konserwy — przyjęło teraz całe społeczeństwo. Przyjęło ją zresztą w pierwszym momencie jakby wspólnie z portretowaną przeze mnie formacją. Co mam na myśli? Otóż, jak w całym społeczeństwie również wśród członków partii zawsze istniał we własnym przeświadczeniu podział na „My” i „Oni”, rządzani i rządzący. Im wyżej postępowaliśmy w hierarchii społecznej tym wyżej przesuwiała się granica, gdzie znajdują się „Oni”. Większość stanowiliśmy zawsze „My”, którzy żadnego lub prawie żadnego wpływu na to co zachodzi (we własnym przekonaniu) nie mieliśmy.

Otóż, gdy zetknęli się po raz pierwszy w szerszej społecznej skali z doktryną odtrącenia, członkowie portretowanej przeze mnie formacji „skażonej” uczestnictwem w systemie — zaakceptowali ją niemal równie entuzjastycznie jak reszta, uznając, że jej ostrze godzi w „Onych”. Kiedy dopiero, w konkretnych interpersonalnych relacjach zaczęło się okazywać, że odtrąceni to również „My” — powstawać zaczęły coraz większe społeczne przedziały. Przedziały nienawiści, nie waham się użyć tego słowa.

Decyzje członków partii po 13 grudnia były różne. Wielu, bardzo wielu, jak wiadomo, wystąpiło z partii. Czy ci, co wystąpili, to byli „ci inteligentniejsi i uczciwsi”, a pozostali mniej inteligentni lub mniej uczciwi? Nie zgodziłbym się nawet i w tej sytuacji z tym wnioskiem i z próbą takich podziałów. Spojrzenie na dzień 13 grudnia było (i jak choćby badania opinii publicznej wskazały — jest do dziś) zróżnicowane. To, że było to wydarzenie tragiczne — z tym zgadzają się wszyscy, że w jego cieniu ukryła się zwykła zbrod-

nia — też nie ma dla prawie nikogo wątpliwości. Ale czy ze względu na geopolitykę — wprowadzenie stanu wojennego miało wydawać się niezbędne czy nie — w tej sprawie opinie Polaków są różne. Bez względu na to, czy byli oni w tym tragicznym okresie członkami partii czy nie. Bez względu jednak na przyczyny — dla wszystkich myślących Polaków, po jednej i po drugiej stronie usypanej doktryną „odtrącenia” barykady, wydarzenia z dnia 13 grudnia i z dni kolejnych były tragedią, z której należało jakoś wyjść. A do skonstruowania jakiegoś wyjścia potrzebni byli owi myślący Polacy — nie tylko po jednej stronie, a po obu stronach barykady. A więc niektóre przynajmniej decyzje pozostania wtedy w partii niekoniecznie musiały dawać uzasadnienia dla „ostracyzmu”. Jak sądzę, ciągle jeszcze dalsza obecność w partii „niedobitków” z dużej przedtem grupy reformatorów miała istotne znaczenie dla przyszłych rozmów. Może — gdyby było ich w partii więcej, gdyby pod presją społeczną nie odeszli — jak miało to miejsce po 13 grudnia — to inaczej wyglądałoby owe siedem lat do „okrągłego stołu”. Okres ten mógł być zdecydowanie lepiej dla Polski wykorzystany. Mogły wcześniej ruszyć reformy gospodarcze. Być może wcześniej mogły zacząć powstawać jakieś demokratyczne instytucje, czy zawiązki „państwa prawa”, które tak mozolnie dziś budujemy.

No ale było, jak było. Późno, a jednak znaleźli się w partii ludzie (aż dziw skąd się tam wzięli po tym spustoszeniu), którym starczyło i odwagi i wyobraźni, aby przystąpić do rozmów na temat pokojowego i stopniowego przekazania władzy. Bo do tego przecież w rzeczywistości prowadził „okrągły stół”. Co oczywiście widzieli tylko inteligentniejsi w partii, będący wtedy faktycznie w mniejszości.

Znaleźli się i po drugiej stronie ludzie, którzy potrafili — przełamując, obowiązującą ciągle, choć już nie stosowaną tak powszechnie i rygorystycznie doktrynę „odtrącenia” — na historyczny kompromis się zdecydować i rękę do zgody negocjatorom z drugiej strony barykady (bo stół jako okrągły nie miał stron) podać. I wśród nich ci inteligentniejsi wiedzieli, że następny etap pełnego przejścia władzy — już blisko.

Podpisany traktat i rządy Tadeusza Mazowieckiego oficjalnie „doktrynę odtrącenia” znieśli — co oczywiście jej najbardziej zawziętych zwolenników bardzo rozgniewało — i owa doktryna, choć „urzędowo” nieobecna, wśród części opozycyjnych elit obecna była jak najbardziej, a na dole egzekwo-



wana często dość bezwzględnie. Przybrała ona wtedy, jak wiadomo, nazwę „dekomunizacji”, albo inaczej odpowiedzialności zbiorowej wszystkich tych, co w Polsce Ludowej uczestniczyli — choć szczebel na którym się to uczestnictwo odbywało uznany jako przeznaczony do ukarania był według różnych pomysłów różny.

Szczególnie w czasie rządów Jana Olszewskiego hasło „Nową Polskę budować będziemy bez nich, byłym posiadaczom czerwonej legitymacji, tym którzy uczestniczyli w budowie PRL od Nowej Polski wara” — wróciło na wokandę, i to z niespotykaną ostrością. Wojujący zwolennicy zbiorowej odpowiedzialności i „doktryny odtrącenia” byli na tyle krzykliwi i pewni siebie, że wydawało się czasami, iż cały naród tak uważa i jest z nimi. Głosy rozsądku, aczkolwiek znalazły się, były „pod prąd” i w pozornej (na szczęście) mniejszości.

Wspominam w tym miejscu z uznaniem artykuł Jerzego Giedroycia opublikowany w *Kulturze* z października 1992, który w sposób stanowczy i wyważony zakwestionował doktrynę zbiorowej odpowiedzialności stanowiącą podstawę większości projektów dekomunizacji. I ten i wiele podobnych głosów nie otrzeźwiło ekstremistów. Festiwal pomysłów lustracyjnych trwał prawie do 19 września 1993 r.

A no właśnie: 19 września. Co stało się mianowicie 19 września?

W czasie czterech ostatnich lat rządów nowego obozu otoczona ostracyzmem portretowana przez mnie formacja — a stanowiła ona jednak znaczną część społeczeństwa — zaczęła powoli pozbywać się kompleksów. Stało się tak z różnych przyczyn. Przede wszystkim w wyniku obserwacji poczynić „nowej władzy”. Stwierdzono, najogólniej mówiąc, że poziom moralny „sędziów z własnej nominacji”, którzy na ostracyzm ją skazywali, pozostawia wiele do życzenia. Wiele do życzenia pozostawia też „realny polski kapitalizm” — któremu w wyglądzie praktycznym wiele brakuje do „zachodniego kapitalizmu”, jaki istniał dotąd w marzeniach zmęczzonego realnym socjalizmem społeczeństwa. A istniał dlatego, że nie zorientowani stawiali po prostu znak równania między poziomem życia społeczeństw zachodnich a panującym tam ustrojem gospodarczym. Uważano, że to drugie pociąga za sobą natychmiast, zaraz — to pierwsze. No i rozczarowano się. Zaczęła następować mozolna, lecz skuteczna weryfikacja wielu mitów. Również tego dotyczącego Kościoła katolickiego i jego miejsca w państwie. Nigdy bardziej Kościół

katolicki nie był społeczeństwu bliski jak wtedy, gdy stanowił bastion oporu przeciw systemowi, gdy dawał schronienie wszelkim wolnościowym ruchom, w tym również nurtom wolnościowym czysto laickim. Natomiast Kościół rządzący, Kościół zagarniający coraz większe obszary życia społecznego pod swoją jurysdykcję, zaczął tracić wiele z tego, co przez lata zdobył w społecznej świadomości, i już nie tylko w środowiskach inteligenckich.

I wreszcie ocena przeszłości. Kwestionowanie przez nowe elity jakiegokolwiek dorobku uzyskanego w poprzednim okresie, w przekonaniu portretowanej przeze mnie formacji — dorobku uzyskanego jej rękami, przez życie całego pokolenia — dopełniło reszty.

W poprzednich wyborach nikt lub prawie nikt nie przyznawał się, że zamierza głosować lub głosował na SLD czy PSL. Przed i po 19 września mówiono już o tym bez żenady.

Oczywiście nikt z tych co poparli tzw. „postkomunistów” nie był za powrotem starego ustroju. Ale ludzie postanowili wziąć rewanż za „odtrącenie” i poparli tych, którzy się od ich dorobku nie odcięli. Nie odcięli się przy okazji od innych rzeczy, od których odciąć się byli powinni — ale i w tej sprawie realizowana w ostatnich latach w stosunku do „uczestników Polski Ludowej” doktryna nie jest bez winy.

SdRP — bo o niej tu głównie mowa i jej wyborcze zwycięstwo wzbudziło największe kontrowersje — powstała z PZPR ogołoconej już przez lata w znacznym stopniu z partyjnych reformatorów z przyczyn, o których pisałem. Ostracyzm zastosowano oczywiście do niej już w samym momencie powstania. A w jego wyniku — ta ostatnia jeszcze grupa reformatorów, których wejście do SdRP dawałoby większe szanse, aby stała się ona partią socjaldemokratyczną w pojęciu europejskim — wstrzymywała się z ewentualnym członkostwem. Czy to dobrze? Dobrze dla interesów skrajnej prawicy. Niedobrze, na pewno dla lewicy, jak również biorąc pod uwagę poparcie społeczne, jakie ta partia zdobyła 19 września, także dla interesów Polski. Na szczęście, w kierownictwie SdRP usadowili się głównie nie dogmatycy (w miejsce reformatorów) lecz obsadziła je prawie w całości druga generacja ludzi w wieku 30–40 lat, bez żadnych doktrynalnych obciążeń, którzy się o PZPR ledwo otarli. I którzy gorąco pragną być zaakceptowanymi jako jeden z nurtów zachodnioeuropejskiej formacji socjaldemokratycznej.



Oczywiście, istnieje obecnie wśród wielu pomysł, aby doktrynę odtrącenia zastosować konsekwentnie również do zwycięzców wrześniowych wyborów. Jako uzasadnienie podaje się fakt, że za plecami Kwaśniewskiego czai się towarzysz Szmaciak. Ale ci, co go tam widzą, robili przez lata, w tym również ostatnio, wszystko, aby czuł on się tam dobrze.

Stosowanie doktryny odtrącenia do SdRP nie jest, moim zdaniem, najlepszą drogą dla tych, którzy interes polskiej lewicy mają na względzie. Zbyt dużo głosów zdobyła ta partia w wyborach 19 września, aby próba zepchnięcia jej na margines mogła się powieść. Kwaśniewski bardzo wiele jest (lub był) w stanie dać, aby umiarkowane demokratyczne postsolidarnościowe ugrupowania uznały go wiarygodnym partnerem. Przykładem są tu pierwsze powyborcze aliansy w sprawie komisji sejmowych. Argumentem jest też konsekwentna obrona zasadniczych reform gospodarczych zapoczątkowanych pod rządami Mazowieckiego. Receptą nie powinno więc być odtrącenie, co niestety, według moich obserwacji w dużym stopniu już ma miejsce. Receptą powinno być wciąganie tego ugrupowania do różnej formy aliansów, układów i współpracy. Jeśli Kwaśniewski widziałby, że droga do dialogu z Bugajem, Modzelewskim, Frasiuniukiem, Kuroniem czy Kuratowską jest otwarta, to na pewno dla towarzysza Szmaciaka zabrakłoby w jego partii miejsca. Zniesienie doktryny odtrącenia może też, moim zdaniem, uporządkować polską scenę polityczną na lata następne i przed następnymi wyborami. Formacja odtrąconych zniknęłaby ostatecznie jako formacja. Podzieliłaby się po prostu na odłamy podług rzeczywiście prezentowanych w niej poglądów, które są identyczne przecież jak w reszcie społeczeństwa. Akt głosowania nie byłby już aktem rewanzu lub samoobrony a stałby się wyznacznikiem wyzwolonych ze sztucznie stworzonego gorsetu społecznych interesów i sympatii. Na pewno poszerzyłoby to klientelę wyborczą Unii Pracy i Unii Demokratycznej oraz wszystkich ugrupowań, które w społecznej pamięci nie są z doktryną odtrącenia związane. Spowodowałyby też normalne „zagospodarowanie” w społeczeństwie byłej „formacji odtrąconych”, co leży — jak sądzę — w dobrze pojętym interesie polskiej racji stanu.

*Jerzy HUCZKOWSKI*

## Wiersze

Adam Tadeusz BĄKOWSKI

### BRZOZY

Powoli Bóg  
rozpala ogień  
z namokłych mrokiem  
bierwion nieba  
zasadza pierwsze  
pędy świtu  
wiotczeje noc  
rozkwita światło  
dotyka nas  
różowozłoty obłok  
spływa w nas dzień  
prężymy się z rozkoszy  
drąży nas  
podskórne drzenie  
upaja wczesny  
październikowy śnieg  
jesteśmy  
jak dmuchawce z lodu  
słoneczne kropidła  
balet płomyków w iskrach szronu  
w labiryncie naszych gałęzi  
spaceruje wszechświat

Jeśli zbłąkałeś się tu  
obmyjemy ci oczy  
kropłą duszy  
wielkiej i wspólnej







chłonną żrenicą uszczknij  
 traw znajomej łąki:  
 będzie lek na szaleństwo.  
 Zanim skończy się taśma  
 dopóki stanie prądu  
 notuj sobie dokładnie  
 kolor, zaśpiew, dotknięcie  
 z tych eliksirów wspomnienie  
 wywarzy ci pociechę  
 albo miarkę rozpacz.  
 Spiesz się, bo także myśli  
 nużą się z czasem, osłabną  
 będziesz jak człowiek  
 niezdolny już zatęsknić  
 nazwać źródła nieszczęścia.  
 Bez nawrotów pamięci  
 już nigdy się nie dowiesz  
 czy oczy były zielone  
 co tkwiło pod milczeniem.  
 Spiesz się pamiętać  
 wszak nawet miłość  
 w lesie lat zabłąkana  
 w końcu jak echo ucichnie.

Florian ŚMIEJA

## Archiwum polityczne

### Widziane z Brukseli

#### KRET W JAGUARZE

Linokoczek był nietypowy: wysoko, na linie, „stała” drabina, a na jej szczycie akrobata stał na głowie i grał na skrzypcach. Wszystko się chwiało, cyrk zamarł w napięciu, skrzypek na głowie grał, aż nagle sala usłyszała: „No, ale Paganini to on nie jest”.

Wszystko wskazuje, że Aldrich Ames też tańczył na linie i też nie był Paganinim. Szpiegostwa. Koledzy się o nim wyrażali fatalnie. „Alkoholik, ograniczony, właściwie niekompetentny, co ruszy to psuje”. Ames, oficer CIA odpowiedzialny w amerykańskim kontrwywiadzie za walkę przeciw szpiegom sowieckim i rosyjskim, był podwójnym agentem. Bardziej wydajnie niż dla CIA, pracował dla KGB, ale w tej podwójnej służbie popełnił bardzo wiele błędów. Różnica z cyrkiem polega na tym, że przez dziesięć długich lat nikt nie zauważył, że Ames nie jest Paganinim, ani — jak to o nim mówiła jego własna żona — „Einsteinem szpiegostwa”. W momentach czułości ta „Mata Hari” nazywała męża *ass bole*, czego w *Kulturze* tłumaczyć na polski nie wypada...

I rzeczywiście, Ames okropnie mylił struny i nuty. W CIA zarabiał oficjalnie 70.000 dolarów rocznie. Nie jest to poziom Rockefellera, ale przy przeciętnych wymaganiach można z tego godziwie żyć. Ale Ames chciał i żył lepiej. Kupił dom w Arlingtonie pod Waszyngtonem za 500.000 dolarów, wydał z konta na karty kredytowe 450.000 dolarów, sam jeździł czerwonym Jaguarem za 40.000 dolarów. Jego kolumbijska żona, seniora Maria del Rosario Casas Dupuy, poruszała się co prawda Hondą za skromne 20.000 dolarów,



ale za to na stroje (tylko modele) wydała znacznie więcej. Państwo Ames nabyli także, bez żadnej tajemnicy i za gotówkę, „daczę” w Cartagenie w Kolumbii i mieszkanie w Bogocie.

Sąsiedzi myśleli, że pan Ames to dystyngowany dyplomata, a pieniądze pochodzą z bogatej rodziny w Kolumbii i z bardzo udanych inwestycji. W istocie, pieniądze pochodziły z kieszeni podatnika najpierw sowieckiego, a potem rosyjskiego. Ames został zwerbowany przez KGB w Meksyku dokąd, w latach 1981–1983, został wysłany przez CIA dla... werbowania szpiegów.

Meksyk był wówczas, i chyba jeszcze jest, gniazdem wszystkich wywiadów świata. Tam wszyscy podglądają wszystkich. KGB od razu zauważył amerykańskiego szpiega, samotnego, rozpitego, zrujnowanego bardzo kosztownym poprzednim rozwodem. Trudno na razie odtworzyć kolejność. Ames prawdopodobnie zwerbował dla CIA swoją przyszłą żonę. A KGB, być może poprzez przyszłą żonę właśnie — od dawna w służbie Moskwy — zwerbował Amesa.

Tak się zaczął podwójny 10-letni romans Amesa z KGB i z żoną. Oba się skończyły 21 lutego 1994, kiedy, po 10-miesięcznym śledztwie, CIA aresztowała Amesa z małżonką, w przeddzień jego służbowego wyjazdu do... Moskwy. Powstały bowiem podejrzenia, że Ames się czegoś domyśla i skorzysta z okazji aby wybrać wolność w Moskwie. Z tej okazji Ames już nie skorzystał, ale z wielu innych, poprzednio, jak najbardziej. Ames wyrządził Stanom Zjednoczonym ogromne szkody. Nikt nie wie zresztą dokładnie jakie. Niektórzy sądzą, że jest to najbardziej szkodliwa wyspa CIA w historii. Ponieważ, jak mówią Francuzi, pożyczają się głównie bogatym, Ames jest już także związany z tajemniczą zbrodnią w Gruzji. W ubiegłym roku mianowicie, Ames odbył służbową podróż do Tyflisu, gdzie nieco później został zabity szef miejscowej rezydentury CIA. Początkowa wersja mówiła o przypadkowej kuli. Teraz naturalnie mówi się coś innego.

#### W poszukiwaniu Paganiniego

CIA była od zawsze w poszukiwaniu „kreta” czyli agenta sowieckiego w swoich własnych szeregach. James Jesus Angleton, jeden z najbardziej zawziętych łowców kretów, kreta nie znalazł, ale dostał „hyzia” od szukania. Tym razem, nikt zmysłów nie utracił, ale dopiero wtedy gdy dziesię-

ciu agentów amerykańskich, a wśród nich Walery Martynow i Siergiej Motorin, dwaj bezcenni agenci w łonie ambasady sowieckiej w Waszyngtonie, potem prawdziwy as CIA w Moskwie o pseudonimie „Prolog”, a wreszcie generał GRU — czyli wywiadu wojskowego — Dimitri Poliakov, który pracował dla CIA przez 20 lat — zostało w Rosji rozstrzelanych, a trzydzieści wielkich operacji szpiegowskich spaliło na panewce, CIA doszła do wniosku, że coś nie jest w porządku i że nawet w wysoce ryzykownym świecie szpiegowskich cieni, takie wpadki nie mogą być wyłącznie dziełem przypadku. Zaczęto szukać Paganiniego.

Nie wiem w jaki sposób, przy takiej CIA (przed sprawą Amesa były inne, też niewąskie, wpadki), Zachód wygrał zimną wojnę. Choć pierwsza wpłata, głupie 9.000 dolarów, wpłynęła na konto Amesa już w maju 1985 roku, to dopiero w 1991 roku, powstała specjalna grupa poszukująca kreta. Powstawały kolejne listy nie tyle podejrzanych co, ewentualnie, niepewnych. Nazwisko Amesa, o którym wiadano, że stanowi *risk-case*, figurowało na kilku z tych list, ale zawsze na dole. Tym niżej zresztą, że Ames z powodzeniem dwukrotnie przeszedł przez próbę „maszynny prawdy”. Jedni twierdzą, że Rosjanie dali mu specjalną pigułkę uodporniającą, inni uważają, że maszyna jest do kitu.

No to w końcu jak ślepa CIA wpadła jednak na „kreta”? Według pierwszej wersji, dopiero donos skierował uwagę na Amesa. Donos? Czyj donos? Dla jednych miał to być jakiś kolega z „listy 200” zdenerwowany fuszerką, skierował uwagę grupy śledczej na tryb i poziom życia Amesa i na czerwonego Jaguara, którym skromny oficer CIA przyjeżdżał do biura. Inni sądzą, że donos przyszedł z Moskwy, od agenta, którego Amerykanom udało się zwerbować w KGB. Ostatnia wersja, chyba najpoważniejsza, prowadzi do... STASI, czyli ośmiornicy tajnej policji byłej NRD. Według tej wersji, dopiero w 1991 roku, po odczytaniu archiwów STASI, okazało się, że wszyscy zwerbowani przez CIA agenci w NRD byli podwójnymi agentami. Wniosek był prosty: tylko przy pomocy kogoś wewnątrz CIA, dokładnie zorientowanego w sytuacji, można było ten stan rzeczy przez taki długi okres utrzymać. Takich osób było niewiele...

Jak to było naprawdę, właściwie nie ważne. Ważne, że w 1993 roku CIA utworzyła razem z FBI specjalną grupę i nareszcie zaczęła prawdziwe śledztwo. Obserwacja ujawniła „skrzynki”. Podszuch ujawnił w jaki sposób Ames umawiał się przez telefon na spotkania z Rosjanami w Meksyku czy



Kolumbii. W domu Amesów znaleziono tajne dokumenty, nie spalone taśmy z maszyny do pisania, na której Ames pisał raporty dla KGB. Śledztwo wykazało, że agenci śledzący wszystkie ruchy „dyplomatów” moskiewskich w Waszyngtonie nie zauważyli, iż Ames wielokrotnie spotykał się z Rosjanami.

Kiedy państwo Ames poszli siedzieć, okazało się, że w ciągu 10 lat otrzymali (z tego co na razie wiadomo) z Moskwy ponad 2,5 miliona dolarów, że pieniądze spoczywały na 13 kontach bankowych w kilku krajach: Szwajcarii, Włoszech, Kolumbii itd., że Ames, nie wzbudzając żadnych podejrzeń, odbywał tajne podróże do Ameryki Łacińskiej i Europy aby spotkać sowieckich i rosyjskich agentów, że chadzał na spacer, aby w specjalnych miejscach zostawiać znaki, sygnały i raporty i inkasować pieniądze, czasem 100.000 dolarów w grubej kopercie. Że krótko mówiąc, jego pasją — jak sam pisał do Rosjan — „były pieniądze” i że, jak nie pisał, ale co można było dojrzeć gołym okiem (gdymy ktoś chciał patrzeć), jego inną pasją było ich wydawanie. Niezależnie od domu, Jaguara, Hondy i 450.000 dolarów na karty kredytowe, Ames potrafił wydać 30.000 dolarów za telefony, a nawet wpłacić 5.000 dolarów (niewiele, ale zawsze) na fundusz wyborczy... Partii Demokratycznej.

### *Epizod, ale specjalny*

Na tym można by zamknąć „czarną teczkę” Amesów. W końcu, to tylko epizod. Od Philby'ego czy Penkowskiego po Walkera czy Peltona, poprzez Kuklińskiego czy Pawłowski, Guillaume'a i Abela, od motywacji ideowej, poprzez smak awantury, głupotę, lekkomyślność aż po zwyczajną chciwość, walka cieni trwała i trwać będzie. Zimna wojna się skończyła, ale nikt rozumny nie sądzi, że skończyło się także wzajemne szpiegowanie.

Wydawało się, że tak właśnie rozumują i Amerykanie i Rosjanie. Biały Dom i oficjalny Waszyngton zrobili właśnie tylko minimum szumu. Oficjalnie udali, że to lekki deszczyk. Niejaki Łysenko, dyplomata-oficer KGB, „opiekun” Amesów, został wydalony z USA i to w bardzo komfortowym terminie siedmiu pełnych dni. Moskwa w ogóle zlekceważyła całą aferę. Wyrzuciła tylko zdziwienie, że w ogóle Waszyngton się tak bardzo denerwuje. I też zrobiła minimum, ekspulsując, bez skandalu, niejakiemu Morissa, oficera CIA w Moskwie.

Sprawa Amesów nastąpiła jednak w specjalnych okolicznościach. W istocie — choć oficjalna reakcja była bardzo umiarkowana — polityczne aspekty afery Amesów sięgają znacznie dalej. Nawet bowiem jeżeli uznać, że wszyscy wszystkich szpiegują, to jednak — choć wszyscy są równi, niektórzy są równiejsi. Z jednej strony, to Amerykanie pomagają Rosji (tylko w roku 1993 ponad dwa miliardy dolarów), a nie Rosjanie Ameryce. Kongres Stanów Zjednoczonych nie jest więc zadowolony z finansowania przez amerykańskiego podatnika rosyjskich szpiegów i może z tego niezadowolonia uczynić instrument polityczny przeciw Clintonowi. Tym bardziej bolesny, że za kilka miesięcy odbędą się częściowe wybory do Kongresu.

Z drugiej strony, sprawa Amesów wpisana jest w szerszy wymiar polityczny. Śledztwo w sprawie Amesów trwało ponad 10 miesięcy i, naturalnie, rząd amerykański miał dosyć czasu i okazji aby sprawę załatwić dyskretnie. Czas miał, ale nie chciał. „Nasza polityka wobec Rosji — powiedział Clinton — nie wynika ani z litości ani ze ślepoty, a z jasno sformułowanych i konsekwentnie realizowanych interesów państwa amerykańskiego”. Jeżeli tak jest, o czym nie wszyscy są przekonani, to być może Waszyngton doszedł do wniosku, że akurat nadszedł moment, żeby dać tym interesom wyraz.

Moskwa bowiem zachowała się niedelikatnie. W polityce wewnętrznej — kiedy od razu po styczniowej wizycie Clintona w Moskwie, rząd rosyjski, jakby na złość Ameryce, pozbył się dwóch głównych reformatorów, byłego premiera Jegora Gajdara i byłego ministra finansów Borysa Fiodorowa, głównych gwarantów prozachodniej polityki Rosji. Ale Moskwa zachowała się źle także w polityce zagranicznej, gdzie zaostriżyła ton i zmieniła fronty. Zwłaszcza wobec bliźszych i dalszych sąsiadów. Jak powiedział Sergiusz Karaganow — znany propagator roszszerzania wpływów Rosji za granicą — „nasze interesy nie zawsze są identyczne z interesami Zachodu”.

I rzeczywiście. Po okresie euforii, naiwnego romantyzmu „uprzywilejowanego partnerstwa”, nawet — dla niektórych — strategicznego, obudzenie było bolesne. Rosja, to prawda, nie stanowi już wojskowego zagrożenia dla USA. Ale, Rosja i 30.000 głowic atomowych, posiada ogromną zdolność szkody i przeszkadzania w porządkowaniu świata. Clinton nie rezygnuje z polityki podtrzymywania reform i budowy demokracji w Rosji, ale styl dyplomacji polegający na powoływaniu się na „przyjaźń” i „zaufanie” do Rosjan bardzo na



razie osłabił. Mimo ogromnych przemian, Rosja nie jest jeszcze liberalną demokracją, i pozostanie, na długo, w najlepszym razie bardzo mało przewidywalnym państwem, a na co dzień po prostu rywalem.

Dyrektor CIA, James Woolsey zauważył: „Utrupiliśmy smoka, ale żyjemy w dżungli pełnej rozmaitych gatunków jadowitych węży”. Szkoda, że to jego własny pracownik, niejaki Ames, bardzo jadowity wąż, musiał mu o tym przypomnieć. Rosja była ekspansjonistycznym mocarstwem na długo przed gorącą i zimną wojną. Likwidacja komunizmu i sowietyzmu z tą przeszłością nie zerwała. „Wielka Gra” idzie nadal. Wystarczy nieco postudiować aby się o tym przekonać.

### *Wieczne „organy”*

Tak na mój rachunek, to od Czeki i Dzierżyńskiego, „organa” sowieckie i rosyjskie miały chyba 19 szefów. Pięciu kolejnych następców „gorejącego płomienia rewolucji”: Jagoda, Jeżow, Beria, Merkułow i Abakumow, zostało rozstrzelanych za zdradę. Był jeszcze szósty oskarżony także o zdradę, Kriuczukow, ale uszedł z życiem, bo objęła go niedawna amnestia. Kilku innych: Serow (znany „paxowiec”), Szelepin i Semiczastny, a niedawno Barannikow, polecili za rzekome wygórowane ambicje polityczne. Gołuszko, ostatni minister spraw wewnętrznych, a potem szef kontrwywiadu, został kozłem ofiarnym odpowiedzialnym i za wybory z grudnia ubiegłego roku i za Żyrynowskiego i za amnestię. Utrzymał się Primakow, aktualny szef wywiadu, przyjaciel i powiernik Gorbaczowa i jego tyle specjalny, co bezskuteczny, emisariusz do Saddama Husseina w przeddzień wojny w Iraku.

Mniejsza o tę „listę obecności”. Ważny jest wniosek: historia tajnych służb ZSSR i Rosji uczy, że im bardziej są one pozornie zreformowane, oczyszczone i zredukowane, tym większa jest ich rola w polityce. Chruszczow myślał, iż ostatecznie osłabił KGB, który potem odegrał decydującą rolę w jego obaleniu. Breżniew próbował, aż się przekonał, że KGB może go, i jego rodzinę (do czego w końcu doszło) w każdej chwili skompromitować. To KGB organizował pucz przeciwko Gorbaczowowi. Pucz się nie udał, ale nie z winy „organów”.

Po rozbiciu puczu, i Gorbaczow i Jelcyn mieli historyczną szansę decydującego osłabienia KGB-owskiego instrumentu totalitarnej kontroli państwa i społeczeństwa. Nie doko-

nali tego. I Gorbaczow i Jelcyn — to prawda — próbowali: KGB został rozłupany, powstały oddzielnie agencja szpiegowska dla zagranicy i ministerstwo bezpieczeństwa wewnętrznego; „ideologiczne” czyli polityczne funkcje policji zostały oficjalnie zlikwidowane, w istocie tylko ograniczone. Kiedy okazało się, że w październiku 93, w wojnie o parlament KGB zachował się niewyraźnie, Jelcyn rozwiązał ministerstwo bezpieczeństwa i powołał Federalną Służbę Kontrwywiadu. Narzucił także, może niewystarczające, ale niewątpliwe, prawne ramy działalności „organów”, stworzył pojęcie odpowiedzialności tajniaków za pogwałcenie prawa. Wszystkie służby specjalne poddał kontroli urzędu Prezydenta. Co wiedział o Amesie, nie wiadomo, jako że ta sprawa ciągnie się od 1985 roku. Ale Gorbaczow, ulubieniec Zachodu, musiał wiedzieć wszystko, ponieważ to za jego czasów rozstrzelano ofiary donosów Amesa.

Choć Jelcynowi nie zabrakło odwagi w zdelegalizowaniu partii komunistycznej, to mu jej zabrakło wobec KGB: właściwie szybko zrezygnował z próby prawdziwego osłabienia KGB. Z 6.000 tajnych rozporządzeń, które kiedyś regulowały działalność KGB, bardzo wiele — m.in. niektóre dotyczące opozycji politycznej, i znaczna większość dotycząca zagranicznego szpiegostwa — pozostaje ciągle w mocy. Budynek Łubianki w centrum Moskwy czy budynek w Jasseniewie, na południowym przedmieściu stolicy, nazywają się inaczej, ale to ci sami funkcjonariusze podpisują tam codziennie rano listę obecności.

### *Starzy znajomi*

Dzisiaj pozycja następców KGB, formalnie inna, jest w istocie równie mocna co dawniej. Szefowie wywiadu i kontrwywiadu są członkami Rady Bezpieczeństwa przy prezydencie Rosji. Prawdziwe archiwa KGB ciągle nie są dostępne dla historyków czy dziennikarzy, a jeżeli są to na zasadzie operacji politycznej (katyńska teczka, niepełna, na czas, przypadkowo! odnaleziona, w stosunkach z Polską) czy po prostu policyjnej manipulacji jak w słynnych oskarżeniach rozmaitych dygnitarzy o korupcję itd.

Ani jeden, dosłownie, oficer KGB — nie taki zwykły od bicia w mordę, ale taki od wyrafinowanych tortur i zabójstw więźniów politycznych, nie został nie tylko ukarany, ale nawet oskarżony.



Według informacji pochodzących od zbiega z aparatu, w 1992 roku 95% dawnej kadry oficerów KGB średniego szczebla pozostawało na swych stanowiskach. Liczni emerytowani wyżsi oficerowie KGB otrzymali stanowiska doradców na wysokich szczeblach administracji państwowej. Można się było spodziewać, że bardziej liberalni oficerowie KGB, bo i tacy byli, zostaną wysunięci i awansowani na wyższe stanowiska. Guzik. Stało się wprost przeciwnie: reformatorzy, żeby ich tak określić, zostali usunięci z KGB. Myślano, że ci oficerowie, którzy zostali za odwagę krytykowania usunięci z KGB, zostaną zaproszeni do powrotu. Także guzik. Oleg Kaługin, gadatliwy, ale odważny były generał KGB, w dalszym ciągu jest były. Zresztą wspomniany już Gołuszko i jego następca Stepaniszyn byli i są zdania, że ostra reforma jest niepotrzebna, że zniszczy aparat bezpieczeństwa i stworzy groźną próżnię w państwie.

Nie istnieje żaden prawdziwy i skuteczny organ kontroli „organów”. Sowiecki aparat wymiaru sprawiedliwości podporządkowany był partii komunistycznej i do dziś się mentalnie z tej kurateli nie wyzwolił, niezależnych sędziów i prokuratorów, zwłaszcza takich, którzy mieliby odwagę rozliczać KGB, brak. Ci nieliczni, którzy chcieliby coś zmienić, skarżą się, że nie mają po prostu dostępu do archiwów czy dokumentacji spadkobierców KGB.

Po nowej Dumie nie można się niczego spodziewać. Jest pełna agentów, klientów lub beneficjentów KGB. Bardzo wielu polityków z nowego parlamentu utrzymuje bliskie stosunki z byłym KGB. Według Kaługina np. jeden z najbardziej agresywnych przeciwników Jelcyna, obecny deputowany do Dumy, Siergiej Baburin, jest długoletnim informatorem KGB. Niektórzy z... sympatii, inni z interesu (80% *joint-ventures*, dużych banków itd. znajduje się pod kontrolą byłego KGB), inni wreszcie ze strachu przed kompromitującymi teczkami znajdującymi się w posiadaniu KGB.

Dlaczego Jelcyn nie rozwiązał po prostu KGB i aparatu tajnej policji? Proste. Każdemu państwu potrzebne są „organy”, a państwu rosyjskiemu szczególnie. Jelcyn chciał oddać organy w swoją własną służbę. Jelcynowi zdawało się, że aparat prezydenta potrafi narzucić kontrolę i podporządkować sobie „organy”, ale Jelcyn się chyba pomylił. Siergiej Kowaliow, znany dysydent, były długoletni lokator gułagu i aktualnie przewodniczący Komitetu Praw Człowieka w Dumie, był niedawno w Strasburgu na konferencji zorganizowanej przez Radę Europy. Jego zdaniem, tajna policja — nie-

zależnie od jej nazwy — w dalszym ciągu śledzi polityków, m.in. posłów parlamentu, partie polityczne i dziennikarzy. I lokatorów Kremla także, gdzie — podobnie jak w ministerstwach — biura są na podsłuchu.

Tak więc prezydent uznał, że nie ma właściwie większego interesu w osłabieniu czy limitowaniu zasięgu władzy policji politycznej. Sam aparat, naturalnie, też tak uważał. Tym bardziej, że presji oddolnej właściwie nie było. Szymon Wiesenthal opowiadał mi, że, w braku dostępnej i wiarygodnej dokumentacji, przekonywał rosyjskich dysydentów, były ofiary KGB, do sporządzania list funkcjonariuszy, którzy ich osobiście i bezpośrednio prześladowali. Na próżno. Jeżeli dysydenci, którzy się nie bali być dysydentami, dziś nie są skłonni do ujawniania oprawców, to naturalnie tak zwany lud po prostu się tym nie interesuje. Ma inne zmartwienia.

Trudno się dziwić. Jeżeli w krajach pokomunistycznych mających mniej dramatyczną historię i mniej przerażający bilans strat nie udało się rozwiązać sprawy policyjnej odpowiedzialności za przeszłość, to co dopiero w Rosji, gdzie ogrom trudności życia codziennego, nie mówiąc już o syndromach przeszłości, odsuwa kwestię odpowiedzialności KGB na bardzo daleki plan. A przede wszystkim, według informacji prasy rosyjskiej (*Moskowskije Nowosti*), 30% dorosłej ludności ZSSR w taki czy inny sposób współpracowało z KGB... Nic dziwnego, że jak wynika z nie opublikowanego sondażu, przeprowadzonego przez Instytut Socjologii w Moskwie — spora liczba Rosjan nadal uważa, że ich kraj potrzebuje silnej struktury wewnętrznej bezpieczeństwa.

Tak więc, nie zanosz się na prawdziwą i głęboką reformę KGB czy jego pochodnych. Utrzymywanie się dawnej struktury KGB i, co za tym idzie, mentalności jego kadry, stanowi najgorszy spadek po sowietyzmie i, naturalnie, zagrożenie dla rodzącej się w bólach demokracji rosyjskiej.

*Człowiek to brzmi dumnie...*

Dotyczy to jednak nie tylko strefy polityki wewnętrznej. To samo odnosi się do szpiegostwa za granicą. Jak wynika z ostrożnych badań, aparat KGB i GRU w byłych republikach sowieckich, a także w krajach byłego Paktu Warszawskiego, rozleciał się często tylko pozornie, w każdym razie w znacznym mniejszym stopniu niż struktury partii komunistycznej czy nawet czerwonej armii. Polska niedawno musiała, z pew-



nym hukiem, usunąć rosyjskiego attaché wojskowego. Podobne wypadki, bardziej dyskretne, zanotowano w innych krajach byłego Paktu Warszawskiego.

Oficjalnie, sieć placówek zagranicznych SWR, czyli zewnętrznej służby szpiegowskiej, została zredukowana do połowy. 30 „biur” zostało rzekomo zamkniętych. Ale naturalnie, nie w takich miejscach jak Waszyngton. W każdym razie, jakościowo, rosyjska siatka szpiegowska w zachodnim świecie (Ames to skromna próbka) jest — tak twierdzą fachowcy — równie mocna jak dawniej. Ani demokratyzacja ani postęp techniczny niczego tutaj nie zmieniły. Komputery człowieka nie zastąpią. Satelity mogą być przydatne w fotografowaniu fabryk czy ruchów wojsk. Ale satelity nie są w stanie odkryć ani zawartości archiwów (listy szpiegów), ani tajemnic technologii, ani, przede wszystkim, intencji ludzkich. Bez człowieka się nie obejdzie. Nawet jeżeli — jak w przypadku Amesa — jest to bardzo, jak na rosyjskie warunki, człowiek kosztowny.

W wielu krajach zachodnich takie sprawy załatwia się dyskretnie. Trzeba dopiero wyjątkowego momentu politycznego aby, tak jak za sprawą Amesa, wybuchł prawdziwy skandal.

Historia szpiega Amesa to bowiem tylko symptom. Aktualny, widoczny gołym okiem, ale symptom i to nie najważniejszy. To tylko część większej całości określającej zmiany w stosunkach między z jednej strony Zachodem w ogóle a Ameryką w szczególności, a z drugiej strony — Rosją. Nie są to zmiany ani na dobre, ani na złe, są to zmiany na inaczej. Jest to, w pewnym sensie, powrót na ziemię. Naturalnie, do zimnej wojny — w postaci jaką znamy — tak jak do komunizmu, sowietyzmu czy do globalnego zagrożenia rosyjskim czy posowieckim ekspansjonizmem, w zasadzie powrotu nie ma. Ale długi (2 lata) miódowy miesiąc rosyjsko-amerykański się skończył.

Skończyły się bowiem iluzje. Rosja nie dojdzie ani łatwo ani szybko do demokracji czy do gospodarki rynkowej. Pogląd, że można bardzo wysoko ustawić tę rosyjską poprzeczkę, musi ulec rewizji. Rosja co prawda już nie jest nieprzejednanym nieprzyjacielem, ale pozostaje rywalem, i minie dużo czasu, zanim będzie partnerem. Jeżeli w ogóle. Zbigniew Brzeziński formułuje to nieco inaczej. „Jeżeli Rosja — pisze Brzeziński w obszernym artykule na łamach równocześnie *Tygodnika Powszechnego* i *Foreign Affairs* — nie jest już przeciwnikiem, to należy zapytać, czym jest obecnie: sprzymie-

źcą, klientem czy zwyczajnie pokonanym wrogiem?” I od razu, na początku artykułu formułuje wniosek, że „obecna wielka strategia USA jest błędna w swych założeniach, zorientowana na zły cel strategiczny i niebezpieczna w swych prawdopodobnych konsekwencjach geopolitycznych” (cytowane za *Tygodnikiem Powszechnym* z 6 marca 1994).

### Skutki monopolu „FOB”

Przebudzenie jest bolesne, ale pożyteczne. Dla poważnych obserwatorów nie powinno zresztą stanowić niespodzianki. Amerykańska polityka wobec Rosji powinna przestać być monopolem „FOB”, *Friends of Bill* (przyjaciół Billa Clintona) — czyli grupy amatorów ze Strobe Talbottem, kumpłem Clintona z tygodnika *Time* na czele — a przejść w ręce fachowców. Ci już dawno byliby zauważyli, że coś się psuje w państwie rosyjskim.

Fatalnie doradzany — Borys Jelcyn — bo on przede wszystkim interesuje Amerykanów, poniósł serię porażek, które by wstrząsnęły politykiem w mocniejszej od niego sytuacji. Żeby nie cofać się za daleko, zacznijmy od rozstrzelania poprzedniego parlamentu w październiku ubiegłego roku. Jelcyn parlament zdobył szturmem, ale od takich zwycięstw bieje włos. Trudno przecież nazwać politycznym sukcesem rozwalenie rosyjskiego parlamentu przez rosyjskie czolgi i rosyjskiego prezydenta. Potem, w grudniu, przyszły wybory. Po dwóch latach rządów Jelcyna, co czwarty Rosjanin głosował na Żyrynowskiego, obłąkany produkt populizmu i faszyzmu, co piąty głosował na komunistów. Trudno to nazwać sukcesem demokracji.

Potem amnestia, prawdziwy policzek dla Jelcyna. Można sobie wyobrazić radość pod strzechami Rosji kiedy spotkali się — dosłownie lub w przenośni — ale na wolności, autorzy obu puczów: wiceprezydenci państwa Janajew i Ruckoj, przewodniczący parlamentu Łukjanow i Chasbulatow, szefowie wojsk Jazow i Makaszow, szefowie bezpieczeństwa Kriuczukow i Barannikow i inne puczowe pary. Nie każdy parlament można rozstrzelać, zresztą nie wiadomo, w jakim kierunku tamańska dywizja tym razem by strzelała, trzeba się było dogadać i udawać, że nic się nie stało. Generalna kłapa gospodarcza wszystko przysypała, zawiąła. A sam Jelcyn coraz częściej zapada na „katar”, bywa w stanie, w którym — gdyby do czegoś dojść miało — byłoby mu trudno wdrapać się, a potem utrzymać na czołgu.



Jelcyn uznał, że trzeba wyprzedzić wypadki i zmienić co nieco. Najpierw, w polityce wewnętrznej. Były premier Gajdar i były minister finansów, Fiodorow, zwolennicy „terapii szokowej” poszli won. Premier Czernomyrdin dumnie ogłosił koniec „rynkowego romantyzmu”, dodając, że „mechaniczny transfer zachodnich koncepcji do Rosji nie niesie niczego dobrego”. Te zmiany były łatwe, ale mało skuteczne. Trzeba było pójść znacznie dalej.

Lutowe orędzie Jelcyna do narodu miało właśnie pójść dalej. Część prasy zachodniej zachwycała się głębią i zasięgiem orędzia jakie Jelcyn wygłosił przed obu izbami rosyjskiego parlamentu. Kilka uwag sformułowanych przez mniej euforycznych obserwatorów było, wydaje mi się, bardziej przekonujących. Pierwszy doszedł do wniosku, że Jelcyn zachował się jak człowiek z Marsa, który ląduje na ziemi i, tak jak gdyby nigdy przedtem o tym nie słyszał, odkrywa w Rosji biurokrację, przekupstwo, złodziejstwo i inne plagi znane od wieków. Drugi porównał orędzie Jelcyna do normalnego przemówienia genseka, czyli generalnego sekretarza partii komunistycznej: mowa długa, ale za to drętwa. Następny doszedł do wniosku, że Jelcyn szuka (skąd my to znamy?) trzeciej drogi, między Marksem a Rotszyldem. Jest w poszukiwaniu czegoś, czego (jak się o tym Polacy być może niedługo na własnej skórze przekonają) jeszcze nikt nie wymyślił. I tak powstała droga czwarta. Trzeba było populizm w polityce wewnętrznej uzupełnić nacjonalizmem w polityce zagranicznej. Umiejętna ucieczka do przodu wobec zagranicy, to bowiem najlepsza kompensata porażek w polityce wewnętrznej, to najszybsza rotacja kapitału propagandowego, to najłatwiejsza droga do narodowego konsensusu.

W ten sposób, dwa miesiące po wyborach, język i hasła, pod którymi Żyrynowski je właściwie wygrał, znalazły się w oficjalnym dyskursie Jelcyna i jego rządu. W odróżnieniu jednak od drogi trzeciej, której jeszcze nikt nie znalazł, tę czwartą dobrze znamy, i wiemy, że nie prowadzi ona donikąd, a raczej, że prowadzi do nieszczęścia.

#### *Narodowe interesy*

Jelcyn się naturalnie zastrzegł, że nie dąży do konfrontacji z Zachodem, ale Rosja, jak powiedział, musi skończyć z jednostronnymi ustępstwami, ma obowiązek dbać o swoje „narodowe interesy”, o które, jak podkreślił prezydent, do

tej pory nie dbała. Dlaczego i jak nie dbała, Jelcyn nie powiedział, może dlatego, że to on sam był za obronę narodowych interesów Rosji przede wszystkim odpowiedzialny.

Na czym te interesy mają polegać? W kilku punktach można na to pytanie odpowiedzieć. Po pierwsze, Rosja twierdzi, że ma specyficzne i uzasadnione interesy w strefie bliskiego sąsiedztwa. Gdzie sięgają granice tego sąsiedztwa, dokładnie nie wiadomo. Na pewno chodzi tu o republiki posowieckie, gdzie płoną etniczne lub graniczne stopy. We Wspólnocie Niepodległych Państw, powiedział Jelcyn, „minął rok euforii niepodległościowej i zaczął się wolny powrót jednych ku drugim”. Kozyriew poszedł w tym samym kierunku. „Tak czy inaczej, powiedział ów były liberał, wszystko wróci na stare miejsce”. Ani kierunek tego „powrotu” ani adres „starego miejsca” nie powinny być Polakom obojętne. Ukraina jest głównym celem tych zabiegów. Jak mówi Brzeziński w cytowanym już artykule, „bez Ukrainy Rosja przestaje być imperium, podporządkowawszy sobie Ukrainę, automatycznie staje się imperium”. Ukrainie — jeżeli Kijów nie zacznie „powrotu” — grozi dziś albo wybuch na Krymie, albo uduszenie przez zakręcenia kurka z rosyjskim gazem. Przykład Białorusi, która „wraca” w dobrym kierunku, powinien wystarczyć. Rosyjski chaos jest coraz bliżej polskiej granicy.

Po drugie, sądząc z postępowania Moskwy, bardzo wyraźnie należą do tej strefy także kraje bałtyckie. Ponieważ tu nikt z nikim nie prowadzi wojny, trzeba było wymyślić coś innego. Troska o rosyjską diasporę, której grozi w tych krajach rzekomo czystka etniczna, jest — według Jelcyna — świętym obowiązkiem Rosji. To zresztą prawda. Tylko, że czystki etnicznej naturalnie nie ma, i że w tym przypadku jest to cyniczny pretekst do podnoszenia głosu w polityce międzynarodowej i opóźnienia ewakuacji wojsk rosyjskich, a także utrzymania baz i garnizonów. Proszę mi powiedzieć co ma wspólnego baza radarowa w Skrundrze na Łotwie z losem rusofonów w tym kraju? Doszło do tego, że generał Graczow, minister obrony Rosji, uznał, w czasie pobytu w Niemczech, że kwestia stacjonowania wojsk rosyjskich u Bałtów to „sprawa wewnętrzna” Rosji. Tak do tej pory mówił tylko Żyrynowski. Teraz mówią tak generałowie. Dlaczego zresztą miałby się generał Graczow krępować skoro sam prezydent Clinton porównał „zaangażowanie” Rosji, czyli obecność jej wojsk u „bliskich sąsiadów”, do obecności USA w Panamie i Grenadzie.



Po trzecie, choć na pozór kraje byłego Paktu Warszawskiego do strefy bliskiego sąsiedztwa nie należą, to jednak, według Jelcyna, Rosja ma tam „uzasadnione interesy”. Jest, mianowicie, zdecydowanie przeciwna rozszerzeniu Paktu Atlantyckiego na kraje Europy Środkowej. Debata trwa. Niektórzy się zastanawiają jakie niebezpieczeństwo (bo tak twierdzi Moskwa) płynęłoby dla Rosji gdyby Ukraina czy Królewiec graniczyły z obszarem Paktu Atlantycznego czy Unii Europejskiej, struktur ustabilizowanych i względnie zamożnych? Inni pytają, jak można izolować (to także argument Moskwy) 150 milionowy kraj, od Bałtyku po Pacyfik, pokrywający 10 stref czasu? Ale Jelcyn się upiera. Według niego, rozszerzenie NATO na wschód „otworzyłoby drogę do nowych zagrożeń dla Europy i świata”. Rosja, wołał Jelcyn, „nie jest gościem w Europie...”. Pytanie więc dlaczego tak się boi jej sąsiedztwa?

Po czwarte, strefa bliskiego sąsiedztwa wydaje się sięgać po Bałkany. „Bez Rosji, mówił Jelcyn, sprawy jugosłowiańskiej załatwić się nie da. Rosja się z tego obszaru wyeliminować nie pozwoli”. Na dowód czego Jelcyn, po ultimatum NATO, zmusił Kardżicia do kapitulacji, posłał kilkuset żołdatów do Sarajewa i do Tuzli. Zabawny paradoks. Rosja posłała do Jugosławii swych żołnierzy pod hełmami ONZ i za nasze pieniądze: inaczej mówiąc, słaba Rosja postawiła nogę w Belgradzie, co się setkom dywizji potężnego Stalina nie udało.

#### *Ani pionek ani król*

Przerwijmy ten remanent. Jak długo Jelcyn mieszka na Kremlu, to całe to gadanie można sprowadzić do retoryki propagandowej. Takiej jak podskakiwanie Kozyriewa, między innymi w lutym na międzynarodowym seminarium w Krakowie. Naród nie ma chleba, trzeba mu dać cyrk. Niech będzie.

Ale, Jelcyn słabuje, wielkich szans na drugi mandat nie ma. Kto będzie po nim nie wiadomo i dlatego, mimo wszystko, zaostrenie tonu, a nawet arogancję w rosyjskiej polityce zagranicznej należy potraktować poważnie. Procesów zachodzących w Rosji nie należy lekceważyć ani relatywizować. Jeżeli bowiem Zachód, a Polska leży na zachód od Rosji, niewłaściwie odczyta ten nowy „trend” i nie przygotowuje zawnazwu właściwej odpowiedzi, to może dać się zaskoczyć, a w polityce nie ma nic groźniejszego niż zaskoczenie.

Naturalnie, nikt poważny nie wyobrażał sobie, że można będzie sprowadzić Rosję do pozycji pionka na europejskiej scenie politycznej. Rosja, nawet Rosja całkowicie demokratyczna, będzie stale dążyć do rozszerzenia strefy swoich wpływów. Będzie to zawsze mocarstwo, choć jak mówi George Sokolow — będzie to „biedne mocarstwo”. Ale, że nie pionek, to nie znaczy, że król. Mocarstwo rosyjskie, bogate czy biedne, nie powinno otrzymać z rąk Zachodu prawa weta, możliwości decydowania o losie innych krajów.

Dlatego, choć nie należy się cieszyć za wcześnie, kilka niedawnych epizodów może świadczyć, iż na Zachodzie zaczyna coś świtać. Ultimatum NATO było adresowane do bośniackich Serbów, ale w istocie trafiło do Moskwy. Kreml nie mógł pozwolić na to, aby NATO potrafiło bez Rosji, jednostronną i jednorazową akcją, a nawet tylko jej groźbą, narzucić koniec masakry w Sarajewie, której połączone siły wielkiej Europy, nie potrafiły położyć kresu przez dwa lata. Kreml zrozumiał, że NATO mówi poważnie. Strącenie czterech samolotów bośniackich potwierdziło tę powagę. Stąd, aby uprzedzić ultimatum, nagła akcja Moskwy, „rokowania” z Kardżiciem, w istocie zwykły szantaż wobec Serbów, koniec bombardowania Sarajewa i otwarcie lotniska w Tuzli.

Okazało się, że warto mówić poważnie. I że trzeba przy poważnej mowie się upierać i pozostać. Nowa polityka zagraniczna Rosji nie jest krótkim koniunkturalnym epizodem, ani przemijającą fazą taktyczną. Zachód ma w Rosji podstawowe interesy: demilitaryzację, denuklearyzację, demokrację. To zrozumiałe. Ale strategiczna linia polityki amerykańskiej wypracowana przez „FOB” a polegająca na hasle *Russia first*, czyli „Rosja przede wszystkim” z pominięciem lub lekceważeniem interesów wszystkich innych państw całkowicie lub częściowo postkomunistycznych, od Albanii po Ukrainę, poprzez Polskę, Czechy i Węgry, zawsze była błędna, a dziś już się wyczerpała. Przypieczętowała ją amnestia dla najbardziej wrogich Zachodowi dinozaurów sowiezizmu. Dobiła, symbolicznie, afera Ames.

Sukces i lekcja ultimatum przywróciły Zachodowi część, wydawałoby się bezpowrotnie utraconej, wiarygodności. Powinny jeszcze pomóc Waszyngtonowi w rozszerzeniu wachlarza znajomości w Moskwie, zwiększenia liczby salonów, w których wypada i warto się pokazywać. Farsa z pobytem Nixona w Moskwie, który spotkał się z Ruckojem i Ziuganowem (komunista) i za karę nie został wpuszczony na Kreml, o niczym nie świadczy, jak tylko o tym, że Moskwa



leży ciągle bardzo daleko od demokracji. Groteskę podkreśla fakt, iż odmówili spotkania z Nixonem także Gajdar, zapewne ze strachu, i Żyrynowski, chyba już tylko z głupoty.

Zachód powinien skorzystać z wirażu jaki stanowiło ultimatum i jego skutki, aby wrócić do źródeł swojej potęgi i mądrości. Do Pascala, który powiedział, że siła bez sprawiedliwości to tyrania, a sprawiedliwość bez siły to bezradność. Trzeba więc, tak jak w sarajewskim ultimatum, połączyć obie. I do Disraelega, który powiedział, że mocarstwa nie mają wiecznych przyjaciół, mają tylko wieczne interesy. Wszystkie mocarstwa. I te biedne i te bogate.

Pisane 10. III. 1994

*Leopold UNGER*

Polnische Buchhandlung  
**KSIĘGARNIA POLSKA**  
 Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria  
 Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater  
 Tel. i fax: (1) 52 63 114  
 Konta pocztowe  
 Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556  
 Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.  
 Bezpłatne katalogi na żądanie

**Kraj**

## Półtony

1.

W połowie marca notuję objawy uspokojenia w polskich grach politycznych.

Prezydent Wałęsa powrócił z pielgrzymki do Indii bardziej dostojny i małowówny, jego rzecznicy i przedstawiciele, Drzycimski i Falandysz, zrobili się grzeczni i dyplomatyczni. W Komisji Konstytucyjnej Zgromadzenia Narodowego będzie ostatecznie zasiadał delegat prezydenta, wycofany w momencie obrazy, kiedy Sejm odrzucił z miejsca w pierwszym czytaniu nowe belwederskie wnioski o trybie prac nad ustawą zasadniczą. W zamian za to poseł Jaskiernia (SLD) jeden z pomysłów prezydenta zgłosił ponownie: rodzaj pojednawczego gestu, bo realnie ten akurat pomysł jest bez znaczenia — 500 tys. podpisów pod projektem konstytucji z inicjatywy obywatelskiej — i projekt i podpisy, wszystko w trzy miesiące — nie wydaje się to wykonalne. Zresztą, gdyby nawet prezydentowi udało się taka mobilizacja zwolenników, dodatkowy projekt byłby tylko jednym z ośmiu równouprawnionych.

Uspokojenie w koalicji: kandydat Rosati chwali Balcerowicza i twierdzi, że na miejscu Borowskiego zrobiłby to samo, co Borowski, gdyby mu premier narozrabiał w resorcie, ale unika obrony trybu prywatyzacji Banku Śląskiego (coraz wyraźniej nie do obrony) i, co najważniejsze, deklaruje, że czasy się zmieniły, rok już nie jest 1989 i nie walka z inflacją jest na pierwszym planie, lecz raczej wzrost gospodarczy.

Inwestycje i eksport — to są priorytety kandydata na ministra finansów, który więc nie zamierza podejmować przerwane go meczu PSL kontra SLD, lecz chciałby rozpocząć jakąś nową grę. Cokolwiek to znaczy jeszcze, pozwala przynajmniej koalicantom wyjść z kłinczu.



Spokojniej wokół Kościoła i konkordatu. Najpierw obiegał ekrany telewizyjne migawka z Jasnej Góry: marszałek Oleksy na klęczniku, dostojnie, prawym profilem (marszałek ma znacznie lepszy profil niż *en face*). To, że bardzo wysoki dostojnik z SLD publicznie praktykuje, nie jest może aż taką innowacją. Bierutowi, jako przewodniczącemu KRN, też się zdarzało. Nowością było dopuszczenie ekipy Telewizji Polskiej do zrobienia tych ujęć w jasnogórskim sanktuarium, na co musiał być wyrażać zgodę ksiądz przeor, który należy do odmiany wyznawców wojujących. Cóż, wart był Paryż mszy, wart jest konkordat klęcznika dla Oleksego. Rząd Pawłaka skierował konkordat do Sejmu z wnioskiem o ratyfikację. Zrezygnowano ze starania o renegocjację i nawet z jakiejś dodatkowej deklaracji intencji: wprawdzie w Episkopacie RP (który nie jest stroną konkordatu) zapewniano wielokrotnie, że Stolica Apostolska żadnych uzupełniających rozmów podejmować nie będzie, ale wiadomo mi, że rząd Pawłaka żadnych też, choćby sondażowych kroków w Watykanie w tej sprawie nie czynił. Chłopski premier sądzi, że może spokojnie czekać na wynik. Jeśli konkordat w Sejmie nie przejdzie, to tylko głosami SLD, Unii Pracy i odprysków z Unii Demokratycznej, wtedy Pawlak rozłoży ręce; jeśli przejdzie, to on odbierze błogosławieństwo. Kłopoty będzie miał, tak czy owak Kwaśniewski, którego jedyna szansa polegała na renegocjacji: w razie sukcesu, to on właśnie zbierałby pochwały z obu stron. Ale SLD, jak to już pisałem w poprzednim numerze *Kultury*, jest w narożniku i nie może, jak sądzi, ryzykować: SLD gra na przeczekanie, i to we wszystkim, nie tylko w sprawie konkordatu, nad którym w Sejmie da się trochę podebatować. Tymczasem, episkopat pokwitował z aprobatą skierowanie konkordatu do ratyfikacji, a prymas Glemp przed odlotem do Rzymu (11 marca) odwdziaczył się nawet rządowi wyrażając otwarcie choć delikatnie dezaprobatę dla akcji strajkowej Solidarności.

Zresztą, nie on jeden. Opozycyjna Unia Demokratyczna i rzecznik Drzycimski w imieniu prezydenta wyrażają wprawdzie „rozumienie” dla związkowców, ale jest to zrozumienie dla nastrojów, nie dla postulatów: ludzie pracy są mianowicie rozczarowani niespełnieniem obietnic wyborczych przez koalicję... Nawet prawica pozaparlamentarna nie stara się w istocie włączyć w ruch protestacyjny. Paradoksalnie zatem, zaognienie na froncie socjalnym też zdaje się owocować swoistym uspokojeniem politycznym.

— Oni wszyscy biorą się pod łokcie — powiedział mi w Sejmie znajomy poseł.

To, oczywiście, przesada. Opisywany efekt uspokojenia można wyjaśnić racjonalnie i wcale nie makiawelicznie: zaangażowane siły polityczne nie są gotowe do nowego ostrego starcia, każda musi rozetrzeć guzy, przygotować się, policzyć, potrenować. Czas potrzebny jest wszystkim, nie tylko SLD, tym bardziej, że kalendarz kolejnych spotkań na politycznym ringu jest już rozpisany. Nawet jeśli prezydent nie zakwestionuje, jak sądzę, ani budżetu ani osoby nowego ministra finansów — kiedy niniejsze trafi do czytelnika będziecie już państwo wiedzieli, czy suponuję słusznie — to na pewno nie obejdzie się bez starć nad rocznym sprawozdaniem Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji. W dwa miesiące potem — wybory samorządowe... A tzw. życie i tak przynosi coraz nowe, nieoczekiwane okazje do głośnych sporów; a to afery korupcyjna w policji, a to zerwanie dyscypliny rządowej przez ministra obrony (Kołodziejczyk wezwał senat i prezydenta do odrzucenia uchwalonego przez Sejm przepisu *Buy Polish* w zakupach zbrojeniowych), a to kodycył do sprawy Pyjasa lub Polska a prawa człowieka w Chinach.

A jednak, znajomy poseł wyczuł w atmosferze polskiej sceny politycznej coś istotnie nowego. „Oni wszyscy biorą się pod łokcie” — wskazuje na pewną wstydliwą wspólnotę interesów. Wspólnota ta łączy polityków, którzy nawykli do określonej tematyki życia politycznego, wedle niej zajmują stanowiska, piszą programy, spierają się i zwalczają. Po pewnym czasie niektórzy przynajmniej zauważają, że ta tematyka jest przestarzała, wymaga zmian, uzupełnień, pogłębień, ale nie umieją się na nie zdobyć.

## 2.

Nie będę tu zamęczał czytelników przykładami, w pewnym sensie cała ta rubryka jest poświęcona od początku starzeniu się polityki, nietrafionym tematów. Zatem tylko dla przypomnienia.

Rozliczenia i lustracje. Zaczęło się, jak pamiętamy, z przytupem, Olszewski z Macierewiczem kontra Gruba Kreska, potem przez parę lat był to główny temat ataków na Unię Demokratyczną — i jej kontrataków. Zdawało się, że właśnie ten temat tkwi w samym jądrze sporu o dwie przeciwstawne wizje Polski i świata: obrastał w Żydów, masonów, europejczyków po jednej, w Polaków, katolików, swojaków po drugiej. I oto po paru latach jakże żałośnie nic z tego nie zostało: solidarnościowy, prezydencki minister, który z powołaniem na literę prawa odmawia ujawnienia ka-



pusiów obciążonych podejrzeniem zamordowania chłopca z nielegalnej opozycji, unioniści od grubej kreski, którzy przeciw tej postawie ministra protestują w gazecie — i małe grupy manifestantów w Warszawie i Krakowie, mijane z obojętnością przez przechodniów. A dwaj prominentni politycy indagowani w tej sprawie odpowiadają mi:

„Proszę pana, co my możemy... Że to przecież starzy esbecy? Ale czyi esbecy, czyi, bo oni już nie nasi, niech pan pyta w Belwederze” (SLD). „Że nie rozdmuchujemy? A co mamy rozdmuchiwać, nam teraz nie SB, ale UOP wisi nad karkiem” (PC). Czyżby więc reżyser „Psów”, polskiego *thrillera* o losach eks-esbeków, więcej zrozumiał był z tematu niż dostojne polityczne grono?

A oto inny przykład, z ekonomii. Kolejny raz przy okazji uchwalania budżetu przez wszystkie media przewalała się ta sama dyskusja o deficycie budżetowym: czy za duży czy za mały, czy mógłby być większy... Z rzadka tylko ktoś zauważał, że na przykład przed rokiem wszyscy bawili się w przeciąganie liny pt. 5 procent (deficyt nie śmiał przekroczyć 5 procent PNB). Po roku okazało się, że ledwie przekroczył 4 procent. Ale nikomu od tego nie lepiej...

Kandydat na nowego ministra, prof. Rosati, ma rację, gdy powiada, że priorytetem jest teraz wzrost gospodarczy a już nie dławienie inflacji. Aby jednak stematyzować tę nową problematykę, trzeba się przede wszystkim odnieść do kluczowego zagadnienia zasilania źródeł wzrostu, tj. inwestycji. Wszyscy nasi liberałowie od SLD do UPR wierzą święcie, że jedynym źródłem wzrostu może być powiększenie nierówności dochodów: wszak tylko bogaci mają nadwyżki, żeby zainwestować, hołota i tak przeje wszystko, co dostanie. Wokół tej prostej tezy powinna się dziś w Polsce toczyć autentyczna debata o gospodarce narodowej. Ale, jak dotąd, nic tego nie zapowiada. Wszyscy nadal tłuką mądrości neomonetaryzmu i zapewniają się nawzajem, że pieniędzy nie wolno dodrukowywać. A tymczasem nasi businessmeni inwestują swe nadwyżki w „sponsorowanie” państwa i wszystkich jego służb. Policję i celników już sponsorują, kiedy dojdą do urzędów skarbowych, dyskusję o wysokości podatków będzie można zakończyć...

Piszą pp Wnuk-Lipiński i Jacek Wasilewski z Instytutu Studiów Politycznych PAN (*Gazeta Wyborcza*, 4 marca):

„Dynamika transformacji ustrojowej w Polsce wkroczyła — jak się zdaje — w nowy etap, nie tylko postkomunistyczny, ale także postsolidarnościowy. Tym razem „grubą kreskę”

nakreśliła znaczna część społeczeństwa. Genealogia polityczna różnych ugrupowań, stronnictw czy nawet polityków liczy się coraz mniej, a coraz większej wagi nabiera bieżąca gra interesów różnych grup społecznych i skuteczność ich reprezentowania w życiu politycznym. Uprawianie polityki poprzez symbole zdaje się mieć coraz mniejsze wsparcie społeczne. Poparcie zdobywa się w coraz większym stopniu poprzez odwoływanie się do bieżących interesów, a głównie — do poziomu życia i zabezpieczenia socjalnego. Klasyczne spektrum polityczne, wraz z podziałem na „lewicę” i „prawicę” wyłania się powoli z oparów retoryki politycznej i ten właśnie podział, a nie rodowody polityczne, będzie w najbliższej przyszłości nie tylko określał przegrupowania na scenie politycznej lecz również decydować będzie o kształcie i składzie elity politycznej postkomunistycznej i postsolidarnościowej zarazem”.

Zawsze miło jest cytować, kiedy dwóch renomowanych uczonych i to wspierając się wynikami pogłębionego badania, przyznaje słuszność naszej publicystycznej intuicji, od dawna prezentowanej na tych łamach. Ale opinie prof. Wnuka-Lipińskiego i doc. Wasilewskiego przywołuję tutaj nie dla potwierdzenia dawniejszych moich sądów, lecz dla zilustrowania teraz omawianej sprawy. Bowiem ów nowy kształt i skład elity politycznej, który zapowiadają, jest równoznaczny z narastającą anachronicznością tych, którzy toczą owe przestarzałe tematycznie spory.

W zimie 1993/1994 autorytet polityki i polityków zlatuje w sondażach na łeb na szyję. Kuroń, kiedy mu ktoś gratulował, że ciągle jest najlepszy z 53% sympatii, zauważył słusznie, że nie tak dawno był zaledwie drugi, ale z... 85%, po prymasie Glempie. Jakoż najciekawszym sygnałem z najnowszych badań jest, że wprawdzie w różnym stopniu, ale tracić zdają się wszyscy politycy, i ci z rządu, i ci z opozycji. Nawet jeśli ten czy inny nadal cieszy się sympatią — nie jest już autorytetem, nawet dla swoich zwolenników.

### 3.

Zmierzch autorytetów politycznych stwarza nowe problemy przed mediami. Po 1989 znalazły się one w pewnym sensie w komfortowej sytuacji. Zadaniem było „obiektywne informowanie”, i zadanie to wydawało się niejako automatycznie wykonalne, jeśli tylko dziennikarz był pracowity i uczciwy, a redaktor naczelny należycie chronił niezależność zespołu. Tej zresztą nikt zrazu nie atakował. Nawet dziś trudno byłoby twierdzić, że np. prywatni właściciele gazet na-



ślądują kancelarię prezydenta i jej zachowania wobec telewizji czy radia: owszem, zdarzają się ingerencje, ale mają charakter punktowy nie programowy, na serio wydawca dobiera się zespołowi do skóry dopiero gdy chodzi o sprzedaż i pieniądze. Zresztą nie bardzo może być inaczej, skoro zespołów redakcyjnych o wyraźnym, świadomym obliczu ideowym i politycznym w prasie codziennej właściwie nie ma. Dziennikarze poruszali się z reguły w siatce pojęciowej, której im dostarczała, od 1989, owa tematyżacja polityki, dziś stojąca pod znakiem zapytania, a poręczały autorytety, dziś zminiaturyzowane. Dlatego właśnie „obiektywne informowanie” wydawało się zarazem łatwe, wręcz oczywiste, i wystarczające: sens „obiektywnej informacji”, nawet wyselekcjonowanej i lansowanej wybiórczo, był bezpośrednio dany, skoro scena publiczna stała szeroko otworem a główni aktorzy coraz to objaśniali świat z góry znanymi słowami, każdy zgodnie z rolą: reformujemy, idziemy na Zachód, stajemy się normalni, jemy gorzej ale nie drukujemy pustych pieniędzy — albo: podgrzają nas komuchy, Żydzi wszystkim rządzą, czuwaj Polaku...

Utrwalił się w prasie polskiej zwyczaj unikania komentarzy odredakcyjnych, wyrażających stanowisko pisma, na kształt artykułu wstępnego *Le Monde* z pierwszej szpalty. Teksty nie podpisane, niegdyś tzw. słowo partii popadły w osławę, teraz każdy dziennikarz podpisuje swoje, gazeta udaje neutralność, „informuje obiektywnie”. Dzienniki, dla których modelem jest *Życie Warszawy*, dobierają swych stałych komentatorów i felietonistów tak szeroko — od Małachowskiego z UP do Michalkiewicza z UPR, w wymienionym piśmie — i przydzielają każdemu jego dzień tygodnia tak konsekwentnie, że przypominają najbardziej liberalne saloniki *beau-monde'u* i *demi-monde'u* z poprzedniego stulecia: dla każdego coś miłego na *jour-fix*ie. Stały czytelnik takiej gazety nie może właściwie powątpiewać o jej informacyjnym obiektywizmie. I może nawet nie powątpiewa, ale za to coraz częściej ma poczucie czczości.

Paradoksalnie, nic może tak bardzo nie podważyło w opinii wartości ideału „obiektywnego informowania”, jak szeroko rozreklamowana procedura mianowań w publicznej telewizji i radiofonii oraz koncesjonowania stacji prywatnych. Wszystko niby odbyło się przy otwartej kurtynie, z ostentacją, i dopiero po zakończeniu spektaklu widzowie, słuchacze i czytelnicy zrozumieli, że napychano im głowy sieczką: zarówno prawdziwe racje dla których prezesurę dostał Wiesław Walendziak a koncesję PolSat, jak też powody prezydenckiej

wściekłości są najzupełniej ciemne. Wiadomo mi na przykład, że w Krajowej Radzie cztery osoby były za koncesją dla TV-7, m.in. dlatego, że droga pana Solorza z PolSatu do pieniędzy, przez cztery różne paszporty i dwie „omyłki maszynistki” co do obywatelstwa dzisiejszego kandydata wydawała im się niepewną kwalifikacją. Zdecydował głos przewodniczącego Markiewicza. Potem jednak członkowie Rady postanowili, że pod ostrzałem z Belwederu staną zgodnie i obwieścili swą jednogłośnie. I teraz nie wiadomo, czy byli tylko obrońcami mediów przed brutalną samowolą prezydenta, czy również obrońcami własnych i błędów, i stołków...

Najlepsze zespoły redakcyjne zaczynają teraz pojmować, że czas radosnego fetowania bezproblemowej obiektywnej informacji się kończy. W istocie, czytelnik zawsze przyswaja sobie informację i korzysta z niej w kontekście, tyle że dotychczas przeważał kontekst zewnętrzny w stosunku do czytanego pisma: owe tematyżacje i autorytety, którym poświęciliśmy te uwagi. Można zatem oczekiwać, że w zespołach redakcyjnych uwidoczni się wyraźniej tendencja do zajmowania stanowiska i skupiania raczej wokół własnych przemyśleń i własnych, wewnętrznych autorytetów. Jeśli to prawda, to droga będzie długa, autorytetów w dziennikarstwie polskim jest dziś jeszcze mniej niż w polityce. Ale tak czy inaczej, pierwszym krokiem musi być nabieranie dystansu wobec dotychczasowych powinowactw z wyboru. Zdaje się, że coś takiego odbywa się teraz w *Gazecie Wyborczej*, zawsze jeszcze najciekawszym i najbogatszym w talenty dziennikarskie dzienniku w Polsce.

Ostatni nadzwyczajny zjazd Unii Demokratycznej przed zapowiadaną na kwiecień fuzją z liberałami, *Gazeta* (5-6 marca) skwitowała artykułem Ewy Milewicz „O niemocie” z nadtytułem „Czy Unia Demokratyczna naprawdę istnieje?” Z tekstu wynikało, że zapewne istnieje, ale nie wiadomo po co. W tydzień potem (*GW* z 11 marca) dwudniową sesję Konferencji Episkopatu podsumował gorzko Jan Turnau „Można sądzić, że wygrała opcja uważająca wolność raczej za zagrożenie niż szansę. Zwyciężył kompleks obłąkanej twierdzy”. Tytuł: „W Kościele bez zmian”.

Warto zauważyć, że w obu wypadkach nic się właściwie nie zdarzyło: pozostał Mazowiecki, pozostał Glemp, zmian nie będzie, ale ewolucja nie jest przecież wykluczona. Dotychczas publicystom *Gazety* to zdawało się wystarczać. Teraz odczuwają anachroniczność. No właśnie...



Wkrótce po zacytowanych tekstach *Gazeta* zaserwowała czytelnikom, jakby dla dopełnienia informacji, wywiady z Donaldem Tuskiem i Władysławem Frasyniukiem oraz bardzo spokojny, bardzo wyważony tekst Romana Graczyka o 13 latach prymasostwa kard. Glempa: „Prymas w trudnych czasach” (*GW* 12-13 marca). Graczyk opiniuje: „Mimo to (tj. mimo uprzednio wyliczonych błędów — K.W.) uważam, że prymasa Glempa można bronić. Trzeba to jednak robić wiarygodnie”. W jakimś sensie to chłodne zdanie jest kwintesencją stanowiska, które *Gazeta* stara się teraz zająć: stanowisko analityka-entomologa. Nie jest to, wbrew pozorom, stanowisko koniecznie sprzeczne z preferowanym dotąd tonem wysokim, obroną wartości. Ale z pewnością wyraża ono poczucie, że owe wartości nie zawsze mieszkają tam, gdzie ich upatrywano dotychczas.

A to już jest coś, jak mawiał pewien krytyk w bajce Andersena.

Warszawa, 14 marca 1994

Krzysztof WOLICKI

## Kartki ze skażonej strefy

1.

Każdy polityk ma swój znak szczególny, swoją „mantrę”, na której obudowuje działania. Dla Balcerowicza było nią coś bardzo namacalnego — mocna złotówka, dla Kuronia — współbrzmienie z biednymi, dla Hanny Suchockiej — stuprocentowa solidność. Od początku, odkąd zobaczyliśmy ją w telewizorze na lotnisku Okęcie kiedy wyłowiona z szeregów Unii Demokratycznej, i bliżej nie znana publiczności, oznajmiła dziennikarzom, że przyjmuje premierostwo, z każdego jej słowa, z twarzy, z oka, biła wiarygodność. Mówiła klarownie, reagowała bez egzaltacji, nie umykała spojrzeniem przy kłopotliwych pytaniach. Zdobyła społeczne zaufanie.

Byliśmy tak spragnieni czegoś, co by nie było szalbierstwem władzy, że gotowi byliśmy przymknąć oko na jej błędy w imię wiary, jaką budziła swoją osobowością i zachowa-

niem, zdawało nam się, nieposzlakowanym. Wszystko w jej życiorysie przemawiało na jej korzyść: i małe miasteczko, i pochodzenie z uczciwej, patriotycznej rodziny aptekarzy, i nawet epizod przynależności do Stronnictwa Demokratycznego brano jako przejaw poznańskiego pozytywizmu, który właściwie podpowiada sumieniu, kiedy można powiedzieć *posso*, a kiedy *non posso*.

Toteż kiedy Suchocka wraz ze swoim rządem utraciła urząd, nie utraciła powszechnego poważania. Nadal — co rzadkie przy zejściu z pierwszego szeregu sceny politycznej — towarzyszyły jej wysokie notowania na listach popularności. Całkiem poważnie zaczęto wymieniać jej nazwisko jako przyszłej głowy państwa. Zapewne, nie z powodu szczególnych umiejętności czy doświadczenia, ale ze względu na nieposzlakowość właśnie.

I nagle trach: Hanna Suchocka oddała do siebie na odchodnym samobójczy strzał. Przyznała sobie „na do widzenia” 142 mln zł nagrody z kasy państwowej (innym swoim ministrom — nieco niższe kwoty). Dla porządku powiem, iż suma ta odpowiada mniej więcej pięciu latom przeciętnej polskiej emerytury.

Fakt, że był to strzał samobójczy, uwiarygodniły setki listów od czytelników, jakimi zostały zasypane redakcje. Ludzie nie taili swojego rozczarowania wobec jej osoby.

Sposób, w jaki rząd Suchockiej się tłumaczył, był zenujący i jeszcze pogarszał sprawę. Po pierwsze mówiono, że nagrody dlatego nie zostały ujawnione samorzutnie, ponieważ nikt rządu o nie nie pytał; po drugie, wszystko odbyło się *lege artis* (bez wątpienia) ale tu następowało powołanie na ustawę z roku 1982 (sic!), co wydaje się świadczyć jeśli nie o bezczelności, to o głupocie, a po trzecie, przecież wszystkie kolejne rządy, argumentowano, przyznawały sobie nagrody poza pensją, a ten ostatni — Pawlaka — już je pobrał za pierwszy kwartał swojego rządzenia.

Czy Hanna Suchocka nie rozumiała, że jej kapitał polegał na czymś zgoła innym niż pieniądze? Czy rzeczywiście nie zdawała sobie sprawy, że we współczesnych demokracjach nie można zabiegać, i o pieniądze, i o władzę? Że jedno wyklucza drugie? Czy raczej mamy tu do czynienia z jakimś automatyzmem „brania”, do czego w mgnieniu oka przystosowały się ekipy postsolidarnościowe? Jeżeli tak, to świadczyłyby o zupełnym rozmijaniu się z oczekiwaniem społecznym, a u Hanny Suchockiej — z niepojmowaniem swojego obrazu w społeczeństwie. Bo gdy ona mówiła o konieczności zaciska-



nia pasa myślało się, że właśnie ona czynić to będzie razem z nami. Nie sprawdziło się. Okazała się, jak inni.

Utarł się taki mechanizm: gdy wybucha publiczny skandal wokół osoby wysoko postawionej z prezydentem na czele, związany z bezprzykładnym rozbuchaniem, korupcją, nieplaceniem należności, zamazaną przeszłością czyli wokół spraw, przy których zwykły obywatel domagałby się prawnej satysfakcji, otóż wtedy przywołany do tablicy dygnitarz albo odpowiada obelgą, albo zbywa rzecz ogólnikowym słowem „populizm”, albo nabiera wody w usta i czeka aż wrzawa ustanie, aż sprawa przyschnie, aż ludzie zapomną. Nie wyciąga się z najcięższego nawet zarzutu konsekwencji, ani publicznych, ani we własnym środowisku politycznym. Nie robi się w ogóle nic. Te same osoby nadal sprawują swoje funkcje i sposobią się do awansów.

Coś fatalnego dzieje się w naszym państwie. Dla mnie nabrało to szczególnej wyrazistości przy „potknięciu się” Hanny Suchockiej, w którą — może to naiwne — wierzyłam. Nie ma czegoś takiego jak poczucie odpowiedzialności, nie mówiąc o powadze wyższego urzędnika państwowego. A może sami jesteśmy temu winni, może sami ich tego uczymy — zapominając, nakrzyżawszy się o wszystkim? Bo ich taktyka polega właśnie na słusznym przeświadczeniu, że zapominamy. I tak się też dzieje. Zapominamy bez spowiedzi, bez rozgrzeszenia i bez zadośćuczynienia czyli bez spełnienia trzech warunków, bez których mowy być nie może o oczyszczeniu pola działania. Ale w takim razie, nasza amnezja świadczyłaby o naszym infantylizmie politycznym. Czyli — nie miejmy do nikogo pretensji bo jaki kram, taki pan.

Wracając do sprawy. Chcę być dobrze zrozumiana: wspaniale jest oczywiście będąc politykiem, mieć pieniądze, ale nie zarobione ręką podatnika. Dlatego na Zachodzie politycy albo je dziedziczą, albo robią je wcześniej nim do polityki przyjdą, albo godzą się na biedę, gdyż rządowe posady nigdzie w demokracjach nie są wysoko płatne. Wprost przeciwnie, są nieporównanie niższe od gaź prezesów spółek, czy dochodów przeciętnych biznesmenów. Taka jest cena władzy, ale wielu ją wybiera dla jej słodyczy.

Premierowi Balladur zdarza się jeździć metrem. Przecież nie przez roztargnienie. Ludzie wiedzą, że ma samochody. Jednakże, taka jest natura ludzka, że lubi kiedy ten, na kogo się głosowało, choćby chwilami dzielił jego los. Następuje wtedy coś w rodzaju identyfikacji, psychiczne zbliżenie wybranego z wyborcą. Nie trzeba kończyć wydziału psycholo-

gii, żeby to pojąć, jest to polityczna freblówka. Co więc oślepiło Hannę Suchocką? Przecież ona zdawała się rozumieć to, czego inni jej koledzy po fachu nie rozumieli. I za to ją szanowaliśmy.

Można powiedzieć: drobna rzecz. Tak, ale duży wstyd. Prawda, za te pieniądze Drugiej Polski — żeby zacytować klasyka — nie zbudujemy (choć i tu można by się sprzeczać, przecież bogactwo niektóre narody oparły o stosowanie zasady: złoś sou do sou, zostawmy jednak sprawy materialne). Wstyd polega na zawiedzeniu społecznego zaufania, na utracie własnego obrazu w oczach ludzkich.

Niestety, nasze elity najszerzej pojęte, rozmijają się z oczekiwaniem społecznym w najbardziej zasadniczych kwestiach. Coraz gwałtowniej tracą poczucie rzeczywistości, kurtyna między nimi a „zwykłym ludem” (nie mam na myśli żadnych „ekstremów”) staje się coraz to bardziej nieprzejrzysta.

Jan Rutkiewicz, burmistrz warszawskiej gminy Śródmieście, potentat i katon zarazem, ze względu na bezkompromisową, sztywną nieprzekupność (na co elity patrzą z konotacją ironiczną), opowiada, że gdy tylko zasiadł przy biurku urzędu pierwszy telefon, jaki się świtem rozdzwonił, był treści „daj”. Działkę, mieszkanie, sklep, lokal. Kiedy tłumaczył, że on nie daje tylko sprzedaje i to drogo, ze względu na dzielnicę, długo uważali to za kiepski żart. Jan Pietrzak, satyryk, tak długo, że aż sprawę nagłośnił i oparłszy się o prezydenta, domagał się jawnie przydziału — otóż kiedy petenci zauważyli wreszcie, że to nie żart, próbowali mu szczerze tłumaczyć zasady demokracji, mówili „że przedtem oni brali, a teraz my — na tym to polega”.

Otóż na tym to nie polega.

Przychodzi do mnie listonosz, o którym już wspominałam na tych „Kartkach”. Z tych dobrych, co to nie wyrzuca listów kiedy ludzie nie chcą go puścić do klatki domofonem, co to roznosi listy nawet zakatarzony, co to z nim porozmawiać o wszystkim przyjemnie. Otóż ten listonosz przyszedł do mnie kiedyś i zgadało się o polityce.

— Ale Wałęsy drugi raz nie wybierzemy — powiedział. Kiwnęłam głową, że nie i spytałam, na kogo by stawiał.

— Stawiałem na Suchocką, ale po tym, co zrobiła, już nie.



2.

Potknęłam się na prostej drodze, podparłam ręką, zabołało. Poszłam na Pogotowie. Była niedziela, pogoda dobra, ani ślizzawicy, ani mgły, więc na szczęście, pacjenci nieliczni, ja, jakiś młody człowiek z kciukiem wkręconym w maszynę i pani z obojczykiem, powtarzająca machinalnie: „mało to człowiek ma zmartwień, i jeszcze to...”. Personel był znacznie liczniejszy od nas, których miał opatrzeć. Lekarz w krzepiąco zielonym kitlu wziął moje zdjęcie pod światło i orzekł „złamanie”. Zmartwiałam. Prawa ręka. Gdy przy gipsowaniu (a był to taki gips, którego budowlańcy wzbraniają się używać do zaklejania dziur w ścianach), otóż gdy przy gipsowaniu poprosiłam o takie jego uplasowanie, żeby mieć palce wolne, usłyszałam gwałtowną tyradę, że jak mi się nie podoba, to mogę iść, łaski im nie robię, mogę w ogóle leczyć się sama i tak dalej, i dalej. W odpowiedzi i ja wygłosiłam swój spicz. Że my, ludzie z wypadku, przychodzimy tu nie tylko z konkretnym urazem ciała, ale i w szoku psychicznym, a jeżeli on, lekarz, nie rozumie, że człowiek jest całością, a jego rzeczą jest nie tylko zadbać o jeden wycinek, ale o kondycję tej całości, to, że raczej powinien zastanowić się nad sensownością bycia lekarzem... Oczywiście, niczego takiego nie powiedziałam, skłoniłam się tylko pokornie i wyszłam, przeżuwać swoje gorzkie myśli.

Stare zasłużone Pogotowie na rogu Hożej i Poznańskiej! Na co mu zeszło! Pełne dramatów, upadków i wielkości, w jakich i ja jako reporter miałam swoje uczestnictwo. Wszystko już w tym Pogotowiu było, i postawy heroiczne, i tragiczne, i wielka polityka (był czas, że ludzie Pogotowia siedzieli w więzieniu, podstawieni za milicjantów, za zamordowanie Grzegorza Przemyska) — ale takiej martwej frustracji jak dziś — nie było.

Coś niedobrego dzieje się w Służbie Zdrowia. Nie myślę o systemie, przestrojeniu, wadliwości, brakach-śmakach i różnych dyrdymałach, o jakich trąbi się od lat. Myślę po prostu, że nie sposób już dłużej trzymać personel medyczny w zawieszaniu. Musi być od razu — albo rybka, albo pipka! Albo jednym ruchem sprywatyzować wszystko i wydawać specjalne „darmowe karty wstępu” dla biednych, albo powiedzieć jak jest, macie porządnie zabrać się do roboty, albo won.

Powolne działania dają efekt śniętej ryby. Jak ten oto kla-

syczny przykład z niedzielą na Pogotowiu. Oto przestronny budynek z oprzyrządowaniem, personel na miejscu, przyszedł, podpisał listę obecności, wypił kawę i rozejrzył się. Pacjentów jak na lekarstwo, więc nasuwa się logiczny wniosek, że powinni być obsłużeni *expedite*. Tymczasem, mówiąc najogólniej, byli zbywani. Właściwie wszystkie załatwiały pielęgniarki, odpowiadając na każde pytanie: „pytać w rejonie, na rejon, na rejon...” (Słynne „kolega...”)

I ja to nawet jakoś rozumiem. Nie można żyć w wiecznej niepewności swojego zawodowego statusu. Przychodzi moment, że bariera cierpliwości zostaje przekroczona i od tego momentu wszystko zaczyna się toczyć irracjonalnym trybem.

Obawiam się, że można to zdanie odnieść do szerszego kontekstu anno Domini 1994 w Polsce.

3.

Przed kilku laty zdarzyła mi się manicurzystka, która manipulując przy moich paznokciach zwierzyła mi się, iż była nadworną manicurzystką pani ministrowej Beckowej. Opo-wiadła o jej hojności z zachwytem. Przytaczała słowa: „Gieniuchna, świetnie to zrobiłaś, masz 20 zł na szpilki...”. „Gieniuchna” na moich palcach spartaczyła robotę. Spojrzałam na nią bystrzej, wyglądała zręcznie, nie była jeszcze stara, więc dlaczego? Z tego zawodu, gdy dobrze sprawowany, i w komunie można było wyżyć. Ale tu odpowiedzią było dalsze zwierzenie manicurzystki: dowiedziałam się, że to zajecie odwała tylko tak, dla ciągłości pracy, a naprawdę to „jeździ za handlem, jak wszyscy”.

Istotnie, cała Polska jeździła wtedy za handlem urywając się z etatowej pracy za pomocą magicznego druku L-4 (orzeczenie o chwilowej niezdolności do pracy). Któż nie pamięta polskich „flomarków” w miastach „Enerdówka”, Węgier, Czechosłowacji?! Tego naszego zrywu, jakbyśmy odkryli nagle swoje powołanie. Ciągnęły za handlem sterane kobiety z tobołami i opuchniętymi nogami z Białostoczczyzny, ze Śląska, z Bieszczad, młodzi z czterema parami dzinsów na sobie, upychający kryształ po schowkach pociągów. Hej, łza się kręci, ileż tego było, i gdzie to teraz...

Nieliczni nazywali nas elegancko Fenicjanami Europy, najczęściej słyszało się jednak brudni spekulanci, bydło... Pamiętam, jak rumieniłam się na Vaclavaku za moich rodaków



roztrącających łokciami bez pardonu i z pogardą zacnych praskich mieszczan. Pamiętam, jak kelner w tymże mieście ostrzegł mnie, biorąc za Czeszkę, żebym nie siadała w bliskości tego stolika, bo tam siedzą Polacy...

Ale była i druga strona medalu: w miasteczku Krumlowo, z pewnością perle tego typu zabytkowych kompleksów miejskich na świecie, otóż w tymże czeskim Krumlowie, słowo „Polak” znaczyło wszystko dobre, wymawiało się je z szacunkiem i sympatią. Budimex budował tam wszystko, restaurował, spiętrzał wodę, oczyszczał, słowem, był nie do zastąpienia, a to, co robił, robił w najwyższym europejskim wymiarze. Obecność Polaków oznaczała skok w górę dla tego miejsca.

Rozpisałam się o tym, gdyż różnie bywało, gdyśmy się bratali wtedy z sąsiadami, nie tylko źle. A teraz jest nijak, bo ruch zamarł.

Po cichu ufam, że może zachowały się jakieś prywatne kontakty między handlującymi po obu stronach, może te załóżki przekształcą się z czasem w coś wartościowego...? Oby! Bo nie byłoby nic gorszego, gdybyśmy się stali krajem zamkniętym sąsiedzko. (Gejzery wyjazdów na Zachód elit niczego tu nie załatwią prócz prywatnych karier). Toteż trzeba chuchać i dmuchać na ościenny Wschód, który zjeżdża do nas indywidualnie z towarem i za pracą.

Źle jest zaskarbić sobie miano chamów i niechlujnych spekulantów, ale jeszcze gorzej jest żyć w izolacyjnej próżni.

4.

Przychodzi do mnie sprzątaczką, która sprząta jeszcze u wielu ludzi i w różnych firmach. Niezłe warszawskie zajęcie, zwłaszcza gdy jest się „siłą”, można dyktować warunki. I oto raz przyszła do mnie moja „siła” z ręką na temblaku (kości kobiet w pewnym wieku stają się kruche, a u nas nie ma żadnej profilaktyki w tym zakresie) i przyprowadziła ze sobą drugą osobę. Będą sprzątać obie, a raczej „chora ręka” będzie doglądać nowej. Otworzyłam szeroko oczy. Do niedawna każdy w Polsce zatrudniony przedstawiłby pracodawcy w takim wypadku spokojnie wspomniany druk L-4, i oddał się chorowaniu. Ale już nie dziś. Moja pani zwierzyła mi się, że opłaca swoje zastępstwa drożej niż sama zarabia, ale robi to w obawie utraty pracy. I tak jest wszędzie. Magiczne powiedzenie, że ktoś jest „na chorobie” przestało istnieć. Już go nie usłyszysz w polskiej gwarze.

I tym optymistycznym akcentem kończę. Jest on skromniutki, bardzo skromniutki, ale kto wie, czy nie rozrośnie się niebotycznie. Paradoxy królują w skażonej strefie.

luty-marzec 1994

Ewa BERBERYUSZ

## Z ukosa

Akt rejestracji samochodu przeniósł mnie niespodziewanie w przeszłość. Stanąć oto musiałem w omszałej czasem kolejce, której końcówka drżała z niepokoju czy tego dnia w ogóle uda jej się dojść do celu. To jest identyczna kolejka, jak ta z czasów komunistycznych, z głową bliską okienka, z pełnym niepokoju ogonem, ze swoimi gardłującymi i swoimi pokornymi, z kłótniami co nagle wybuchają by nagle zacichnąć na przegubie. Jest jednak różnica. Ta kolejka już wie, że jest z innej epoki, że jest skamienieliną, a na dowód tego słychać nieustannie głosy: „Nie do wiary, dziesięć lat temu tu stałem i było identycznie”. I jak wtedy pojawia się nagle zdesperowana osoba, co jest cieniem siebie samej, a chociaż dopiero co przyszła, zmierza od razu ku niebu okienka. Kolejka stroszy grzbiet, jak kot na widok psa.

— A Pani... co sobie myśli?

— Ja nic nie myślę — odpowiada szczerze blada niewiasta, która rzeczywiście sprawia wrażenie osoby co nie ma już nic do stracenia — „czwarty dzień stoję, bo to, bo tamto...” Widać, że mówi prawdę, że padła ofiarą błędów i nieporozumień, a jednak jak za dawnych czasów kolejka chociaż złożona z ludzi wykazuje się nieludzkością.

— Nic nas nie obchodzi ile dni pani stoi, niech pani staje na końcu.

Zawsze mnie uderza w czasie polskich kłótni ten krzyżący kontrast, między formą Pani, Pan, a resztą zupełnie bezpańską.

Czterodniowa niewiasta nie ustępuje, a kolejka chociaż zrzędzi nie dokonuje rękoczynu. Jest nieludzka, ale nie ma żadnych narzędzi nieludzkości. Ot też i Polska, myślę.

Warszawa w lutym sprawia wrażenie przygnębiające w najwyższym stopniu, a nagle mrozy chwyciły to przygnębienie w obcęgi. Nieliczne nowe oazy luksusu i cząstkowej czy-



stości błyszczą wyzywająco w słońcu. Kiedy wdepnąłem nagle we własną depresję, miasto wydało mi się Hadesem obsranym bardzo precyzyjnie przez psy. Zdziwienie, skąd ten biedny kraj posiada tyle psów, jak wiele te psy jedzą i jak gwałtownie trawią. I co się stało z planami, by u nas właściciele psach sprząkali, jak w niektórych czystych krajach? Dopiero gdy z autobusów przesiadłem się do własnego samochodu ujrzałem rzecz z innej perspektywy, bo przemieszczanie się samochodem po Hadesie to rewolucja w odczuwaniu. Działalność psów przestaje być problemem, a nawet ludzie wydają się niezupełnie realni. Ci ludzie są smutni. Smutni byli za socjalizmu, smucają się za wolności. Ta czarna depresyjna wstążka, która wiła się nigdy wszędzie, którą od dwóch wieków dostrzegli przybysze z innych, mniej doświadczonych przez historię krajów, nadal gęsto się plecie.

Depresyjna była też manifestacja „Solidarności”, szło coś ponad 50 tysięcy ludzi, w szarówce konającego dnia, w deszczu siąpiącym nierówno jakby miasto było psem, który podniósł niepewnie nogę nad pochodem. Niewiele z tego widziałem bo siedziałem w gęstwinie własnych przekleństw, w jednym z wielu tysięcy samochodów, które utknęły w wielogodzinnych korkach. Miasto zatkało się na amen. Widziałem potem już tylko przygarbione niedobitki pochodu, ze zwiniętymi sztandarami i hasłami, które głosiły, że „Polska Powstanie”, a Wałęsa to zdrajca. Tłum miał skandować głównie hasła antykomunistyczne i antyrządowe. A przecież ten rząd w swoich populistyczno-socjaldemokratycznych hasłach jest najbliższy demonstrantom. Prasa doniosła, że radykalna grupa „Solidarności” z Ursusa pod przywództwem niejakiego Wrzodaka, który walczy swym radykalizmem o duszę związku z niewiele mniej populistycznymi Krzaklewskim i Jankowskim, wykrzykiwała hasła antysemickie. W zadnią część pochodu włączyli się skromnie ale godnie przywódcy prawicy. Oto nasza zmarginalizowana prawica wlecze się w ogonie socjaldemokratycznego pochodu. Natomiast Leszek Moczulski, szef KPN-u, wyskoczył ze swej siedziby i chciał wejść w samo czoło manifestacji, ale to czoło go strąciło w jamę gębową i wypłuło na chodnik obślinionego okrzykami — agent!

O tak, żadnemu politykowi nie będzie łatwo z tym tłumem, bo ten tłum nie ma poglądów politycznych, posiada tylko poczucie — nie mamy jak żyć, tak dłużej być nie może. Przywódcy związku ci bardziej rozsądni mówią ustami Macieja Jankowskiego. „Tak ostry odchył na prawo, który u

nas widać, jest tak samo niebezpieczny jak bolszewizm”. Zarazem jednak „Solidarność” nie może zaakceptować postkomunistycznej lewicy, chociaż tak wiele poglądów ich teraz łączy.

Wysoki urzędnik państwowy informuje mnie ze szczerym smutkiem, że „Wałęsa niestety popiera ten rząd”. A co ma nie popierać? Na tle takiego rządu on sam wygląda wcale nieźle. Ale już w miesiąc później parlament, w tym posłowie PSL-u oraz SLD, głosuje przeciwko prezydenckim projektom obywatelskiej inicjatywy konstytucyjnej, która dawała możliwość rozwiązania parlamentu gdyby projekt konstytucji upadł w referendum. Jak widać sejm niczego tak się nie boi jak furtki, którą może wejść konieczność popelnienia samobójstwa. Skaleczony wynikami głosowania Prezydent rusza do boju z antykomunistycznym przekleństwem na ustach. Wczoraj głaskał Premiera, brał go czasami na kolana, dawał małego klapsa, klepał w policzek dla zachęty. I oto nagle wypełnia się żelazny scenariusz, niewierny Premier jak wszyscy poprzedni staje się wrogiem Prezydenta. Czyżby polowania z adiutantem Wachowskim, wszystkie te trupy niewinnych zwierząt, miały pójść na marne?

Ruszyła też karuzela kadrowa, postkomuniści zaczęli się pchać z powrotem na stanowiska bez umiaru i bez sensu, znak jak szybko odżywają dawne namiętności, a lekcja roku 89 została zapomniana. Czyli raz upadli i ogłupiali przez władzę nawet gdy podniosą się godnie, kiedy ponownie otworzy się im drzwi władzy, tracą zupełnie głowę. Gorzej, że wracają ci mniej zdolni, którym nie powiodło się w biznesie. Główne ich atuty to umiejętność mimikry. Czyli możemy się już pożegnać z paradoksalną satysfakcją, którą podzielało zaskakująco wielu z naszej dawnej opozycji, że wygrali postkomuniści na przekór chorej na głowę prawicy. Teraz można od nowa zacząć nie cierpieć czerwonych. Właściwie bardzo przyjemnie.

Premier Pawlak sprawia wrażenie, że ta funkcja go tak przerosła, że balansuje na granicy jakiejś katastrofy psychicznej. Ja go właściwie rozumiem, rozumiem nawet, że tam się pchał, a teraz ledwie żyje. Pewien poseł, którego spotykam opowiada mi, że widuje premiera z bliska i nie ma żadnych wątpliwości, że ten znajduje się w uspokajających ramionach środków psychotropowych. Złośliwych rodaków, których już nie stać na dowcipy polityczne, stać jeszcze na złośliwe obrazki — „premier Pawlak — czyli portret pamię-



ciowy". To aluzja do nieruchomego wyrazu niepokoju jaki się maluje na obliczu Premiera.

Dziennikarka, która robiła z premierem wywiad, miała wrażenie, że przez cały czas skupiał się wewnątrz jakby chciał sobie przypomnieć wcześniej wykutą lekcję i szedł myślami chwiejnie, jak idzie ślepiec stukając laską o krawężnik.

Cały konflikt wokół ministerstwa finansów, i w końcu rezygnacja ministra Marka Borowskiego, jest najwyraźniej serią nieporozumień wzmocnionych jakimiś godnościowymi problemami, co zresztą potem całkiem zrećcznie wykorzystał Premier by osłabić SLD. A więc nie inne poglądy na finanse, nie walka o banki, czy strefy wpływów, a krzywe spojrzenie powoduje, że koalicja niemal się rozpada a Polskę zagląda w oczy polityczny kryzys i nowe wybory. Tu też kłania się amatorstwo i uchyla dziurawego kapelusza.

A najbardziej zaskakuje, że mimo wszystko Premier ma coraz lepsze oceny w tak zwanej opinii publicznej. Atakują go i ośmieszają *mass media*, ale ludzie znowu nie ufają *mass mediom*, więc to jest też punkt dla niego. Niewiele mówi — znowu dobrze, bo wytarły się słowa nadużywane w wolności. Krytykowano politykę informacyjną poprzednich rządów, więc obecny rząd uznał, że najlepiej w ogóle nie informować, tylko pokazywać Miss Polski w roli rzecznika prasowego.

„Portret pamięciowy” co bawi inteligentów, dla tak zwanych prostych ludzi jest portretem kogoś bliskiego, było tylu nieznanym co zawiedli, to teraz chcą zaufać figurze, którą nazwiemy anonimowym znajomym.

Wiele jest znaków, że zbliża się czas triumfu Polski zaściankowo-konserwatywnej, ani prawicowej w stylu Kaczyńskich i Olszewskiego, ani lewicowej w stylu dawnej nomenklatury. Ale Polski okopanej w małych gospodarstwach rolnych, zaszczonej przez brak pracy w małych miasteczkach, Polski, której uciekły wszystkie pociągi. Oto Polska B. tak skłócona i zagubiona zaczyna odnajdywać nagle wspólny interes, który nazywa się — „przeżyć”. To bardzo wyraźny i mocny interes. Wygrali już wybory do Parlamentu, a teraz chcą zwycięstwo przełożyć na język faktów. Przeciw nim jest jednak potężna rzeka naturalnych praw ekonomicznych, która jednak ruszyła i płynie. Jak te dwie siły będą się teraz ze sobą ścierać, od tego zależy przyszłość kraju. Na razie kształt budżetu wskazuje raczej na kontynuację dawnej polityki. Następnym wielkim tematem będzie tempo prywatyzacji, gotowość do reform systemu ubezpieczeń społecznych i całej sfery socjalnej. Trudno sobie wyobrazić skalę samogwałtu jaką

musieliby sobie zadać ludowcy, bo SLD-owcom łatwiej się na taki akt zdecydować, lecz bez wielkiej reformy socjalnej kraj utknie na mieliźnie.

Są też miliony ludzi na wsi, z którymi nikt nie wie co zrobić, są rzesze robotników wypłutych przez zdechłe fabryki, to nie jest tumor, który zostanie wessany naturalnie przez organizm kraju. Tu potrzebne są niezwykle poważne zabiegi. Ale przedtem musi być koncepcja i narzędzia. Narzędziami są Centralne Urzędy, *civil service* i oczywiście wola działania. Przyjmijmy, że ta wola jakimś cudem się pojawi. Za to Urzędy właśnie się rozchodzą, jak rękawy wytartej koszuli. Kto tam jeszcze coś potrafi to ucieka do biznesu. Ciekawe jak daleko może zająć erozja kadr w Centralnych Urzędach i gdzie jest moment gdy suma niekompetencji prowadzi do paraliżu? Kto więc i jak zagospodaruje miliony niepotrzebnych?

Dzielnica Praga ma nadal blizny na gębie i ospowate policzki. Ale ulica Targowa zaczęła czesać włosy i widać nawet gdzieś gdzieś całkiem nowe i staranne zęby. A jednak tamtejsze klatki schodowe nadal lepiej przebywać po zabiegu anestezjologicznym. Wielki bar, który serwuje kurczaki wygląda jak wyspa przybyła z miejsca, gdzie każdy zamordowany kurczak idzie od razu do nieba. Tego kurczakowego pałacu pilnuje uzbrojona ochrona, a dla dzieci jest salon zabaw w niczym nie ustępujący salonom gdzie bawią się dzieci z lepszych części naszego świata.

Bazar Różyckiego jakby okrzepł i spowaźniał, to pewnie by odróżnić się od rosyjskiego targu na koronie Stadionu Dziesięciolecia. Baby praskie dostojne w swojej grubości, odziane dostatnio, to już prawie biznes-baby, widzę jak wśród nich krząta się niewiasta listonosz pełna radości istnienia i na każdy stragan podaje z uśmiechem list, którego koperta upstrzona jest nazwą jakiegoś banku. Tak oto bazar Różyckiego, chociaż ma swoje azjatyckie zakamarki, przynosi się jednym poślakiem do Europy.

Są więc już polskie biznes-baby, ale na mnie większe wrażenie czynią nasze biznesowe-kobiety (*business-women*). Coraz ich więcej w restauracjach i za kierownicami eleganczyków samochodów. W pęczniących torebkach, gdzie szminka leży obok mini pistoletu na gaz, piszczą co chwila satelitarne telefony, proszą o pieszczotę, ale wiotkie dłonie chwytają je wprawnym ruchem za gardła wyduszając kolejną sprawę i następnym interes. Każda z nich ma swoją prywatną Odyseję, gdzie na rozmaitych wyspach źle były traktowane przez męż-



czyn. Więc teraz gardzą mężczyznami, używają ich wyłącznie w celach higieniczno-sanitarnych, zaś uczucia wyprowadzają na smyczy raz dziennie. Czym różnią się od zachodnich *business-women*? Bez wątpienia jakąś dodatkową komplikacją duchową, zaś ich organ punktualności ma jakiś defekt, co jest niestety w Polsce nadal powszechne. Czas pokiereszowany przez historię posiada u nas bardzo nierówną materię, płynie więc też koślawo, pewnie dlatego tak trudno go właściwie mierzyć.

Teraz rodzi się pytanie, czemu ruch feministyczny nie może się przyjąć w Polsce, w kraju gdzie jest tylu durnych facetów, co tę durność obnoszą jak pawie ogony? I w kraju, gdzie kobiety nadal przywalone są obowiązkami, którymi w wielu krajach kobieta dzieli się sprawiedliwie z mężczyzną, w kraju gdzie męski Sejm uchwalił ustawę, która dotyczy najważniejszych kobiecych spraw, a uchwalił ją nie pytając kobiet o zdanie. Ale nic jakoś nie wychodzi z prób tworzenia kobiecych grup nacisku, a tylko one mają sens. Bo sam ruch feministyczny na Zachodzie szybko zwyrodniał.

Można sądzić, że istnieją w naszej szlachecko-rycerskiej kulturze liczne symboliczne gesty wobec kobiet, które im stwarzają pozory, że są ważne i rozbijają słuszne pretensje wobec samczego świata. I jest u nas jakaś prawdziwa ważność kobiety w rodzinie, podskórna ważność obok jej podrzędności, jakaś sprzeczność, która zdaje się dodawać pieprzu do i tak zbyt mocnej przyprawy jaką jest związek małżeński. I wisi na nas bardzo długa katolicka koszula, co prawda z licznymi dyskretnymi otworami na to i owo, ale, u samej góry jest głowa kościoła, która ustami męskiego Boga daje władzę płci męskiej. Zarazem jednak Matka Boska jest w Polsce szczególnie adorowana, a pojęcie Ojczyzny nie przypadkiem jest u nas kobietą. Mickiewicz pisze piękny wiersz do „Matki Polki” ale polscy psychoterapeuci mówią o destruktywnej nadopiekuńczości polskich matek, która potem okalecza mężczyzn.

Mój znajomy, inteligentny i przebiegły szwedzki eseista upiera się od dawna, że nasz północny sąsiad, Szwecja jest mężczyzną zaś Polska kobietą, i że potrafi to udowodnić. Bez wątpienia dla dobra naszej tożsamości zmuszę go kiedyś by pokazał dowody, bo badanie płci kraju wydaje mi się zabiegiem niezwykle doniosłym.

Kanał telewizyjny „Polsat”, którego właścicielem jest polski milioner Zygmunt Solorz, otrzymał ogólnokrajową koncesję.

Czyli wygrał on telewizyjny i publiczny konkurs, gdzie 10 konkurentów prezentowało Radzie swoje oferty. Upublicznienie ofert miało ukazać społeczeństwu uczciwość Rady. Nic nie pomogło. Rada jest zagryzana, również przez czynniki kościelne, które walczą o radiowe programy katolickie, a pierwsi członkowie Rady podają się do dymisji, inni zaś mówią, że toną w bagnie nacisków i pomówień. Teraz trwa nagonka na „Polsat”, w którą włącza się Prezydent. Pogniewał się na Radę, bo była krnąbrna i teraz ją ukarze. Wyczuł grzechy milionera, bo jak mówi: „We mnie jest coś takiego, że ja po prostu wiem, do czego ktoś jest zdolny”. Wiara w jasnowidzenie jak widać nie opuszcza Prezydenta, bardzo to wygodnie jasnowidzieć gdy się jest Prezydentem.

Ale prasa też sugeruje, że milioner zarobił swoje pieniądze na lewych interesach. Jeśli to prawda, to potwierdza się ludowa mądrość, że każde duże pieniądze u nas śmierdzą. Czyli biedni są uczciwi a bogaci nie. Każdego bogatego można wsadzić bez sądu, bo dowodem są jego pieniądze. Każdy niemal tydzień ujawnia nowe afery, a ja od kompetentnych osób wiem o takich, które nie ujrzały światła dziennego.

Mając ostatnio kontakty z polskim radiem i telewizją nie mogę dojść do siebie po szoku jakiego doznałem przy bliskim spotkaniu trzeciego stopnia z pracującymi tam dziennikarzami. Albo ja mam jakiegoś wielkiego pecha, albo są tam ludzie, którzy wykonują swą pracę przez pomyłkę. Lecz jak możliwa jest taka ilość pomyłek w jednym miejscu? Niestety kiedy się ogląda naszą telewizję to sumę tych pomyłek po prostu widać nagim okiem. Siermiężne amatorstwo. Prowadzący nie wie o czym robi program, kto jest jego gościem, o co pytać, na szczęście czasami zapyta o co pytać wcześniej, więc jak tu nie pomóc biedakowi. Niewiasta, która pudruje mi nos (co za niezwykle zawód) wymienia ze mną przy okazji kilka zdań, podobnie jak potem księgowa i człek od techniki. Wszyscy wydają się równie „uzdolnieni” by prowadzić program, co dziennikarz. Boję się tylko, że redaktor mógłby mieć kłopoty z pudrowaniem nosa. Polska jest nadal doprawdy niezwykle krajem, gdzie każdy może być każdym. Ta prawda niestety dotyczy też wszystkich dziedzin gospodarki, jak i naszej polityki oraz najważniejszych państwowych funkcji. Liczba absurdalnych nominacji nie maleje, nie maleje też liczba absurdów produkowanych przez absurdalnie nominowanych. Wydaje się, że nieliczni kompetentni



uciekli do biznesu lub wyemigrowali. Oglądając Polaków za granicą i Polaków w kraju, mam chwilami wrażenie, że naszych trzeba by podłączyć do wtyczki, która znajduje się poza ich ojczyzną. Wtedy dopiero zapalą się światła.

Jak to wszystko może funkcjonować, wielokrotnie zadawałem sobie pytanie? Jak wielki musi być margines w ramach naszej cywilizacji na błąd i niekompetencję, że to jednak i mimo wszystko trzyma się kupy. A wtedy przypomnieli mi się liczni moi znajomi, oraz sąsiedzi, którzy w stanie pełnego upojenia alkoholowego jakimś cudem trafiają do domu, a myślą co najwyżej piętro już w samym finale.

Ale państwowa telewizja nasza to nie tylko amatorstwo. Zupełnie przypadkiem obejrzałem program, który mnie oburzył, a myślałem, że już nic mnie nie ruszy. Oto na ekranie pysznił się dziennikarz Zygmunt Broniarek, wieloletni komunistyczny i bezgranicznie cyniczny korespondent. Pokazywał bez żenady swój cynizm, gaworzył o przeszłości nie ukrywając swych łajdactw, po prostu przerabiał je na ciastka z kremem. A zgromadzona w studio widownia wsuwała aż się kurzyło. Zaś miliony Polaków przed ekranami uczyło się, że owszem istnieje moralność, ale jedynie po to, by ją publicznie drzeć na strzępy. Poczulem jak wzbiera we mnie gniew na komunę, zdawało się już zupełnie wygasły i przysypany zużłem naszych bratobójczych wojen na górze i na dole. I nagle poczułem nic spiskowego myślenia w sobie — kto ten program puścił, kto za tym stoi? Odpowiedź wydaje się prosta. Stoi za tym głupota redaktorów, a demokracja bynajmniej głupoty nie ruguje, zdarza się, że nawet ją promuje. A podejrzliwy Pan Bóg zasyła nam z czyścica takie kreatury, aby testować naszą demokrację. Co to za wolność słowa, która nie przełknie Broniarka.

To, że ludzie przestali w Polsce mówić o polityce, jest właściwie zrozumiałe, nie jest to ani wesoły, ani smaczny temat i jakby mało było nieszczęść, polityka u nas przestaje być ciekawa. Dlatego teraz głównym tematem rozmów jest giełda i akcje Banku Śląskiego, oraz szybkie i niebywałe fortuny. To napędza uczucia, buduje nadzieje i rodzi straszne niepokoje. O giełdzie mówią moi znajomi artyści, o tym rozmawiają w szkole koledzy mojego syna, a zdarza się o tym myśleć i mówić co zamożniejszym emerytom. Czyli narzeczcie jest u nas Ameryka i gorączka złota! Niemal wszyscy już mieszkają na Wall Street, byle nie wyglądać przez okna na

ulicę, a tylko patrzeć na finansowy sufit pokoiów i niepokoju własnej duszy.

Nikt nie wie dokładnie jak ta giełda funkcjonuje, jej zachowania są niemożliwe do przewidzenia, podobno najwięcej wygrywają ci którzy najmniej znają się na finansach.

Te finansowe namiętności winny nas cieszyć, bo jak inaczej budować z niczego kapitalizm. Ale poraża skala zjawiska.

Naczelnym kryterium jest dzisiaj: opłaca się, lub nie opłaca się. Z tym, że „nie opłaca się”, niezwykle dominuje obrastając tereny, które wczoraj wydawały się zupełnie poza zasięgiem sfery opłaca się lub nie. I nawet czasami wydaje mi się, że szczególnie młodzież dochodzi do ostatecznego wniosku, że nie opłaca się być Polakiem. Nie wiedzą, że polska wkładka duchowa, która co prawda ostatnio schudła i zrogowaciała czyni, że gdziekolwiek poza ojczyznę rzucą ich losy, to przyjdzie im zapłacić bardzo wysoką cenę.

Politycy, których nazwiemy liberalnymi, ojcowie i propagatorzy wielkiego przełomu wedle recepty Leszka Balcerowicza i zachodnich ekspertów, wszyscy oni mają poczucie, że pchnęli Polskę w pożądanym kierunku po czym zostali odkopani od podejmowania decyzji przez społeczeństwo. Mają poczucie, że nie byli w pełni rozumiani, a dzisiaj bez względu na to co powiedzą, nie zostaną wysłuchani. Chociaż nie są spokojni o losy swoich reform, ale czują, że kierunek reform został krajowi nadany i nie ma już odwrotu, a potwierdza to dzisiejsza szarpanina rządu, który chce stopować ten ruch, ale jakoś nie może.

Obok żalu do niemądrego społeczeństwa, jest też żal do intelektualistów, że niewystarczająco ich poparli, a teraz wycofują się. Ale intelektualiści zupełnie pogubili się w nowej sytuacji. Wielu szarpie się w nowej rzeczywistości jak w przereźbli. Jak przeżyć, jak się urządzić, ich pensje stają się głodowe, a zarazem ich głos zupełnie zwałł w hałasach wolności. Dlatego liczni rzucają się na wakujące posady w Centralnych Instytucjach gdzie wpadają w bezzębne zachwy urzędu, w paradowo polskiej biurokracji. Teraz jednak i to się kończy, bo miejsca są zarezerwowane dla tego co zostało z dawnej czerwonej nomenklatury.

Jest też, na szczęście niewielka grupa intelektualistów, co od goryczy wolności popadła w jakiś przedziwny narodowoprawicowo-lustracyjny sposób myślenia. Nad nimi Bóg, wokół ukochana Ojczyzna gnojona przez różne lewice, za plecami



przeszłość pełna upiórów stalinizmu, które do dziś polskim niemowlętom dosypują goryczki do mleka. I jakby mało było nieszczęść z boku jest zachodnia Europa, czyli liberalna zgnilizna. A tu mądrość narodu, co szuka naszego polskiego wzoru, ale ma kłopoty, bo słabo widać we mgle podstępnie rozsnutej przez postkomunistów na spółkę z Unią Demokratyczną (czyli udecją), oraz z innymi „rózowymi”.

Ale trudno mówić, że intelektualiści nie włączyli się w wielką zmianę. Problem, że jak się ostatnio włączali w politykę, to na ogół robili głupstwa. Raz tracili głowę z miłości do Wałęsy, by doznawszy miłosnego zawodu, ziać doń nienawiścią. I jest coś w zarzucie narodowych prawicowców, że intelektualiści oderwali się od narodu, ale problem, że ten naród jest tak szalenie zróżnicowany, że sam jest od siebie poodrywany. To są wsie tkwiące w innej epoce, małe miasteczka jak wyspy dryfujące na jeziorach wódki, to dawny wielomilionowy elektorat półobląkanego Tymińskiego. Więc jak się od tej części narodu nie oderwać?

W powojennej historii Polski intelektualiści dwukrotnie angażowali się po uszy, raz niestety w stalinizm, po raz drugi w co wydawało się jego odwrotnością, w „Solidarność”. Pierwsza przygoda była iście diabelska, druga miała w sobie element anielski. Ale jak to z aniołami bywa, nie był to anioł prawdziwy, już raczej stworzony przez okoliczności. Dzisiaj „Solidarność” nie tylko nie ma skrzydeł, ale sama nie wie kim jest, wie tylko, że intelektualiści są dla niej ciałem obcym, ale przecież tego znaki były już za pierwszego wcielenia związku.

Zwykli ludzie stracili dzisiaj narzędzia do interpretacji rzeczywistości, ale przecież intelektualiści też się zgubili. Nie mogą być do końca pewni, że radykalna droga reform jest na 100% słuszna, jak tu w ogóle o tym dyskutować bez wielkiej wiedzy ekonomicznej, zaś po dawnych doświadczeniach nikt nie jest gorliwy by wierzyć, nie mając pewności. Zresztą sami wielcy ojcowie reformy, to też ludzie wrażliwi, a rzeczywistość ich przerasta.

Liberalni politycy czują się dzisiaj osamotnieni, więc chcieliby użyć intelektualistów, by tłumaczyli narodowi jedyną słuszną drogę. Ale nasi intelektualiści, obok braku pewności mają też wielki brak cierpliwości. Po trzech minutach wykładu, gdy nie widzą pełnego zrozumienia u słuchaczy, oczy im zwykły zachodzić mgłą znudzenia i pogardy dla krety. To jest jakiś rodzaj pańskości, którego ziarna zasiała nasza szlachta, a która jakoś zdumiewająco przetrzymała przez komunizm.

Znany reżyser od lat szuka gwałtownie pozytywnego bohatera do swego filmu o współczesności, bo film potrzebuje wyraźnego bohatera. Ale wszyscy nasi bohaterowie są niewyraźni, albo zdążyli się skompromitować, więc nikt inny nie przychodzi do głowy reżyserowi jak Kuroń. Ale Kuroń już się zużył jako wielki telewizyjny przytulacz do piersi, okopcił się i osmalił w płomieniu własnego ognia.

Problemem jest też brak języka do opisu dzisiaj. Nie powstają filmy ani książki łapiące za rogi byka naszej rzeczywistości. Chwilami mam wrażenie, że nasza rzeczywistość to osioł, więc zamiast z przodu, należy ją atakować od strony ogona.

SMECZ

## Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 474 — ZYGMUNT HERTZ

### LISTY DO CZESŁAWA MIŁOSZA 1952-1979

WYBÓR I OPRACOWANIE RENATA GORCZYŃSKA

Indeks nazwisk

Z listu Czesława Miłosza: ...Wiesz co byłoby najsmieszniejsze? — gdybym przeszedł do historii literatury jako adresat najwspanialszego epistologa Zygmunta Hertza...

Z listu Marii Danilewicz Zielińskiej: ...Jest to Literatura z dużej litery, przy tym wiarygodne calendarium i to nie tylko Zygmunta Hertza, ale i wspomnianych przez niego osób. „LISTY” mają wagę dokumentu i przypuszczam, że we wszystkich późniejszych opracowaniach historii Instytutu Literackiego i *Kultury* będą eksploatowane przez tysiące (nie przesadzam) młodych adeptów polonistyki i historii czasopiśmiennictwa...

Str. 520

Cena F. 160,00



## Sprawy i troski

### Polski pidgin

Mieszanie się systemów politycznych, mieszanie się języków i kultur jest procesem stale występującym w historii. Inaczej jednak on przebiega, kiedy stykają się ze sobą kultury równorzędne, inaczej natomiast, kiedy kontakt dotyczy strony dominującej i dominowanej. Wszystkie języki w Europie i nie tylko, w swojej historii zapożyczały wzajemnie od siebie nawet bardzo wiele elementów zwłaszcza słownikowych. Zapożyczenia te w wypadku kultury europejskiej były wchłaniane przez kolejne języki, przyswajane przez systemy gramatyczne, a przede wszystkim nie zmieniały one, w sensie pogorszenia się, struktury gramatycznej i bogactwa wyrazu danego języka.

Kontakty języków europejskich a zwłaszcza języka angielskiego z kulturami Dalekiego Wschodu, Oceanii i Polinezji doprowadziły do innego typu zależności, w której miejscowy język zdominowany przez angielski wytwarzał coś w rodzaju ograniczonego systemu komunikacyjnego o nadzwyczaj prostej strukturze. Był to rodzaj subjęzyka niezdolnego do wyrażania żadnych subtelności (choćby takich jak na przykład formy grzecznościowe), co niektórzy badacze przyjmują jako cechę definicyjną języków typu *pidgin*, służących przede wszystkim do kontaktów handlowych. *Pidgin* definiowany jest także przez to, że nie jest językiem ojczystym żadnej społeczności z wyjątkiem Papuasów na Nowej Gwinei. Nazwa powstała od sposobu przyswojenia sobie w XIX wieku angielskiego wyrazu *business* przez Chińczyków w Hongkongu i Szanghaju. Systemy językowe typu *pidgin* rozwinęły się bardzo szeroko i powstały niezależnie od siebie na bazie różnych dialektów i języków etnicznych, charakteryzując

się zawsze wspólnymi cechami. Jest to rodzaj prymitywnej mieszanki powstałej z konfrontacji dwu odmiennych kultur językowych, w tym jednej dominującej, utworzonej dla osiągnięcia najprostszego porozumienia się w sytuacji, kiedy nauczanie się języka obcego przekracza możliwości jednej strony lub nie stanowi żadnego interesu dla drugiej.

Znajomość *pidgin* u ludności tubylczej była znamiem awansu społecznego, choć w gruncie rzeczy językowo oznaczała regres w stosunku do własnego etnolektu czy dialektu plemiennego.

Posługiwanie się pseudoangielszczyzną w polskim, oczywiście odnowionym po 1989 roku życiu społecznym ma niestety pewne znamiona „pidginizacji”, jeśli można użyć takiego terminu. Jest to jakby zachłyśnięcie się angielszczyzną z którą kontakt nagle się zintensyfikował do tego stopnia, że przekroczył możliwości wchłonięcia jej i zasymilowania przez polszczyznę przy obecnym stanie społecznego ducha.

Jak uczy historia języka, „normalnie” zapożycza się przede wszystkim wyrazy i pojęcia, których aktualnie w języku brakuje na oznaczenie obiektów czy zjawisk, które muszą być nazwane. Tak np. obecnie wygląda sytuacja w polskiej informatyce, która właściwie stworzyła dzisiaj swój własny polsko-angielski podsystem językowy (rodzaj *pidgin!*), funkcjonujący w ograniczonym zakresie. We Francji na przykład język komputerowy został przyswojony i ma w większym dużo stopniu francuski charakter. Można się spierać w takim wypadku, co jest korzystniejsze dla użytkownika — system francuski, bliski mu językowo ale izolujący go od światowego centrum informatyki czy polski *pidgin*, nieładny, obcy, ale ułatwiający kontakt z przedmiotem. Tego problemu nie chcemy rozstrzygać w tym lub bliskim mu zakresie. Jak się zdaje nie ma powodów do darcia tutaj szat. Chcielibyśmy natomiast ustosunkować się do zapożyczeń niepotrzebnych, takich które nie uzupełniają w sposób niezbędny oczywistych luk w języku polskim, jak to jest w wypadku informatyki, czy, w pewnym stopniu, żargonowego słownictwa muzyki młodzieżowej. (Dawniej podobnie wyglądała sytuacja w sporcie co do dziś utrzymało się w żeglarskim posługującym się językiem hermetycznym niezrozumiałym dla niewtajemniczonych).

Straszliwy zalew pseudoangielszczyzną wymieszaną z innymi językami obserwuje się obecnie na ulicach, w gazetach, w telewizji, wszędzie tam, gdzie króluje handel i reklama. Widoczne jest to wszędzie, atakuje każdego, kto



mieszka w mieście, w miasteczku czy na wsi. Na polskich wystawach sklepowych królują reklamy produktów zagranicznych — powszechnego chlamu, którego nie trzeba tu wymieniać, gdyż nam za ich reklamę nie zapłacono. Wszystko to przywędrowało w sposób jakby naturalny. Było to niestety wypełnieniem istniejącej luki. Polskie ulice puste i szare czekały na ten moment rozbłysnięcia kolorami Zachodu. Wszystkich on w gruncie rzeczy ucieszył, był jawnym i widocznym świadectwem zmian, niektórzy niesłusznie twierdzą dzisiaj, że jedynym.

W ślad za tym poszły zmiany w polskich szyldach. Powoli znikają stare nazwy i pojawiają się nowe: sklep to teraz *Shop, Butik, Market, Supermarket, Bazar, Galery, Club, Fashion* itd. Poszczególne sklepy i lokale nazywa się z mniejszą lub większą dozą fantazji: *Shop Atlas-Sklep Euro; Gloria-Moda Exclusive; Sobieski Crown; Gold and Silver Exclusive Fashion; Exclusive Leather Antylopa; Leder-Odzież skórzana; Lombard Ricardo; Alpa-Zakład stolarski; Golden Galery* itd. można wyliczać bez końca. Dawne targowisko to teraz *Euro-bazar Tandeta*, inne otrzymało równie nobliwie brzmiącą nazwę: *Centrum Towarowe „King”*. Zespół sklepów na ulicy Karmelickiej nazywa się *Carmeland* — co to jest na Boga! Auta sprzedaje nam „autoryzowany dealer w leasingu operacyjnym” w firmie *Carimpex* lub *Auto Special Ltd* — skąd ta kariera dealera w Polsce? Słowo to na Zachodzie zeszło do slangu i oznacza sprzedawcę narkotyków.

Firmy nazywają się obecnie *Roy Bud Pompy; Euro-Moto-Fan; Max-Fliz; Interwest; P.H.Constal Blech; Korporacja Mark; Przedsiębiorstwo Handlowe Galaxy; Hurtownia New York*, żeby przytoczyć tylko co celniejsze nazwy. Wśród nazw firm wyróżnia się bardzo produktywna grupa z częstką -ex: *Domex, Complex; Stemplex* (robi pieczątki); *Carimpex* (sprowadza auta); *Frantex*, itp, co zrodziło już na gruncie tego swoistego subkodu ironiczne wyrażenie *dziwex* na określenie eksportu polskiej prostytucji, czy *lumpex* dla nazwania sklepów z używaną odzieżą. Biura podróży to: *Sindbad-Palm Reisen; Europalm; Monatravel; Lido-Tour; Mont-Tour; Riviera, Capital* — i podobne mieszaniny marzeń, baśni, języków i pojęć. Dawna dentystryka to obecnie *Dental-Club, Dent-America; Ivodent; Hansadental; Pol-Dent* itp. W ogłoszeniach i w witrynach czyta się teksty: „*England-Poland-Direct, Acorn International*, Londyn i inne miasta, wyjazdy w każdą sobotę”; „Jedno z największych europejskich *dental depot* zaprasza do lokalu”; „*Ideal Ibo...* nie ma lepszych, lamina-

tory, termobindownice, bindownice, gilotyny, niszczarki”.

Reguły polsko-amerykańskiego *pidgin* (bo kontakt dotyczy języka angielskiego w jego amerykańskiej przede wszystkim odmianie) psują dobre polskie nazwy. Swojsko brzmiące *Delikatesy* zmieniły się w „lepszy” obecnie *Delicates* lub *Delice Shop*. Następują przesunięcia semantyczne: bar to już nie zwykły bar, a broń Boże bar mleczny lecz *Salad Bar; Pizza Serving Bar* itp.

Przykłady można by mnożyć bez końca. Wystarczy zrobić spis szyldów z dwu ulic w centrum Krakowa aby złapać się za głowę. Ktoś naliczył w środku Warszawy pięć ulic, na których nie ma ani jednego polskiego szyldu. Przewaga tego strasznego śmietnika językowego (do którego wpływają wyrazy i konstrukcje, elementy słownikowe i potworkowate neologizmy, hybrydy i kalki językowe) w obecnym słownictwie handlowym bije w oczy, atakuje wszystkich na co dzień i bez przerwy. Co najważniejsze z językowego punktu widzenia, obecnie odbywa się proces dużo głębszego wnikania zmian w strukturę gramatyczną polszczyzny niż w wypadku „normalnych”, tradycyjnych zapożyczeń wyrazowych. Powstaje np. nowy typ konstrukcji syntaktycznej (zmiana dotyczy zatem już gramatyki) obcej strukturze polskiego zdania. Chodzi o grupę nominalną złożoną z dwu rzeczowników która nie istnieje w języku polskim, a która teraz zaczyna się szerzyć nie tylko w języku handlowym, lecz przenika pod jego wpływem także do polszczyzny ogólnej. Typowy i zasiedziały już w języku żargonowym element taki jak: *auto alarm; autokonserwacja* rozszerza się w postaci coraz bardziej zjadliwych konstrukcji (bo operujących hybrydami polsko-obcymi lub całkiem polskimi wyrazami) takich jak: *auto złom; autoszyby; biuroserwis; videofilmowanie; fotonaświetlanie, star furgon; aromaterapia* itp. (Pisownia trafia się różna, raz łączna, raz rozłączna).

O tym, że ten typ uproszczenia językowego przedostaje się już do polszczyzny ogólnej i przestaje razić świadczy np. fakt, że redakcja krakowskiego *Dziennika Polskiego* wydrukowała dziennikarce tytuł jej tekstu *Maxilapówka* — pisany w polskiej gazecie dokładnie właśnie tak!

Wszystko to można by nazwać idiotyzmem językowym, gdyby to było tylko głupie. Idiotyzmy językowe istniały zawsze. Na przykład w czasach pustki w sklepach mięsnych powstał wyraz *chinina*, którym krakowskie sprzedawczynie oznaczały sprowadzaną z Chin dość okropną mrożoną wieprzowinę. — „Czy sprzedaje pani chininę na kurczaki?” —



pytała klientka, pragnąca zamienić przydział kartkowy uprawniający do zakupu drobiu na wieprzowinę sprowadzaną z Chin. Takie „idiotyzy” językowe jak ten nie pozbawione były wdzięku i przypadkowego humoru. Natomiast nawałnica *star furgonów, Domexów, folk zespołów, Geolandów* może wywoływać silne emocje i poczucie osaczenia.

W języku polityki i biznesu (gospodarka w takiej zbitce słownej będzie ostatnio zawsze nazwana właśnie biznesem) króluje teraz *fiskus, marketing, leasing, consulting, lifting, businessmen, bizneslumen* (proponuję taką pisownię, choć wiem że się nie przyjmie). Terminy te mają dużą szansę wejścia do języka polskiego, dostosowania się do jego reguł i ortografii, podobnie jak już przyjęła się (chcemy, czy nie chcemy) *promocja, sponsor, sponsorowanie, komercjalny* i wiele innych podobnych wyrazów. Ten proces wydaje się niestety w miarę naturalny, zwłaszcza, że stanowi językowy sposób odciążenia się od socjalistycznej przeszłości a tego w swoim czasie wielu pragnęło. Trudno się np. dziwić karierze wyrazu *komercjalny*, skoro odnosi się do handlu nie mającego obecnie wiele wspólnego z tym, co było oznaczane tym wyrazem w okresie realnego socjalizmu.

Napór angielszczyzny (cudzoziemszczyzny) jest ogromny, język musi to jakoś wchłonąć lub odrzucić. Bardzo przydatni są puryści obserwujący ten proces. Do nich należy eliminacja idiotyzmów językowych w reklamach („to się wie, co się ma” — chwali się pewna panienska w reklamie tv), podnoszenie alarmu w wypadku zalewu polszczyzny koszmarnymi tłumaczeniami, rozpowszechnianymi przez nowe, komercyjne, nastawione na zyski wydawnictwa. Do nich należy śledzenie sposobów adaptowania nazw własnych rozpowszechnianych w środkach masowego przekazu itp.

Natomiast w odniesieniu do polsko-cudzoziemskiej mieszaniny rodem z Green Point w Chicago, obsługującej jako *lingua franca* rodzime „*dżojntwenczery*”, wdzierającej się do polszczyzny ogólnej powinno się podnieść prawdziwy alarm. Ten śmieć językowy wydaje się dość groźny. Jest świadectwem procesu nie tylko językowego, który oby uległ zahamowaniu. Polszczyzna zachowuje się tutaj wobec języków obcych nie jak partner znający te języki ale podobnie jak społeczność pierwotna, oddalona, zagubiona. Członek takiej społeczności przyswoiwszy sobie kilka wyrazów z obcego języka traktował to jako awans społeczny, powód do dumy i wyróżnienia. Manifestował ten język, z którego był w stanie poznać zaledwie taką ilość wyrazów i reguł, które ułatwiały

najprostszy kontakt w ograniczonej sferze pojęciowej. Można być dumnym z tego, że Polacy poradzili sobie w handlu nawet nie znając języków, ale w pewnym momencie, jeśli chce się być partnerem, jeśli chce się demokratycznie „zachowywać twarz”, trzeba pójść dalej. Trzeba zrezygnować z *pidgin*, nie rozwijać go, jak zrobili to Papuasi, ale zainwestować w rozwój własnych umiejętności językowych, co osiągnęły w bardzo wielkim stopniu nacje Dalekiego Wschodu.

Słowniki francuskie odnotowują termin *créolisme*, który oznacza dokładnie to, o co chodzi — idiotyzm językowy właściwy dla języków kreolskich — czyli języków powstałych na skutek mieszania rodzimego etnolektu ludności kolonialnej z językami (głównie romańskimi) białych właścicieli kolonii. (Przy okazji warto objaśnić różnicę między *pidgin* i kreolskim: tłumacząc w sposób najprostszy — *pidgin* nie staje się językiem ojczystym, wyjąwszy wspomnianych Papuasów, natomiast języki kreolskie, powstające od XVI do XIX w. są używane w wielu regionach dawnych kolonii francuskich, portugalskich etc.)

Współczesny francuski ma także znakomity termin *franglais* na oznaczenie szerzącego się zwłaszcza w dziedzinie handlu, kontaktów turystycznych i subkultury młodzieżowej języka bezpośrednich zapożyczeń z angielskiego. Termin powstał z kontaminacji *français* oraz *anglais*, czyli utworzono coś w rodzaju „języka frangielskiego”. Dla polszczyzny nie brzmiałyby dobrze różne kontaminacje „angielskiego” i „polskiego” — np. „angpolski”, „angolski” czy podobne. Dobrą propozycją dla oznaczenia tego zjawiska mogłaby być sugestia prof. Leszka Bednarczuka, aby je nazwać „angolizmem”. Dźwięczy w tym terminie nawiązanie i do języka „angielskiego” i do „idiotyzy” i do „kreolizmu”. Jest pewna drobna wada, która jednak nie musi być istotna. „Polski *pidgin*” miesza nie tylko angielski ale także niemiecki, włącza gwarę, żargony, i zapewne jeszcze inne języki i narzecza. Dochodzi także element marzeń i baśni, jak w wypadku wspomnianych *Sindbad-Palm Reisen, Lido-Tour, Riviera* itp.

W każdym razie zjawisko powinno być zidentyfikowane, uświadomione, nazwane i sankcjonowane (np. wysmiane, bo przecież trudno proponować stosowanie kar). Takie właśnie sprawy powinny stać się przedmiotem rozsądnej polityki językowej. Znakomita wydaje się propozycja Pana Redaktora Giedroycia, aby gminy opodatkowały każdy obcojęzyczny szyld. Pieniądze z tych podatków powinno się przeznaczać



na naukę języków obcych, aby zniknął fetysz obcego wyrazu, cała jego magiczna otoczka, która sama w sobie poprzez użycie „angolizmu-idiotyzmu” sprawić ma cud — naprawić polską gospodarkę, przyciągnąć klientów, zapewnić dobry towar, dostatek i wieczne szczęście na ziemi.

Jolanta ROKOSZOWA

## Znasz-li ten kraj?

Czego wymagać należy od porządnego przewodnika turystycznego? Przede wszystkim kompetencji autora i informacji. W obu wypadkach Ute Frings jest autorką, która w zasadzie te wymagania spełnia. Każdy, kto weźmie do ręki jej przewodnik po Polsce\*, dowie się sporo o historii i kulturze, przede wszystkim zaś o wartych zwiedzenia miejscach oraz o życiu codziennym, co jest o tyle ważne, że wędrujący po jakimś kraju cudzoziemiec musi wiedzieć rzeczy podstawowe — gdzie kupić coś późną porą, gdzie dobrze i możliwie tanio zjeść, jak telefonować, czy i jakie dawać napiwki. Oczywiście — przewodnik turystyczny nie jest encyklopedią: każdy autor wybiera te miejsca w danym kraju, które wydają się właśnie jemu szczególnie warte uwagi. Tworzy obraz kraju, do którego zaprasza — pisanie przewodnika jest bowiem zaproszeniem.

Ute Frings doskonale wie, do jakiego kraju chce zaprosić swoich czytelników. Zajmuje się Polską od dawna, w latach osiemdziesiątych pomieściła o naszym kraju sporo interesujących i ważnych artykułów w niemieckiej prasie. Była jedną z tych wielu dziennikarek i dziennikarzy, którzy starali się skupić uwagę opinii publicznej na tym, co się w Polsce działo.

Przewodnik, który właśnie wydała, przeznaczony jest dla obcokrajowców. My, oczywiście, Polskę znamy i raczej niewiele nowego z tej książki możemy się dowiedzieć. Wiemy, co oferują Warszawa i Kraków, znamy własną historię, wiemy, co jemy i jacy jesteśmy. Tak przynajmniej nam się wydaje. A mimo to warto do tej książki zajrzeć. Choćby po to, by skonfrontować

\* Ute Frings: *Polen. Ein Reisebuch in den Alltag*. Rohwolt, Reinbek 1993, s. 446.

nasze własne o sobie mniemania z oceną innych. Niekoniecznie musimy się z tymi sądami zgadzać, lecz znać je powinniśmy.

Jakaż więc Polska wylania się z przewodnika niemieckiej dziennikarki? Bez wątpienia kraj fascynujący, wart zwiedzenia, w którym „gość w dom, Bóg w dom”, którego zmagania historyczne godne są zapamiętania i którego kuchnia jest wystarczająco egzotyczna, by — mimo, iż ciężko kładzie się na żołądku — jej spróbować. Jest to wreszcie kraj przemian po latach zniewolenia, kraj budujący rynek i kraj o bogatych tradycjach kulturalnych.

To jednak wiemy. Nie wiemy natomiast, że to kraj śmiertelnie zagrożony. Przede wszystkim przez Kościół katolicki i jego fundamentalizm. Wszystko jest przezeń zdominowane — program telewizyjny, który uwolniony od cenzury poddany jest surowemu oglądowi księży; życie kobiet, które nie zdają sobie nawet sprawy z tego, że ich świadomość jest zablokowana przez patriarchalny styl myślenia, narzucony przez katolicką moralność; zdrowie i życie narodu, który ma za sprawą nakazów kościelnych uprawiać seks bez ochrony prezerwatyw, a tym samym wystawiony jest na inwazję AIDS. Niemal nie ma tematu, w którym by autorka nie ukazywała złowieszczej roli Kościoła w życiu Polski. Wprost mówi Frings o groźbie nowego totalitaryzmu, możliwości powstania katolickiej republiki z odpowiednikiem swego ajatollaha. Złośliwych uwag pod adresem Kościoła czy papieża nie sposób tu zliczyć. Zarazem pojawia się w tekście nadzieja, że temu straszliwemu zagrożeniu kochający wolność indywidualną i mający anarchistyczne postawy Polacy potrafią się oprzeć. Tyle streszczenia.

Można powiedzieć, że autorka ma na punkcie katolicyzmu obsesję. Zapewne też tak jest. Rzecz w tym, że nie ona jedna. I w tym, że podobne obsesje nie biorą się z niczego. Jest coś w polskim życiu społecznym, w sposobach manifestacji wiary, w głosach hierarchii kościelnej, co podobne refleksje czyni w pewnej mierze uzasadnione. Przy czym nie jest tak, by Frings np. negowała doniosłość roli, jaką Kościół odegrał w polskiej historii — przeciwnie: dość sumiennie omawia również te sprawy. Gdyby jej uwagi były odosobnione, zapewne nie byłoby o czym mówić. Problem w tym, że są wyrazem dość w kręgach intelektualnych Europy Zachodniej powszechnych wyobrażeń o Polsce, choć może nie zawsze tak dramatycznie manifestowanych. Wolno nam je ignorować — w końcu żyjemy w świecie demokratycznym. Sami wiemy, że tak, jak to widzi niemiecka dziennikarka, nie jest. Wiemy, lecz jednocześnie zapominamy o roli, jaką Kościół odgrywał zwłaszcza w drugiej połowie Dwudziestolecia międzywojennego, czym była np. Akcja Katolicka. Dlatego uważam, że choć sądy wyrażone w tej książce — jak w szeregu innych publikacji o Polsce — są w tej kwestii ekstremalnie prze-



rysowane, niemniej winniśmy je znać i analizować. Nie po to, by potępić autorów, lecz by dokonywać zawsze pozytywnej refleksji nad własnym życiem. To nigdy nie zaszkodzi.

Z pewnością w wielu fragmentach obraz Polski kreowany przez Frings jest zafalszowany. Dotyczy to zarówno uwag o roli Kościoła, jak — i to wydaje się szczególnie istotne — doboru materiału ilustracyjnego. Jeden tylko przykład: w rozdziale poświęconym strasznej doli polskiej kobiety, która co prawda całowana bywa w rękę i której mężczyźni podają palto, ale jest uciskana i przeciążona pracą, jako obrazek pojawia się unurzana po kolana w błocie postępująca za lichą szkapą chłopka. Cóż — zapewne zdarzają się i takie sytuacje. Rzecz w tym, że obraz silniej oddziałuje niż tekst i eksponowanie takiego akurat zdjęcia stanowi naruszenie podstawowych zasad dziennikarstwa.

Nie miejsce tu na szczegółową analizę tego przewodnika, który — jak wspomniałem — napisany jest ze znajomością rzeczy i ludzi. Nie brak w nim kilku błędów rzeczowych, paru istotnych pominięć, to jednak drobiazgi. Jedno pominięcie wszakże wydaje się znamienne. W skrótowym spojrzeniu na historię Polski na zakończenie książki eksponuje autorka wydarzenia polityczne związane z normalizacją stosunków polsko-niemieckich — ale słowem nie wspomina o jednym z kluczowych wydarzeń, jakim był list biskupów polskich do biskupów niemieckich. To już należałoby chyba interpretować w kategoriach freudowskich.

*Leszek SZARUGA*

## Sąsiedzi

### Notatki rosyjskie

Luty 1994 zaskoczył wszystkich: Rosja wróciła na arenę światową. Konflikt bośniacki, dźwiadczyła, nie może zostać rozwiązany bez niej. Do Bośni zaczęli napływać rosyjscy żołnierze, ubrani w mundury NATO, witani jednak przez Serbów prawosławnym trójpalczastym powitaniem. Dziennikarze pisali, że od 1945 nikt tak Rosjan nie witał. Jest to pomyłka. W 1945 witano wojska sowieckie. Serbowie natomiast witali jak zbawicieli rosyjskich ochotników w 1876 roku, w czasie wojny z Turkami.

Rosja nie pojawiła się na arenie światowej samowolnie, bez przyzwolenia pozostałych aktorów. Konflikt bośniacki trwał za długo. Dopóki Rosja solidaryzowała się z amerykańską polityką i popierała embargo przeciw Serbii, jej polityka przeszkadzała w ugaszaniu konfliktu serbsko-chorwacko-bośniackiego, bo Serbia widziała wokół siebie samych wrogów. Nieobecność Rosji w pertraktacjach była wyraźnie wyczuwalna, zwłaszcza od momentu, kiedy Serbowie osiągnęli swe cele. Do tego czasu hałaśliwe apele intelektualistów (szczególnie we Francji) aby zbombardować serbskiego napastnika, natrafiały na zażarte opór generałów, którzy nie rozumieli, jaki sens ma bombardowanie, jeżeli nie ma się do zaproponowania żadnego politycznego rozwiązania.

Działania wojskowe narzuciły decyzję. Trudno przewidzieć, jakim dyplomatycznym listkiem figowym przykryje się rzeczywistość, która jest jaka jest: Bośnia została podzielona między Serbię i Chorwację. Cokolwiek by mówili i pisali dyplomaci i politycy, NATO i Stany Zjednoczone już zaakceptowały ten podział. Rosja była potrzebna do tego, by przekonać Serbów, że zdobycz nie wymknie im się z rąk.



Rosja stawiała się na wezwanie. Ku zaskoczeniu wszystkich, którzy ją otwarcie lub skrycie zapraszali do stołu, następczyni wielkiego mocarstwa ZSSR zjawiała się ufna w swą siłę i rzucając w kąt proamerykańską demokratyczną retorykę, wysunęła własne żądania.

Świat zdziwił się tym bardziej, że w Rosji nic się nie zmieniło. Sytuacja polityczna jest równie niejasna jak była. Gospodarka niezmiennie znajduje się w stanie kryzysu. Wystarczyło jednak kilka twardych słów Borysa Jelcyna, protestującego przeciw ultimatum NATO i żądającego zwołania Rady Bezpieczeństwa, w której Rosja dysponuje prawem weta, aby głosu Rosji wysłuchano i przystano na wjazd jej żołnierzy do Bośni.

Największe zdumienie zmartwychwstanie Rosji wzbudziło w Stanach Zjednoczonych. Amerykańska powojenna polityka zagraniczna odznaczała się przede wszystkim głupotą, naiwnością i zadufaniem. Te jej cechy nie zawiodły w ostatnim dziesięcioleciu, a zwłaszcza po tym, jak w Puszczy Białowieskiej uchwalono, że pora rozwiązać Związek Sowiecki. Waszyngton wyciągnął z tego wniosek, że niebezpieczeństwo sowieckie zniknęło, komunizm runął i nastał czas przyjaźni i pokoju na świecie pod delikatnym, ale zdecydowanym przewodem Stanów Zjednoczonych.

Aż tu nagle tytuły gazet amerykańskich świadczą o wyraźnym szoku. „Amerykańska polityka wobec Rosji leży w gruzach”... „Skończył się miodowy miesiąc — drogi dwóch mocarstw rozchodzą się”... Po szoku nastął czas pytań. Jak nazwać stosunki między obu mocarstwami? Nie „partnerstwem” przeciwie, jak w 1991 myśleli Amerykanie. Nie wrogocią — ta epoka minęła. Może rywalizacją? Konkurencją? Dlaczego jednak w takim razie Rosja błaga o pomoc i kredyty?

Niedowierzanie i wątpliwości wzrosły jeszcze bardziej, kiedy znienacka i znów całkiem niespodziewanie dla Amerykanów okazało się, że w samym sercu amerykańskiego wywiadu, w słynnej CIA, zaczął się rosyjski szpieg. Amerykanie, którzy przez wiele lat śmieli się z Anglików, którzy śledzenie sowieckiego wywiadu w Anglii powierzyli sowieckiemu szpiegowi Kimowi Philby, odkryli, że sowieckim, a później rosyjskim departamentem CIA kierował Aldrich Ames od 1985 na służbie Moskwy.

Poza egzekucją pracujących dla Amerykanów sowieckich szpiegów, zadenuncjowanych przez Amesa i rozstrzelanych, wszystko w tej historii jest śmieszne. Śmieszny jest fakt, że

Amerykanie myśleli, iż Michaił Gorbaczow, „taki sympatyczny demokrat”, nie będzie szpiegował partnerów-demokratów. Śmieszny jest fakt, że pracowników CIA uczy się m.in. jak oszukiwać detektory kłamstwa w razie, gdyby wpadli w ręce przeciwnika. Aldricha Amesa też wyuczono tych sposobów, a potem detektory kłamstwa CIA sprawdziły jego lojalność. Historia rosyjskiego szpiega w CIA jest jednak również ciekawa, ponieważ potwierdza obawy amerykańskiego pracownika kontrwywiadu Jamesa Angletona, który przez piętnaście lat szukał sowieckiej wtyczki (o której opowiadał mu w latach sześćdziesiątych Anatolij Golicyn, oficer KGB, który wybrał wolność). I wreszcie raz jeszcze okazało się, że życie naśladuje sztukę. Norman Mailer w swojej popularnej powieści „Duch sprzedanej dziewczki”, wydanej w 1991 roku, opowiada historię nawet w szczegółach przypominając dzieje Aldricha Amesa. „Sprzedajna dziewczka” to pseudonim jednego z głównych bohaterów książki, agenta CIA.

Wkroczenie Rosji do Bośni i odkrycie rosyjskiego szpiega w amerykańskim wywiadzie zachwiały przekonaniem rządu Clintona, że jego polityka wobec Rosji jest właściwa. Kolejne wydarzenie, tym razem w Moskwie, dodatkowo wzmogło wątpliwości Amerykanów. 23 lutego 1994 roku, w dniu zapomnianego święta Armii Czerwonej, przewodniczący niższej izby parlamentu rosyjskiego, zwanej Dumą, podpisał dekret o amnestii politycznej i ekonomicznej. Wielkoduszność Dumy nie zna granic: na wolność wyszły nie tylko zastępy kryminalistów i przestępców gospodarczych skazanych za to, że chcieli żyć według praw rynku w latach, kiedy władza sowiecka bezlitośnie tępiła wszystkie „rynkowe” zjawiska, ale przede wszystkim „obrońcy Białego Domu”, przywódcy i uczestnicy puczu 1993 (zwani „uczestnikami zdarzeń 21 września – października”). Śledztwo w sprawie „pierwszych puczystów”, którzy próbowali wziąć władzę w sierpniu 1991 roku, zostało umorzone.

„Pierwsi puczyści”, reprezentowani w Dumie dwoma posłami, najprawdopodobniej ruszą teraz do działania (co młodsi już ruszyli). Ciekawe, co zrobią „drudzy puczyści”? Były przewodniczący Rady Najwyższej RSFSR Ruslan Chasbutatow oświadczył, że wycofuje się z życia politycznego, gdyż w porównaniu ze wszystkimi rosyjskimi politykami Machiavelli to dziecko. Prof. Chasbutatow najwidoczniej słabo zna prace znakomitego Florentyńczyka, jeżeli uważa, że doradca Cezara Borgii był łapówkarzem, kłamcą itp., nie dorównującym w tym zakresie rosyjskim politykom. Były wice-



prezydent generał Ruckoj nie wspomniał o emeryturze, a przywódca skrajnych (czytaj: prawdziwych) komunistów Wiktor Anpilow zapewnił, że zamierza działać nadal. Ilja Konstantinow też obiecał, że ponownie obejmie kierownictwo Frontu Ocalenia Narodowego. Można się więc spodziewać wielkiego ożywienia życia politycznego w Rosji, choć prawdopodobnie dopiero za jakiś czas, bliżej wyborów prezydenckich.

Zachód przestraszył się rosyjskiej amnestii, ponieważ nie rozumie celów polityki Jelcyna. Amnestic interpretowano dwojako. Jedni twierdzili, że została ogłoszona wbrew woli Jelcyna i przeciw niemu. Z tego wyciągnęli wniosek, że Jelcyn jest słaby i losy Rosji mogą się lada dzień znaleźć w rękach Ruckoja lub, co gorsza, Żyrynowskiego. Inni twierdzili, że Jelcyn skrzył na prawo (o czym świadczyłaby dymisja Gajdara i Fiodorowa) i postanowił poprawić stosunki z byłymi przeciwnikami. Oba warianty znaczą klęskę amerykańskiej polityki, która opierała się na głębokiej wierze, że Borys Jelcyn zaprowadził w Rosji demokrację i gospodarkę rynkową.

Długo oczekiwane i wciąż odkładane z powodów zdrowotnych przemówienie Jelcyna przed Zgromadzeniem Federalnym (obiema izbami parlamentu) wyjaśniło sytuację, choć prezydent wyrażał się jak zwykle mętnie, pozwalając na rozmaite interpretacje. Borys Jelcyn obiecał, że będzie jak dotychczas realizował „strategię reform”. Strategia jednak to polityka długofalowa. Co innego taktyka. Co do taktyki prezydent zgodził się z premierem Czernomyrdinem, który uprzedził, że pora skończyć z „rynkowym romantyzmem”. Ani prezydent ani premier nie mają nic przeciwko wprowadzaniu gospodarki rynkowej, przekonani są jednak, że stworzyć ją może tylko państwo.

Istotę polityki prezydenta ilustrują dwa jego dekrety. Pierwszy dotyczy zwolnienia ze stanowiska kierownika federalnej służby bezpieczeństwa (dawniej: KGB) Nikołaja Gołuszki. Obserwatorzy dziwili się bardzo, że Jelcyn zostawił szefa KGB na stanowisku szefa nowego bezpieczeństwa po październikowych zamieszkach w Moskwie, bo Gołuszko w najlepszym razie źle informował prezydenta, a w gorszym przypadku był gotów go zdradzić. Borys Jelcyn znalazł wreszcie właściwy moment na pozbycie się starego kagebisty i na jego miejsce mianował jego dotychczasowego zastępcę. Zmiana ta wzmacnia władzę prezydenta nad „organami”.

Innym dekretem Jelcyn mianował szefem swych eksper-

tów ekonomicznych Aleksandra Lifszycy, ekonomistę o poglądach bliskich Gajdarowi. Grupa ekspertów, która zaproponowała swe usługi Jelcynowi zanim został prezydentem Rosji, postawiła tylko jeden warunek: że zawsze będą mu mówić prawdę. Szkopuł polega na tym, że Borys Jelcyn ani wtedy, ani później nie zobowiązał się, że będzie słuchał rad ekspertów.

Pewien zachodni businessman, przyjrawszy się sytuacji w Rosji, oświadczył niedawno, że trudno ten kraj nazwać zacofanym albo rozwijającym się. Jest to — jego zdaniem — kraj rozwijający się błędnie. Czernomyrdin, który uzyskał teraz poparcie prezydenta, nie zamierza zmieniać kierunku rozwoju gospodarki rosyjskiej. Cel zostaje ten sam: jest nim potężne państwo, którego siła opierać się ma przede wszystkim na niezliczonych bogactwach naturalnych. Ropa naftowa i gaz dostarczają dewiz, ale są też bronią polityczną w stosunku do „bliskiej zagranicy”. Na początku marca zawieszono dostawy gazu na Ukrainę i Białoruś, które zalegają z zapłatą za poprzednie dostawy. Tymczasem bez rosyjskiego gazu gospodarka byłych bratnich republik zamrze. Nowością jest fakt, że nacisk na Ukrainę i Białoruś wywiera nie rząd rosyjski ale spółka akcyjna „Gazprom”, która trzyma w garści cały gaz rosyjski. Zainteresowani wiedzą, że za „Gazpromem” stoi Wiktor Czernomyrdin, który jednocześnie jest premierem. Nowy organizm — spółka akcyjna — skrywa starą treść — monopol gazowy.

Sondaż, przeprowadzony w lutym 1993 roku wskazuje, że Rosjanie popierają politykę Jelcyna i Czernomyrdina, którzy obiecują, że znajdą odpowiedź na najbardziej niepokojące pytania. Oto lista niepokojów: rosnące ceny — 82%, przestępczość młodzieży — 66%, kryzys ekonomiczny i spadek produkcji — 48%, rosnące bezrobocie — 44%, problemy ekologiczne — 28%, słabość i bezsilność państwa — 27%, kryzys moralności i kultury — 27%, korupcja — 22%, konflikty w kierownictwie państwa — 19%, zaognienie konfliktów narodowościowych — 13%, brak żywności — 12%, zbrojne konflikty na granicach Rosji — 12%, brak sprawiedliwości — 9%, ryzyko dyktatury wojskowej — 5%.

Borys Jelcyn i jego rząd proponują wprowadzenie kontroli cen i zaostrenie walki z przestępczością oraz bezrobociem poprzez finansowanie — jak dawniej — nierentownych przedsiębiorstw.

Propozycje te zadowolają ludność i wytrącają hasła z rąk opozycji, która domagała się zaprzestania reform.



Ponadto Borys Jelcyń dzięki sukcesowi dyplomatycznemu w Bośni zaspokoił potrzebę prestiżu, którego upadek tak upokarza Rosjan. Związek Sowiecki zawsze był krajem ekonomicznie słabym. Status wielkiego mocarstwa nadawały mu tylko potęga wojskowa i porządek panujący w państwie. Ostatnie posunięcia prezydenta wskazują, że szuka on sposobów przywrócenia porządku. Do tego potrzebna jest władza. Porządek wymaga władzy, władza wymaga porządku.

Pytanie tylko, czy Borys Jelcyń jest w stanie skorzystać z władzy, którą zdobył.

8.3.94

Adam KRUCZEK

## Ukraina 1994 — wolność i chaos

Jest początek marca, w Kijowie panuje atmosfera niepewności. Szaleje inflacja. Moskwa raz przykręca, raz odkręca kurek życiodajnego gazu ziemnego. Rodzima mafia kradnie i wywozi kapitały do banków w Szwajcarii i na Cyprze. Nawet porachunki polityczne stają się coraz brutalniejsze. Niedawno porwano w nocy generalnego sekretarza opozycyjnego „Ruchu”, Bojczyszyna i wszelki ślad po nim zaginął. Prezydent Krawczuk wrócił z Waszyngtonu z dużym sukcesem, ale przed tym pogłębił powszechny zamęt oświadczając, że postanowił wycofać się z przyspieszonych czerwcowych wyborów prezydenckich. Dyplomaci i dziennikarze kombinują czym to wytłumaczyć. Jedni uważają, że to tylko nowy trick wołyńskiego chytrusa, który liczy na zmianę decyzji parlamentu czyli na przedłużenie kadencji. Inni twierdzą, że Krawczuk — znakomity gracz w szachy — obliczył dokładnie swoje szanse w czerwcu i doszedł do wniosku, że nie ma widoków na zwycięstwo. Istotnie według wszystkich ankiet, na pierwszym miejscu w opinii społeczeństwa znajduje się były premier Kuczma, a na drugim przywódca Ruchu, Czornowil. Prezydent Krawczuk figuruje w tych sondażach dopiero na trzeciej pozycji. Ale z drugiej strony, czterdzieści procent ankietowanych wciąż jeszcze nie wie, na kogo by gło-

sowali w wyborach prezydenckich. Krawczuk wie, że jego zapowiedź wycofania się z gry wywoła zarówno w kraju jak i za granicą, zamieszanie i konsternację. Nawet powodzenie podczas wizyty w Stanach Zjednoczonych było do pewnej miary stonowane na skutek tych zamiarów. Obecnie prezydent wycofuje się z poprzednich deklaracji opatrując swe plany argumentem, że jemu chodziło wyłącznie o ratunek państwa przed zupełnym chaosem. Występuje z poglądem, że nie można wykluczyć poważnych komplikacji po wyborach parlamentarnych w marcu. Prezydent uważa, że w pierwszej turze, 27 marca, nie dojdzie do wyłonienia zwycięzców we wszystkich okręgach wyborczych. Trzeba będzie powtórzyć wybory w wielu okręgach 10 kwietnia. Ale i wówczas może przyjść do dalszych komplikacji, kiedy nie będzie na przykład wystarczającej frekwencji. Ukonstytuowanie się parlamentu a następnie rządu może się bardzo długo przewlekać. Nie można więc dopuścić, aby powstało kompletne *vacuum* w państwie. Dlatego prezydent musi pozostać na posterunku.

Do wyborów niedaleko, ale trudno się bawić w przepowiednie. Kiedy te słowa ukażą się w *Kulturze* już będzie po wszystkim. Katastrofa gospodarcza przesłania akcją wyborczą swym ciężarem powszechnej biedy. Stąd też w życiu politycznym panuje owa mgła niepewności. Tylko elity rozprawiają o szansach wyborczych, a lud się od nich odwraca plecami. Nocą zdziera z dzikim uporem plakaty wyborcze wszystkich partii i ruchów. W stolicy i na prowincji: zniechęcenie, apatia, niewiara. Stara hasła się zużyły, obietniki i nadzieje zawiodły, a nieudolne akcje demokratów nie są w stanie uporać się z zarzutem, że kryzys to dzieło demokratycznych niepodległościowców. Krawczukowi, wypelza władza z rąk. Na skutek sabotażu starej nomenklatury systemu rad, zawiódł jego model rządzenia przy pomocy namiestników w prowincji, odpowiednika polskich wojewodów.

Błędem tego — chyba wciąż jeszcze jedyne polityka z prawdziwego zdarzenia, było to, że nie stworzył partii prezydenckiej. Może był zbyt przekonany o swych niezrównanych walorach, może uwierzył w złudę indywidualnej charyzmy, a najprawdopodobniej nie liczył się z procesem zużycia popularności w warunkach galopującego zubożenia mas. Proces ten, w warunkach braku trwałych struktur społecznych i dojrzałych do wszelkich sojuszków grup interesów, jest dostrzegalny nieomalże wszędzie w krajach postkomunistycznych. Na Ukrainie, gdzie zniszczenie wszelkiej tkanki politycznej zostało w ciągu siedemdziesięciu lat przeprowadzone z nieubła-



ganą konsekwencją, zanik wszelkich form zarówno wertykalnego jak też horyzontalnego organizowania partii politycznych jest głównym elementem niedorozwoju.

Nie sprawdziły się nadzieje pokładane w terytoriach zachodnich, które od czasów układów powersalskich (Ryga i Trianon) po pierwszej wojnie światowej znalazły się poza obrębem rosyjsko-sowieckiego imperium, a więc Wołyń, Galicja, Bukowina i Zakarpacie. Wbrew oczekiwaniom historyków i socjologów okazało się, że stopień terroru i wyniszczenia wszelkich śladów dawnej demokracji i samorządu wiejskiego i miejskiego był głębszy, niż mogłoby to wynikać z prognoz wyrażanych, głównie za granicą, przed upadkiem komunizmu.

Na zachodnich połaciach Ukrainy jedynie stan uświadomienia narodowego jest wyższy niż na wschodnich terenach. Daje to pewną szansę stronnictwom i grupom nacjonalistycznym i ogranicza w dużym stopniu nadzieje komunistów i bliskich im socjalistów. Jednak nacjoniści są rozrywani wewnętrznymi konfliktami, a ambicje ich przywódców nie pozwalają na scalenie interesów, choćby tylko na okres wyborów. Z emigracyjnych postaci politycznych wypłynęła tylko jedna kandydatura, a mianowicie przywódczyni ruchu banderowskiego w OUN pani Jarosławy Stečko. Burmistrz Lwowa pan Szpicer nadał jej obywatelstwo i na podstawie tego jej zwolennicy postanowili wysunąć ją na czoło nacjonalistycznych adeptów w przyszłym parlamencie. Jednak centralna komisja wyborcza dopatrzyła się w tej procedurze niespełnienia podstawowych warunków i pani Stečko jeśli nie nastąpi jakiś niespodziewany cud nie zasiądzie chyba w parlamencie kijowskim.

Na wschodzie Ukrainy jest akurat wszystko na odwrót i choć znajduje się tam trochę nacjonalistycznych aktywistów, pochodzących przeważnie z zachodnich regionów, to jednak z silnymi socjalistami i komunistami nie są w stanie konkurować. W każdym razie należy liczyć się z bardzo odmiennymi wynikami w poszczególnych dzielnicach państwa, które w historii przeżywało więcej i dłużej trwających rozbiorów, niż Polska. Modne ostatnio na Zachodzie teoryjki o rychłym rozkładzie Ukrainy na zachodnią i wschodnią część nie mają źródłowego uzasadnienia. Pochodzą przeważnie z dezinformacyjnej kuchni rosyjskiej. Dotyczy to głośnego raportu wywiadu amerykańskiego CIA. Wydaje się, że wersję tę przygotował i puścił w obieg na polecenie swych moskiewskich opiekunów wykryty niedawno szpieg w Waszyngtonie Aldrich Ames. Nie znaczy to, że na Ukrainie nie ma ruchów

odśrodkowych, separatystycznych. Przykładem jest choćby antyukraiński Krym. Ale jest to odrębny problem. Istnieją separatystyczne tendencje zakarpaccich „Rusinów”, kierowane i opłacane głównie z Kanady, jest kwestia prorosyjskich grup w Zagłębiu Donieckim. Ale grupy te nie mają ani wybitnych czy choćby nawet trochę znanych przywódców, ani atrakcyjnych programów. W warunkach nie istniejącej niestety stabilizacji można by się z tymi zjawiskami najlepiej uporać wprowadzając system autonomii regionalnej.

Dziś nikt nie jest w stanie powiedzieć w jakim kierunku pójdzie orientacja polityki ukraińskiej po wyborach. Istnieje poważne niebezpieczeństwo, że parlament będzie jeszcze bardziej pstrokaty, niż dotychczas. I chociaż działa ponad 30 partii politycznych na próżno oczekiwać powstania solidnych struktur parlamentarnych pozwalających na utworzenie normalnych podziałów na rządową większość i opozycyjną mniejszość. Zmuszeni falą strajków do przedwczesnych wyborów posłowie starego parlamentu nie dopuścili do demokratyzacji. Uchwalili ordynację wyborczą, która spycha kandydatów z list partyjnych na margines, pozwala natomiast w starym stylu wystawiać rzeczników „kolektywów pracy” i instytucji. Wydana niedawno praca Instytutu Badań Strategicznych w Kijowie przedstawia całokształt życia partyjnego i usiłuje poszczególne grupy uporządkować według orientacji społeczno-światopoglądowych. Według tej metody Ukraina posiada stosunkowo najliczniejszą kategorię ugrupowań centrowych — w sumie szesnaście, duży blok jedenastu partii narodowo-demokratycznych, cztery partie socjal-komunistycznej orientacji i cztery grupy nacjonalistyczne. Tych ostatnich jest nieco więcej, ale broszura traktuje tylko o partiach notarialnie zarejestrowanych.

Cóż z tego, kiedy partie polityczne zdołały na skutek wspomnianej ordynacji spośród zgłoszonych 5833 kandydatów na 450 miejsc w parlamencie wysunąć tylko jedenaście procent swych przedstawicieli. Prawie dziewięćdziesiąt procent ubiegających się o mandaty — to kandydaci „inicjatywy” społecznej i „kolektywów”. Najwięcej pretendentów wysunęli komuniści, za nimi idzie „Ruch”, potem Partia Socjalistyczna a następnie konserwatywna Partia Republikańska i Demokraci. Wśród chętnych fotela poselskiego przeważają przedstawiciele przemysłu państwowego, biurokraci z administracji, ludzie z wojska i milicji. Ukraińcy liczą 77% ogólnej liczby kandydatów, Rosjanie osiemnaście i pół, a resztę przedstawiciele drobniejszych mniejszości narodowych. Kandydaci partii politycznych



są zorganizowani w trzech blokach: blok „Ukraina” — łączący niemal wszystkie ugrupowania pravicowe i narodowo-demokratyczne; „Międzyregionalny Blok Reform” pod egidą Kuczmy i Hryniowa o orientacji ścisłej współpracy z Rosją i blok komunistów i socjalistów. Zwycięstwo tych ostatnich oznaczałoby gruntowną zmianę kursu w polityce państwa.

Ale czy ludzie w ogóle pójdą do wyborów — nie jest pewne. Są zupełnie sfrustrowani, źli, zawiedzeni. Nastroje pogorszyły się zaraz na początku roku. Przyczynił się do tego „Bal Wiedeński” nowobogackich po 500 dolarów wstępu od osoby. Skandal wywołał protesty tych wszystkich którzy nie wiedzą jak dożyć za pensję do pierwszego, wśród nich kobiet i emerytów stojących godzinami za bochenkiem chleba w kolejkach. Wielu zaciska pięści w niemym przekleństwie. Nie tak sobie wyobrażano wymarzoną po trzech wiekach prześladowań „samostijnist”. A może ten romantyzm, nieustanny idealizm, oddalony o stulecia od racjonalizmu, zdola ocalić od grożącej zagłady?

„Bal Wiedeński” to tylko jeden kwiatusek z epoki przypominającej atmosferę sztuk Majakowskiego „Pluskwa” lub „Łażnia”. To burzy krew, mobilizuje krytykę, ale nie może zmienić podstawowych prądów w polityce społecznej. A te są coraz gorsze. Rozkradanie majątku państwowego jest największą zgorą. Sprzedają za bezcen wszystko co daje się „opylić” w Rosji, wywożą co mogą do Polski, Węgier, a nawet do Chin i Filipin. Ale największa afera to sprawa „Blasko”. Pod tym niewinnym tytułem kryje się jedno z największych oszustw. Jego przedmiotem jest ukraińska flota handlowa i pasażerska, która liczy około pół tysiąca jednostek. Uchodziła za jedną z solidniejszych linii. Wszyscy byli zapatrzeni w marynarkę wojenną zapominając, że jest jeszcze flota cywilna. W międzyczasie utworzono spółkę dla eksploatacji i sprzedaży floty pod nazwą „Blasko” (kto za tym stoi, nie udało się rozwikłać nawet w parlamencie). Nikt nie wie ile statków sprzedano i za jaką cenę, kto i kiedy oddał jednostki w handlu morskim zagranicznym agencjom i dokąd wędrują zdobyte dewizy. Ucierpiał na tym autorytet prezydenta Krawczuka, bo wspomniany koncern „Blasko” miał rzekomo powstać na polecenie szefa państwa. Prezydent odrzucił wszelkie podejrzenia ale coś niecoś z tych pomówień pozostało.

Gwiazda Leonida Krawczuka bladła już od dawna. Afera „Blasko” stała się jeszcze jednym ogniwem w łańcuchu niepowodzeń. Klęską dla szefa państwa stała się też jego propo-

zycja uchwalenia „Małej Konstytucji”, która by zapewniła sprawne działanie organów państwowych w przejściowym okresie pomiędzy wyborami i ukonstytuowaniem się nowych najwyższych instancji legislacyjnych. Nie zważając na to, że prezydent poszedł na maksymalny kompromis z parlamentem, godząc się praktycznie na ograniczenie jego funkcji niemalże do czysto reprezentacyjnych — podobnie jak w Niemczech czy Austrii lub Szwajcarii — Najwyższa Rada stanęła okoniem i odrzuciła projekt. Niektórzy obserwatorzy sceny kijowskiej skłonni byli po tym, do hiobowych przepowiedni o końcu kariery Krawczuka. Nie chcę się bawić w proroka, ale wydaje mi się, że są to przepowiednie pochopne. Ten pozornie dobroduszny i flegmatyczny polityk, odpowiadający dawnym stereotypom mieszkańców Wołynia łączy niewątpliwie wskazane elementy mentalności tego regionu z wyjątkowo wyrobionym instynktem politycznym. W każdym razie nie warto go odpisywać z przyszłych aktywów politycznych. Liczy sobie 60 lat i cieszy się krzepkim zdrowiem. Znany z trafnych przepowiedni kijowski astrolog Witalij Omelczenko prorokuje, że Krawczuk wygrzebie się z dzisiejszych perypetii i pozostanie na wierzchołku władzy.

Za granicą reputacja Krawczuka znowu wzrosła. Stało się to dzięki zawarciu trzechstronnej umowy Ukrainy z Rosją i Stanami Zjednoczonymi w sprawie likwidacji broni nuklearnej. Układ ten kładzie kres ukraińskim snom o potędze atomowej. Moskwa utkała terytorium Ukrainy wyrzuceniami potężnych rakiet międzykontynentalnych, wycelowanymi na Stany Zjednoczone. Ten potencjał dla zagłady przeciwnika powstał jednak głównie z technologii rozlokowanej w fabrykach na terenie Rosji. Ukraina wytwarzała tylko część komponentów jak na przykład pojazdy kosmiczne, przeznaczone do transportu głowic atomowych. Ukraina nie miała więc i nie ma ani fachowców ani urządzeń technicznych do produkcji, obsługi i koniecznej w określonych odstępach czasu regeneracji rakiet. Ponadto w akcie proklamującym niepodległość zobowiązała się do statusu państwa bezatomowego. Ambicje niektórych polityków kijowskich, przeważnie literatów, w postaci pobrzękiwania tą bronią, nie miały więc żadnych podstaw realnych. Wiedzieli o tym fachowcy na całym świecie. Ale Ukraina dołożyła wiele do tego potencjału i dlatego w zamian za wydanie rakiet Rosji, gdzie są odpowiednie urządzenia do demontażu i wydobycie cennych składników jak wzbogacony uran i pluton, żądała materialnego odszkodowania i gwarancji bezpieczeństwa. A z



drugiej strony, kładąc podpis pod protokołami lizbońskimi, rząd ukraiński zobowiązał się do likwidacji broni atomowej i do przystąpienia do międzynarodowego układu o nierozprze-strzenianiu tej broni. W listopadzie ubiegłego roku parlament w Kijowie dokonał aktu ratyfikacji, ale uzależnił realizację tego akcesu od rozmaitych warunków. Niezbyt mądra decyzja posłów wywołała międzynarodowy bojkot Ukrainy. Kijów znalazł się pod prężierzem oburzonej opinii na Zachodzie. Stany Zjednoczone szczególnie uwrażliwione w kwestiach atomowych, zastosowały dyplomatyczną blokadę w połączeniu z presją.

Dopiero dzięki wysiłkom przyjaciół Ukrainy w Waszyngtonie, częściowo także wstawiennictwu polskiego ministra spraw zagranicznych Andrzeja Olechowskiego i zręcznej dyplomacji prezydenta Krawczuka i zastępcy kierownika ukraińskiego MSZ-tu Borysa Tarasiuka udało się przełamać barierę impasu. Udział Ameryki w umowie z Ukrainą obok Rosji — to zupełnie coś innego, po prostu nowa jakość i nadzieja, że powstał dodatkowy instrument w obronie przed odrodzeniem imperializmu rosyjskiego.

A że groźba taka istnieje widać nie tylko z wyraźnego zwrotu oficjalnej polityki rosyjskiej na wielkomocarstwowość. Widać to też na przykładzie secesyjnej strategii szowinistów rosyjskich na Krymie. Tak jak zwycięstwo Żyrinowskiego w wyborach rosyjskich było niespodzianką dla świata, tak wygrana Jurija Mieszkowa w prezydenckim głosowaniu krymskim stanowiła zaskoczenie dla Ukrainy. Kijów zresztą w wielkiej mierze jest za to odpowiedzialny. Udzieliwszy daleko idącej autonomii półwyspowi, politycy ukraińscy uważali, że mają wszystko „z głowy”. A tam się burzył podskórny ferment. Wszystkie zamieszkujące Krym narodowości były niezadowolone, przede wszystkim półtora miliona Rosjan, którzy głosując w grudniu 1991 roku na Ukrainę obiecywali sobie raj na ziemi. Niezadowolenie wystąpiło też wśród sześciuset tysięcy Ukraińców, gdyż ci oczekiwali śmielszej ukrajinizacji, przynajmniej na północy półwyspu. Ale najbardziej oburzona i na Kijów i na przeważnie rosyjskojęzyczną administrację jest niegdyś autochtoniczna, dziś mniejszościowa grupa Tatarów, licząca obecnie 280.000 mieszkańców. Nie mają powodu do radości, chociaż nie tak liczni, Bułgarzy, Grecy, Niemcy i Żydzi. Tatarzy ustawicznie ostrzegali Krawczuka, że na półwyspie podnosi głowę szowinizm rosyjski. A Kijów albo milczał, albo zbywał ich frazesami.

Największym błędem była fatalna polityka gospodarcza.

Krym ma bardziej złożoną strukturę w przemyśle, rolnictwie i hotelarstwie niż kontynentalna Ukraina. Wymagało to bardzo giętkiej polityki prywatyzacyjnej i podatkowej. W obydwu przypadkach nastąpiło fiasko. I stąd przykry rewanz. Ale do zupełnej secesji półwyspu i przyłączenia do Rosji jeszcze bardzo daleko. Moskwa się nie kwapi do zmiany granic, bo wie, że to narazi na szwank nie tylko stosunki z Ukrainą, ale może się stać też zaczynem do walki partyzantkiej Tatarów. Nie pali się Rosja do przejścia schedy krymskiej również ze względów ekonomicznych. Całe zaopatrzenie w wodę na plantacjach owoców południowych, w winnicach i dla potrzeb ludności pochodzi z Ukrainy. Również energia płynie z Ukrainy lub przez Ukrainę. No i wreszcie koszty społeczne. Większość ludności rosyjskiej na Krymie to ludzie w wieku emerytalnym. Ale nowo wybrany prezydent Krymu — przekonany nacjonalista rosyjski, nienawidzący „jarzma” ukraińskiego, zionie taką pogardą wobec Tatarów, że to może pewnego dnia stać się dla niego zgubą. Gdyby miał trochę rozsądku, to powinien się przyjrzeć układom między prezydentami Rosji i Tatarstanu. Jest to precedens do zastosowania w stosunkach między Ukrainą i Krymem.

*Bohdan OSADCZUK*

## Kronika niemiecka

**GOSPODARKA I SPRAWY SOCJALNE:** Wydatki na zasiłki i zapomogi na ponad 4 miliony bezrobotnych w Niemczech wynoszą obecnie 100 miliardów marek rocznie. ■ W roku ubiegłym zbankrutowało w Niemczech ponad 15.000 firm, tj. 25% więcej niż w roku 92. ■ Ze wszystkich dziedzin gospodarczych na terenie nowych landów zatrudnienie najbardziej zmniejszyło się w rolnictwie, leśnictwie i rybołówstwie, gdzie pracę utraciło 75% zatrudnionych. ■ Niemieckie górnictwo węgla kamiennego dotknięte jest największym od 20 lat spadkiem wydobycia, które w porównaniu do roku 92 zmniejszono o 12% do 59 milionów ton. W roku 93 pracę utraciło 11.000 górników. ■ Zadłużenie państwa, landów, gmin i okręgów osiągnęło niemal bilion marek. Oznacza to, że na każdego mieszkańca Niemiec przypada po ok.



25.000 marek długów państwowych. ■ W rolnictwie niemieckim na terenie starych landów przeciętna wielkość istniejących tam ogółem 621.000 gospodarstw rolnych wynosiła 19 ha. W nowych landach istnieje 21.700 gospodarstw rolnych o przeciętnej wielkości 243,8 ha. ■ W roku ubiegłym liczba urodzin zmniejszyła się w Niemczech o 1,3%. W nowych landach spadek ten wyniósł — 10%, w starych landach 0,24%. Spośród ogółem 389.000 nowonarodzonych, 340.000 posiadało obywatelstwo niemieckie, a 49.000 obywatelstwo obce. ■ W Niemczech dyskusowane są plany zmiany struktury składek emerytalnych i wprowadzenia ulg dla rodzin oraz dla osób posiadających dzieci. Według danych wschodniobermberskiego Uniwersytetu im. Humbolda do roku 2010 liczba mieszkańców Niemiec Wschodnich zmniejszy się o 25% z powodu spadku liczby narodzin i przenoszenia się do landów zachodnich. ■ Mieszkańcy Niemiec wydali w roku ubiegłym na zakupy w polskich rejonach przygranicznych około 4 miliardów marek. Ogółem w tym okresie na stronę polską udało się 40 milionów obywateli Niemiec. ■ Powołano do życia niemiecko-polską Organizację Wspierania Rozwoju Gospodarczego w regionach przygranicznych. Siedzibą tej organizacji o charakterze spółki akcyjnej jest Gorzów Wielkopolski. ■ Polska znajduje się na pierwszym miejscu spośród krajów docelowych dla eksportu niemieckiego przed Rosją, Czechami, Węgrami i Słowacją. ■ **POLITYKA:** Niezależna komisja badania majątku byłej partii komunistów wschodniemieckich SED ustaliła nagrody o maksymalnej wysokości 5 milionów marek za wskazanie miejsca przetrzymywania części majątku tej partii w kraju i za granicą. ■ Na początku stycznia w zorganizowanej w Berlinie demonstracji ku czci zamordowanych w roku 1919 komunistów niemieckich, Karola Liebknechta i Róży Luksemburg, udział wzięło ponad 80.000 osób. ■ Na pierwszym miejscu wśród problemów nurtujących społeczeństwo niemieckie przed wyborami znajduje się bezrobocie — 69% ankietowanych. ■ W lutym br. zmarł były inspektor zachodniemieckiej Luftwaffe, generał lotnictwa Johannes Steinhoff. W czasie wojny Steinhoff należał do czołówki asów lotnictwa myśliwskiego ze 167-oma zwycięstwami powietrznymi. Po wojnie brał aktywny udział w budowie Bundeswehry i reprezentował Niemcy Zachodnie w strukturach NATO. ■ W Izraelu uczczona została pamięć oficera niemieckiego Wehrmachtu Maxa Liedtke za jego wkład w uratowanie życia licznym Żydom w okupowanym Przemyslu. ■ Na zorganizowanej w Berlinie konferencji prasowej głównodowodzący okupacyjnymi wojskami byłego Związku Sowieckiego w Niemczech Wschodnich, generał Matwiej Burlakow, wyraził rozczarowanie z powodu zamiaru władz niemieckich urządzenia osobnej parady pożegnalnej dla oddziałów aliantów

zachodnich i osobnej dla jego wojsk. Poinformował on równocześnie, że wycofywanie jego oddziałów realizowane jest w 100%, zaś uzgodniony umową bilateralną program budowy domów dla kadry jego wojsk tylko w 65%. Burlakow zaprzeczył równocześnie doniesieniom o nielegalnych interesach i przemyśle, o które prasa niemiecka posądza jego samego oraz żołnierzy jego oddziałów. Równocześnie Burlakow zapowiedział bezpłatne oddanie stronie niemieckiej opuszczanych obiektów i innego majątku trwałego, którego wartość określił on na ponad 10 miliardów marek. ■ Wycofujące się z Niemiec oddziały WNP zabierają ze sobą wszystko, co zdolne jest do transportu. Najbardziej spektakularnym przypadkiem, jak dotychczas, jest demontaż betonowego pasa startowego dla samolotów myśliwskich o długości półtora kilometra. ■ Władze niemieckie nie ustają w poszukiwaniach ponad 80.000 ton rosyjskiej amunicji, która zniknęła ze stanu oddziałów WNP w nowych landach. Wersję, jakoby została ona zużyta podczas ćwiczeń, władze uważają za mało prawdopodobną. ■ Według danych niemieckiego instytutu badania opinii publicznej Emnid, co piąty Niemiec ma negatywne nastawienie do Żydów i uważa, iż mają oni zbyt duży wpływ w społeczeństwie. 22% ankietowanych nie chciałoby mieć za sąsiada Żyda, a 28% odrzuca możliwość kandydatury Żyda na stanowisko prezydenta Niemiec. 31% ankietowanych sądzi, że Żydzi wywierają zbyt duży wpływ na zdzierzenia na świecie. Jeszcze gorzej niż Żydzi — w aspekcie pytania o sąsiedztwo — wypadli Cyganie i Arabowie, z którymi sąsiedować nie chciałoby 47% ankietowanych, Polacy (39%) i Afrykańczycy (37%). ■ Około 40.000 młodych osób z Polski i Niemiec wzięło udział we wzajemnych spotkaniach zorganizowanych w roku 93 przez organizację Wymiana Niemiecko-Polska. Przy tym spośród 400 podróży poznawczych tylko 55 przypadło na nowe landy. Również ze strony polskiej tylko 5% szkół pragnie nawiązać kontakty z partnerami terenu byłej NRD. ■ Co dziewiąty berlińczyk jest cudzoziemcem. ■ Biskupi katoliccy nawołują do udziału w tegorocznych wyborach do parlamentu, „aby nie dać szansy partiom radykalnym”. ■ Po czasowym zmniejszeniu się pod koniec ubiegłego roku znowu wzrasta liczba aktów przemocy przeciwko cudzoziemcom w Niemczech. W roku 93 prowadzonych było 7076 postępowań dochodzeniowych w sprawie wybryków skrajnie prawicowych bądź antycudzoziemskich, w tym 25 z powodu mordu lub zabójstwa. ■ Według wyroku sądu krajowego w Paderborn, hasło „Cudzoziemcy precz” nie wchodzi w zakres karalnego podjudzania przeciwko innym nacjom, lecz „wyraża tylko w skróty sposób protest przeciwko zbyt dużej liczbie cudzoziemców w Niemczech”. ■ **KULTURA:** Główną nagrodę teatralną stolicy Niemiec,



„Friedrich Luft-Preis”, zdobył Teatr Kreatur — założony i prowadzony przez polskiego artystę Andrzeja Woronca — za sztukę „Kawałek z raj”. Uznana ona została za najlepszą inscenizację roku 1993. O zdobyciu nagrody ubiegało się 25 dużych teatrów miejskich zakwalifikowanych do konkursu. Również tegoroczną premierę Teatru Kreatur pt. „K.” zrealizowaną na podstawie powieści „Proces” Franza Kafki zakwalifikowano do udziału w tym konkursie. ■ W berlińskim przedstawicielstwie Ambasady RP odbyło się piąte regularne posiedzenie Stałej Grupy Roboczej d/s Języka Polskiego i Polonistyki. Tematem obrad były możliwości i działania na rzecz ułatwienia prowadzenia nauki języka polskiego w szkołach i na uczelniach niemieckich. Według danych niemieckich, w Republice Federalnej 1 milion 600 tysięcy osób zna język polski. Jak dotychczas tylko kilkuset uczniów w całych Niemczech zgłosiło chęć wyboru języka polskiego jako języka obcego. Zdaniem dr. W. Góralskiego z polskiej ambasady poprawę sytuacji można uzyskać m.in. przez polepszenie statusu języka polskiego jako oficjalnie uznanego programem nauczania języka obcego. Umożliwiłoby to np. uznanie j. polskiego również za przedmiot maturalny. Aktualnie najważniejsze instytuty polonistyki istnieją na uczelniach wschodnioniemieckich, którym przewodzi pod tym względem wschodniobrzeński Uniwersytet im. Humboldta. W nowych landach istnieje też największa w szkołach niemieckich w Niemczech ilość klas niemiecko-polskich. ■ Fundacja Krupp-Stiftung przeznaczą w tym roku 100.000 marek na stypendia dla studentów polskich z Uniwersytetu Europejskiego Viadrina we Frankfurcie nad Odrą. Wysokość stypendiów dla studentów polskich wynosi obecnie 300 marek. ■ Niemcy i Francja planują otworzenie wspólnego Instytutu Kultury w Warszawie. Obok aspektów ekonomicznych decyzję podjęto w celu zademonstrowania związków kulturowych obu krajów. ■ Ryszard Kapuściński otrzymał nagrodę miasta Lipska „Leipziger Buchpreis zur europäischen Verständigung” (20.000 marek) za swą twórczość pisarską i literacką, którą przyczynił się do wzajemnego poznania się narodów. Aktualnie Ryszard Kapuściński przebywa w Berlinie na rocznym stypendium Fundacji Wymiany Akademickiej DAAD. ■ Zdaniem ekspertów niemieckich, aktualna sytuacja w Rosji utrudnia rozmowy na temat zwrotu zrabowanych Niemcom w czasie wojny dzieł sztuki. ■ Do użytku naukowców i publicystów udostępnione zostało archiwum zaufanego fotografa Hitlera, Heinricha Hoffmanna, który w czasie panowania nazistów zrobił 2,5 miliona zdjęć. ■ Najważniejszą niemiecką nagrodę literacką, „Büchner-Preis”, Niemieckiej Akademii Języka i Poezji za rok 1993 otrzymał pisarz szwajcarski Adolf Muschg.

Andrzej STACH

## Ci, co odeszli

### Kazimierz Smogorzewski

Kazimierz Smogorzewski, dziennikarz i pisarz polityczny, zmarł w Londynie 4 listopada 1992 r. Urodził się 24 lutego 1896 r. w Sosnowcu. W 1913 r. opuścił Sosnowiec aby uzupełnić swoje wykształcenie w paryskiej Ecole de Sciences Politiques, ale wybuch Pierwszej Wojny Światowej przekreślił jego plany.

Już w sierpniu 1914 r. wstąpił do polskiej jednostki przy Legii Cudzoziemskiej, nazwanej *Volontaires Polonais*. Jego udział w wojnie nie trwał długo, bowiem 9 maja 1915 r. został ciężko ranny pod Neuville-Saint-Vaast na północ od Arras. Po kilku bolesnych operacjach przeszedł długą rekonwalescencję, głównie w Dieppe, aż wreszcie w kwietniu 1917 r. został zwolniony z wojska jako 30% inwalida. Za swoje zasługi wojenne odznaczony został *Croix de Guerre*.

Po powrocie do Paryża Smogorzewski został zaangażowany przez Wacława Gąsiorowskiego na sekretarza redakcji tygodnika *Polonia*. Wkrótce jednak opuścił *Polonię* i przeszedł do sekcji prasowej Komitetu Narodowego Polskiego, gdzie opracowywał przeglądy prasy francuskiej, a oprócz tego pełnił funkcję sekretarza pisma *Polak*, wydawanego przez KNP dla żołnierzy polskich we Francji. Szybko dał się poznać kierownictwu KNP, w tym Romanowi Dmowskiemu.

Wkrótce po zakończeniu wojny nastąpił zasadniczy zwrot w jego karierze dziennikarskiej, kiedy to — dzięki Dmowskiemu — został korespondentem paryskim prawicowego dziennika *Gazeta Warszawska*. W latach 1919-25 Smogorzewski utrwalił swoją pozycję jako jeden z czołowych zagranicznych korespondentów prasy polskiej. W ciągu sześciu lat współpracy z *Gazetą Warszawską* napisał setki artyku-



łów, spośród których wymienić należy serię poświęconą konferencji w Spa w lipcu 1920 r., jak też wszechstronnie opracowaną serię o narodzinach Ligi Narodów (grudzień 1920 — marzec 1921). Wywiady z czołowymi politykami Centralnej i Wschodniej Europy — od Benesa do Sazonowa i Kiereńskiego — są nie tylko dowodem jego rozległych kontaktów w kołach politycznych ale również jego dziennikarskiej pozycji.

W 1925 r. Smogorzewski, któremu coraz trudniej przychodziła akceptacja linii reprezentowanej przez *Gazetę Warszawską*, a szczególnie jej orientacji w zakresie polityki zagranicznej, przeszedł do warszawskiego dziennika *Rzeczpospolita*, jako jej redaktor polityczny. Jednakże współpraca z Wojciechem Korfantym, właścicielem gazety, okazała się trudna i po kilku miesiącach została zakończona. Jesienią 1925 r. Smogorzewski został korespondentem paryskim *Ilustrowanego Kuriera Codziennego*, dziennika o największym w Polsce nakładzie i na tym stanowisku pozostał do 1927 r.

W końcu lat dwudziestych i na początku trzydziestych Smogorzewski przerwał swoją regularną pracę dziennikarską i poświęcił się pisarstwu w zakresie swoich zainteresowań: odbudowa Polski, francusko-polskie stosunki, graniczne kontrowersje polsko-niemieckie. Spośród książek, opublikowanych w tych latach i przeznaczonych głównie dla cudzoziemców, najbardziej cenne są: „La Pologne Restaurée” i „La Poméranie Polonaise” (wydana również w wersji angielskiej pt. „Poland's Access to the Sea”). Ta druga praca, finansowo wsparta przez MSZ, była odpowiedzią na niemiecką propagandę skierowaną przeciwko polskiej granicy zachodniej.

Następny zwrot zasadniczy w karierze Smogorzewskiego nastąpił w 1933 r. kiedy zaproponowano mu stanowisko korespondenta berlińskiego w półoficjalnym dzienniku *Gazeta Polska*. Jego artykuły z okresu berlińskiego dają doskonały obraz narastającej władzy Hitlera i zbliżania się Europy do Drugiej Wojny Światowej.

W przededniu wojny, 21 sierpnia 1939 r., Smogorzewski opuścił Berlin, udając się do Paryża, a potem do Londynu. W listopadzie 1939 — przy zachęcie i finansowej pomocy rządu polskiego — rozpoczął wydawanie dwutygodnika *Free Europe*, który stał się forum dyskusyjnym na tematy powojennej przebudowy Europy Środkowej i Wschodniej w szczególności. Niemcy, wiedząc o tym, umieścili jego nazwisko w „Sonderfahndungsliste G.B.”, tzn. na liście osób, które Gestapo miało aresztować po „zajęciu” Wielkiej Brytanii.

Pozostając po wojnie w Anglii Smogorzewski stanął wobec konieczności ułożenia nowego zawodowego życia. W tej trudnej sytuacji zaczęła się jego kariera jako redaktora i autora „Encyclopaedia Britannica”. Jego współpraca z tą encyklopedią miała początek w 1942 r., a zakończyła się po 46 latach w 1988 r. Ostatni artykuł do tego rocznika Smogorzewski napisał w wieku lat 92. Przez ten długi okres czasu był nie tylko redaktorem — głównie tekstów z zakresu najnowszej historii europejskiej — ale i autorem wielu haseł, większość z których wiązała się ze sprawami polskimi.

W latach pięćdziesiątych Smogorzewski pisywał sporadycznie do wielu pism i periodyków polskich i angielskich, a od września 1957 r. rozpoczął współpracę z warszawskim dziennikiem *Kurier Polski*, wydawanym przez Stronnictwo Demokratyczne. Po wprowadzeniu stanu wojennego w 1981 r. zakończył kontakty z *Kurierem*. W ostatnich latach życia przekazał rodzinnemu Śląskowi swój kilkutyśieczny księgozbiór, który obecnie znajduje się w Bibliotece Śląskiej w Katowicach.

Paul LATAWSKI

## Bolesław Hryniewiecki

W 1993 roku upłynęło sześćdziesiąt lat od pierwszego wydania Zarysu flory litewskiej, *Tentamen florae Lithuaniae* i *Précis de l'histoire de la botanique en Pologne*, a trzydzieści lat od śmierci ich autora, profesora Bolesława Hryniewieckiego. Z wielu względów należy przypomnieć postać tego tak bardzo zasłużonego dla kultury polskiej uczonego. Warto byłoby także ponownie wydać niektóre z klasycznych już dzisiaj jego prac. Ponieważ w Polsce brak jest monograficznego opracowania historii botaniki inicjatywa taka byłaby szczególnie wartościowa. Należy podkreślić, że botanika jest właśnie tą dziedziną, w której wkład Polaków do dorobku nauki i kultury światowej jest bardzo znaczący. Jak dotychczas publikacje profesora Hryniewieckiego są niewątpliwie najlepszym przewodnikiem historii polskiej botaniki. Niestety w



Polsce nie istnieje żaden odpowiednik brytyjskiego Ray Society, propagującego angielską, klasyczną myśl przyrodniczą. Wieloletnie zaniedbania ze strony mecenatu państwowego spowodowały, że nie tylko prace Hryniewieckiego, ale praktycznie cała polska klasyka przyrodnicza, włącznie z tak ważnymi dla naszej kultury pozycjami jak *Lasy Białowieży* Paczoskiego czy *Syberyjskie Pamiętniki* Benedykta Dybowskiego, młodszemu pokoleniu biologów znane są jedynie z nie najlepszej jakości komentarzy. Przypomnienie prac Bolesława Hryniewieckiego stanowiłoby znakomitą okazję do „ponownego odkrycia” wszystkich tych botaników, którym poświęcił on swoje badania. Jego studia i publikacje obejmowały cały okres istnienia polskiej botaniki od najstarszych prac rozpoczętych komentarzami klasyki greckiej i rzymskiej, Teofrasta, Diskorida, Pliniusza i lekarzy arabskich wraz z odnowieniem w 1400 roku Uniwersytetu Krakowskiego aż po dorobek współczesnych Hryniewieckiemu przyrodników Polski Niepodległej. Swoimi badaniami obejmował praktycznie wszystkie działy botaniki od szesnastowiecznych encyklopedii zdrowotnych z krakowskiej drukarni Unglera, poprzez pierwsze herbarze z polskojęzycznymi nazwami Szymona z Łowicza (1532), aż po współczesne mu prace z zakresu cytologii, fitosocjologii, florystyki i ekologii roślin. Ze szczególną dumą zajmował się Hryniewiecki osiągnięciami polskich botaników w poznawaniu szaty roślinnej odległych, często egzotycznych krajów. Wielokrotnie cytował prace Raciborskiego i Gutwińskiego nad florą Jawy, Rehmana nad roślinnością czarnomorską i południowoafrykańską, Siemaszki nad grzybami Kaukazu, Ptaszyckiego nad geobotaniką Turkiestanu, Paczoskiego nad zbiorowiskami roślinnymi stepu, zbiory Jelskiego z Ameryki Południowej, prace leśne Rivolego z Portugalii, wreszcie prace polskich zesłańców Łagowskiego, Dybowskiego, Czerskiego, Czekanowskiego, Hartunga, Karo nad florą Syberii.

Hryniewiecki był niezmordowanym wprost poszukiwaczem starych zielników, manuskryptów, pamiętników. Dzięki owej pasji przywrócił on polskiej historiografii wielu wybitnych, a niemal zapomnianych przyrodników. Wśród nazwisk „ocalonych od zapomnienia” wymienić można choćby Stefana Chardon de Rieule, generała wojsk koronnych, potomka hugenockiej rodziny, autora pionierskich prac z dziedziny naukowych podstaw rolnictwa *Mémoires de l'agriculture en général et de l'agriculture de Pologne en particulier*. De Rieule był także autorem pierwszej statystycznej analizy polskiego

rolnictwa. Towarzystwo Ksiąg Elementarnych powołane na mocy postanowienia Komisji Edukacji Narodowej ogłosiło konkurs na napisanie podręcznika botaniki z elementami agronomii. Nagrodzono dwie prace, autorem pierwszej był radca miejski z Torunia, matematyk wykształcony w Lipsku i Getyndze, Michał Hube. Drugą z wyróżnionych prac był podręcznik botaniki autorstwa de Rieule'a. Zamożny, bo zarabiający aż osiem tysięcy złotych, generał wspaniałomyślnie zrzekł się nagrody przeznaczając ją na wybite medalu pamiątkowego ku czci Komisji Edukacji Narodowej. W uznaniu zasług francuskiego arystokraty Sejm Rzeczypospolitej nadał mu szlachectwo, a król подарował majątek Świdry pod Warszawą.

W swoich badaniach, Hryniewiecki nie zapomniał także o tłumaczach dzieł przyrodniczych, podkreślając duże znaczenie przekładów Tytusa Chałubińskiego prac Adrien de Jusieu czy tłumaczenia Strumph'a i Trzebińskiego *Zbiorowisk roślinnych* Warminga. Wśród tłumaczy przypominanych przez Hryniewieckiego wspomnieć warto księdza Brzostowskiego, referendarza litewskiego, autora przekładu klasycznego francuskiego dzieła z dziedziny podstaw agronomii Duhamela de Monceau. Brzostowski zresztą sam propagował nowoczesne rolnictwo uwłaszczając swoich chłopów i tworząc modelową, eksperymentalną wieś Pawłów.

Na prośbę światowej sławy niemieckiego przyrodnika Mobiusa (tego, który wprowadził do biologii pojęcie biocenozy) Hryniewiecki przeprowadził szczegółowe badania dotyczące pochodzenia, życia i pracy hrabiego Leszczyca Sumińskiego, odkrywcy życia płciowego paprotników. W jednej z hanowerskich kolekcji Hryniewiecki odnalazł obraz namalowany przez Sumińskiego, przedstawiający Mahometa piszącego Koran.

Odrębną pracę poświęcił profesor Hryniewiecki zasługom kobiet w rozwoju polskiej botaniki. Zajmował się w niej m.in. mecenatem Anny Wazówny, dzięki któremu możliwe było wydanie przyrodniczych dzieł Syreniusza, a także przypomniał zasługi księżnej Anny z Sapiehów Jabłonowskiej, która stworzyła w drugiej połowie osiemnastego wieku w Siemiatyczach bibliotekę i kolekcję przyrodniczą, wielkością zbiorów przewyższającą kolekcję paryską. Bliskość siemiatyckich zbiorów i przyjaźń z księżną Anną umożliwiły pracę księdzu Klukowi, współtwórcy nowoczesnego polskiego przyrodoznawstwa. Hryniewiecki zajmował się także zielnikiem Anny Jagiellonki, przechowywanym w zbiorach Radziwiłłów w Nieświeżu.



W pracach Bolesława Hryniewieckiego szczególną rolę zajmuje przyroda Wielkiego Księstwa Litewskiego. Związany z Litwą więzami sentymentalnymi i rodzinnymi, badaniami tego regionu poświęcił znaczną część swojego pracowitego życia. Sprzyjała temu zapewne także bliskość Dorpackiego Uniwersytetu na którym, po powrocie z zesłania, Hryniewiecki dokończył zapoczątkowane w Warszawie studia przyrodnicze. Począwszy od 1908 roku, po powrocie ze studiów w Niemczech, Austrii i Włoszech, prowadził on w Dorpacie wykłady z botaniki i geografii roślin. Niewątpliwą zasługą Hryniewieckiego jest pokazanie iż poznanie litewskiej przyrody zawdzięczamy nie tylko znanym luminarzom botaniki Rzeczyńskiemu, Gilibertowi, Jundziłłom, ale także przyrodnikom pracującym często bezimiennie, z dala od uniwersyteckich katedr. Zwiedzając klasztor Bernardynów w Kretyndze, Hryniewiecki odkrył zielniki i nigdy nie publikowane rękopisy księdza Pabrzeża. Zakonnik ten był pierwszym botanikiem opisującym roślinność Żmudzi. Dzięki botanicznej i lekarskiej praktyce miejscowa ludność uważała go za cudotwórcę. Pomimo klasztornej odosobnienia dysponował on dobrze wyposażoną biblioteką i prowadził korespondencję z czołowymi botanikami owego czasu. Dzięki listom Pabrzeża *Flora Litwy* Eichelda obejmowała także Żmudź. Hryniewiecki przeprowadził niezbędne prace konserwatorskie i badawcze związane z odkrytymi zielnikami. Dla dalszego opracowania zabrał je ze sobą wyjeżdżając do Odessy, gdzie udawał się by objąć wykłady z morfologii i systematyki roślin i dyrekcję ogrodu botanicznego. Zbiory te niestety zaginęły w 1919 roku gdy Hryniewiecki pośpiesznie opuszczał Odessę.

Prace Pabrzeża wykorzystał (także przypomniany przez Hryniewieckiego) ksiądz Ambroży Kossarzewski w opisie nowych gatunków Żmudzi. Na początku naszego wieku, pięćdziesiąt lat po śmierci Pabrzeża, na podstawie jego prac wydano po litewsku w Ameryce podręcznik systematyki roślin. Był to prawdopodobnie pierwszy litewskojęzyczny podręcznik botaniki.

Ukoronowaniem prac Bolesława Hryniewieckiego nad roślinnością Litwy było wydanie *Flory Litewskiej*. Dzieło swojego życia zadedykował Hryniewiecki Stefanowi Batoremu w czterechsetlecie jego urodzin. *Flora Litwy* jest nie tylko znakomitym opisem litewskiej szaty roślinnej, ale także prawdziwym podręcznikiem historii botaniki Wielkiego Księstwa. Dla badań przyrodniczych Litwy szczególnie ważne w pracy Hryniewieckiego są analizy fitosocjologiczne. O nowoczesności

tego podręcznika przekonują także badania paleobotaniczne prowadzone zresztą z inicjatywy antropologa, ale także współpracownika Proletariatu i tłumacza *Kapitału* Marksa, Ludwika Krzywickiego. Hryniewiecki korzysta w swojej pracy z wielu źródeł zawsze starając się powiedzieć coś bliższego o osobie autora. Nierzadko prace profesora Hryniewieckiego są jedynym holdem jaki złożony zostaje pamięci polskich przyrodników. Tak było w przypadku Jana Niekrasza, autora interesujących zielników i obrońcy sprawy polskiej, zamęczonego na śmierć w więzieniu w Kownie w 1922 roku.

Łatwo zrozumieć, iż zafascynowany przyrodą litewską i historią Hryniewiecki zainteresował się elementami przyrodniczymi w twórczości Mickiewicza. Jak wielki był zresztą wpływ poety na wychowanie całej generacji polskich przyrodników świadczy zarówno ilość poświęconych mu prac botanicznych jak i waga nazwisk przyrodników zaangażowanych w studiowanie flory w pracach wieszczka. Roślinność Świtezi badali Władysław i Benedykt Dybowski, Rostafiński poświęcił tej tematyce aż dwie publikacje, Edward Strumph opublikował *Rośliny w poezji Mickiewicza*, tematykę tę podejmowali także Rehman, Strasburger, Zapalowicz. Hryniewiecki w pracy *Adam Mickiewicz, a flora Litwy* zwraca uwagę jak bardzo realistyczne są opisy przyrody, jak duże jest bogactwo gatunków cytowanych przez wieszczka, jak dobrze znał on także faunę Litwy rozróżniając w swojej poezji np. głosy żab i kumaków. Wiele uwagi poświęcano na oznaczenie roślin występujących w *Balladach* i *Panu Tadeuszu*. O ile tak frapująca Gałczyńskiego dzięcielina została łatwo określona jako koniczyna, o tyle opinia na temat „car-rośliny” ze Świtezi podzieliła przyrodników. Rehman i Dybowski poszukiwali rośliny o tej nazwie w terminologii rosyjskiej. Hryniewiecki natomiast poszedł śladem Mickiewiczowskiego opisu i ustalił, iż jedyną rośliną odpowiadającą opisowi i występującą nad Świtezią jest *Lobelia jeziorna*. Przypuszczał on w dodatku iż magiczna moc jaką przypisywali tej roślinie mieszkańcy Litwy dodatkowo zafascynowała poetę. Hryniewiecki był zresztą jednym z nielicznych historyków przyrody, którzy zwracali uwagę na znaczenie botaniki ludowej. Niejako za wzór stawał on, szesnastowiecznego przyrodnika, spolonizowanego Szwajcara Schneebergera, który przygotowując katalog ziół rosnących w okolicach Krakowa zbierał informacje w okolicznych wsiach. Schneeberger we wstępie do swojego dzieła pisał „iż nie wstyd mu, iż był uczniem wiejskich bab”.



Bolesław Hryniewiecki był nie tylko znawcą historii botaniki ale także wybitnym przyrodnikiem. Poza Litwą i Polską prowadził badania florystyczne Uralu, Kaukazu, Armenii, zachodniej Europy. Duże zainteresowanie wzbudzały jego studia nad fizjologią roślin, zwłaszcza praca poświęcona aparatom szparkowym. Był on także jednym z pionierów ochrony przyrody, inicjatorów założenia Tatrzańskiego i Świętokrzyskiego Parku Narodowego. Był wreszcie także jednym z najważniejszych organizatorów życia naukowego w odradzającej się Polsce, rektorem Uniwersytetu Warszawskiego, redaktorem czasopism przyrodniczych. W uznaniu zasług w rozbudowywaniu kontaktów między nauką polską a francuską odznaczony został krzyżem Legii Honorowej.

Piotr DASZKIEWICZ

## BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 462 — CZESŁAW MIŁOŻ

### ROK MYŚLIWEGO

Nowy tom prozy Czesława Miłozsa ma zasadniczo konstrukcję dziennika, prowadzonego przez jeden rok: 1986/87. Są to jednak dość umowne ramy, ponieważ autor sięga pamięcią do różnych, niekiedy odległych wydarzeń swojego życia, przedstawiając zarazem pasjonujące portrety swoich współczesnych w formie zwięzłych esejów lub opowieści. Tym samym ten szczególny dziennik zbliża się do autobiografii, a zarazem przenikliwego wizerunku epoki.

Osobisty w tonie, niekiedy polemiczny, czasami zaskakująco szczery, jest „Rok myśliwego” bodaj najbardziej prywatną książką w dorobku poety, dostarczając wielu autokomentarzy do jego twórczości i życia.

## Książki

### Książka dla nagrody

Nagroda londyńskiego tygodnika *Wiadomości* przyznawana była w latach 1958-1990 za „najwybitniejszą książkę wydaną na emigracji”. Nagrodę ufundował w roku 1958 Anglik, Auberon Herbert (w 1944 r. ochotniczo zaciągnął się w Szkocji do 14 pułku ułanów). Zanim zapadła decyzja co do trybu jej wręczenia, pomysł podobnej nagrody rzucił prof. Ignacy Wieniewski, który w artykule z 17 maja 1959 r. zaproponował nawiązanie do tzw. „akademii niezależnych” powołanej w 1935 r. przez *Wiadomości Literackie*. Plebiscyt wśród czytelników wyłonił wówczas pisarzy-jurorów, którzy stanowili grono konkurencyjne wobec członków oficjalnej Akademii Literatury założonej w 1933 r. Pomysł Wieniewskiego — jako „inteligentną rozrywkę towarzyską” — błyskawicznie zrealizował redaktor naczelny *Wiadomości*, Mieczysław Grydzewski, i 11 X 1959 r. czytelnicy tygodnika poznali nazwiska piętnastu wybranych przez siebie jurorów. Tego dnia *Wiadomości* opublikowały też informację o powstaniu „Prix Herbert” oraz Regulamin Nagrody.

W skład pierwszego jury nagrody *Wiadomości* weszli — wolą czytelników — Kazimierz Wierzyński, Mieczysław Grydzewski, Ferdynand Goetel, Józef Wittlin, Zygmunt Nowakowski, Marian Kukiel, Józef Mackiewicz, Oskar Halecki, Waław Grubiński, Czesław Miłoz, Tadeusz Nowakowski, Stanisław Baliński, Tymon Terlecki, Jan Rostworowski i Józef Łobodowski. Miłoz od razu wyboru nie przyjął, w 1963 r. z jury wycofał się Zygmunt Nowakowski, w 1968 — Jan Rostworowski, w 1979 r. — Józef Mackiewicz. W ciągu tych lat jury kilkakrotnie dokooptowywało nowych członków, którymi zostali m.in. Juliusz Sakowski, Maria Danilewicz Zie-



lińska, Jan Bielatowicz, Michał Chmielowiec, Stefania Kossowska, Bronisław Przyłuski, Edward Raczynski, Zofia Romanowiczowa, Adam Pragier, Waclaw Iwaniuk i inni.

Fundatorem pierwszych pięciu nagród (1958-1962) był Auberon Herbert, a następnie przede wszystkim: Tadeusz Zabłocki (1964-1969), Jan Badeni (1972-1973, 1987-1988), Irena Wandyczowa (1973-1977), Tadeusz Walczak (1978-1982), Feliks Laski (1983-1987, 1988-1990). Jury przyznawało nagrodę za rok poprzedni. W ciągu trzydziestu lat istnienia Nagrody *Wiadomości* jej laureatami zostali m.in. Marek Hłasko (1958, za *Cmentarze*), Witold Gombrowicz (1962, za *Dziennik 1957-1961*), Józef Wittlin (1963, za *Orfeusza w piekle XX wieku*), Leopold Tyrmand (1967, za *Życie towarzyskie i uczuciowe*), Włodzimierz Odojewski (1973 za *Zasypie wszystko, zawieje*), Czesław Miłosz (1974, za *Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada*), Henryk Grynberg (1975, za *Życie ideologiczne*), Stanisław Barańczak (1977, za *Ja wiem, że to nie słuszne*), Jan Nowak (1978, za *Kuriera z Warszawy*), Tadeusz Konwicki (1979, za *Małą Apokalipsę*), Gustaw Herling-Grudziński (za *Dziennik pisany nocą*), Kazimierz Brandys (1981, za *Miesiące*), Marek Nowakowski (1983, za *Raport o stanie wojennym*), Adam Michnik (1985, za *Z dziejów honoru w Polsce*), Andrzej Szczypiorski (1986, za *Początek*), Jarosław Marek Rymkiewicz (1987, za *Żmut*) oraz — ostatnia nagroda wyjaśniająca tytuł książki Kossowskiej\* — Zbigniew Herbert (1990, za *Elegię na odejście*). Dodać też warto, że aż osiemnaście razy nagradzano książki wydane przez paryski Instytut Literacki, a jednaście — przez londyńską Polską Fundację Kulturalną.

Po zamknięciu tygodnika *Wiadomości* (1981) zebrania jury organizował Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Sprawozdania z posiedzeń jury i wypowiedzi jego członków — z przerwą w latach 1981-1984 — ogłaszały *Wiadomości* oraz *Tydzień Polski*. Decyzję o zawieszeniu działalności jury podjęto w 1991 r. uważając, że przyznawanie jej w Londynie straciło sens, a przeniesienie do kraju jest organizacyjnie niemożliwe. W składzie jury nagrody, spośród członków wybranych w 1959 r. — pozostawali wówczas jedynie Tadeusz Nowakowski oraz Tymon Terlecki.

Czytelnik tej recenzji mógłby teraz zapytać: po co wyda-

\* *Od Herberta do Herberta. Nagroda Wiadomości, 1958-1990*, opracowanie i przedmowa Stefania Kossowska, Postscriptum Tadeusz Nowakowski, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1993, ss. 424.

wać tak grubą książkę o nagrodzie *Wiadomości* (ponad czterysta stron!), skoro najważniejsze informacje na jej temat można zmieścić na trzech stronach maszynopisu?

Warto to pytanie postawić, żeby uświadomić sobie jak ogromną i jak pożyteczną pracę wykonała jej autorka, Stefania Kossowska. Przede wszystkim, Nagroda *Wiadomości* była najstarszą nagrodą przyznaną na emigracji i przez lata — obok nagrody *Kultury* (Paryż), Fundacji im. Kościelskich (Genewa) i Fundacji im. A. Jurzykowskiego — była jednym z czterech najpoważniejszych wyróżnień, jakie mógł otrzymać na emigracji konkretny utwór i jego autor. A ponieważ w PRL nagrody były przede wszystkim wynikiem „polityki kulturalnej PZPR”, przez dziesięciolecia jedynie nagrody emigracyjne miały charakter suwerenny — także w sensie artystycznym.

Jednak o korzyściach płynących z pracy wykonanej przez Kossowską decyduje, rzecz jasna, nie ranga nagrody, lecz rzetelność przygotowania tej książki nawiązującej do najlepszych wzorów dokumentalistyki. Książka zawiera dokładny opis wszystkich posiedzeń jury *Wiadomości*: podaje jego skład (za każdym razem inny), wylicza tytuły książek zgłaszanych przez jurorów, przytacza wypowiedzi-uzasadnienia werdyktu poszczególnych jurorów (nawet nadesłane listownie) i głosy laureatów oraz informuje o przebiegu kolejnych głosowań — niekiedy bardzo powikłanych. Kossowska zgromadziła więc wszystkie niezbędne informacje związane z historią powstania i historią przyznawania nagrody. Bez tej książki napisanie zwięzłej noty, od której zacząłem tę recenzję, byłoby po prostu niemożliwe. Jednym słowem, jest to doskonała książka źródłowa — z gatunku tych (*reference books*), których brak najbardziej odczuwa każdy, kto zajmuje się dziejami polskiej literatury powojennej.

Wartość książki Kossowskiej jako źródła dokumentów i informacji nie jest od razu widoczna. Iluż informacji — mógłby ktoś się zachnąć — potrzeba nam o nagrodzie, choćby najważniejszej? Rzecz w tym, że nie jest to książka tylko o nagrodzie *Wiadomości*. Jest to przede wszystkim bezcenny dokument ważnej instytucji emigracyjnego życia kulturalnego. Obok warstwy informacyjnej, na którą składają się detale, fakty i fankiki oraz dokumenty, książka Kossowskiej zawiera kilka innych warstw, niekiedy fascynujących, niekiedy zastanawiających, a zawsze ważnych dla czytelników i historyków literatury współczesnej.

Po pierwsze, książka Kossowskiej przynosi mnóstwo infor-



macji o poglądach literackich, estetycznych i politycznych poszczególnych członków jury. A że byli wśród nich wybitni twórcy emigracyjni, jest to materiał wyjątkowo cenny. Po drugie, ponieważ Kossowska zamieszcza opinie jurorów o poszczególnych utworach, jej książka jest znakomitym źródłem do historii powojennej krytyki literackiej — każdy juror, jak np. prezydent Raczyński, stawał się bowiem chcąc czy nie chcąc, na ten jeden wieczór, krytykiem literackim. Rzecz często dotyczyła znakomych książek znakomych autorów, więc materiał przytoczony przez Kossowską jest wyjątkowo pasjonujący. Po trzecie, ponieważ jury obficie nagradzało utwory pisarzy krajowych, książka Kossowskiej będzie obowiązującą lekturą dla każdego, kogo interesują relacje emigracji i kraju oraz literatury powstającej w PRL widzianej przez czytelników mieszkających na emigracji. Po czwarte, dzieje nagrody *Wiadomości* to także pasjonujące źródło do historii samej emigracji: jej konfliktów personalnych, rzeczywistych i urojonych podziałów programowych, sposobów czytania czy postrzegania literatury i jej granic. A wreszcie, po piąte, jest ta książka zapisem stanu świadomości jej bohaterów i można ją czytać jako kronikę spraw rozmaitych: wzniosłości i patosu, doktrynerstwa i dziwactwa, trafności ocen, komedii pomyłek i najzwyczajszego przypadku czy nawet pomieszania z poplątaniem, które choć zbudowane na logicznym nonsensie, tworzą — jakże często — ważne fakty kultury.

Oto kilka przykładów, które można rozmaicie interpretować, traktować serio lub z przymrużeniem oka, a które złożyły się na wielobarwny gobelin trzydziestoletniej historii Nagrody *Wiadomości*. Pedantyczny Grydzewski zaadaptował regulamin nagrody wymyślony przed wojną dla *Wiadomości Literackich* przez adwokata i krytyka literackiego, Emila Breitera. Polot tego utworu najlepiej określił Wittlin pisząc do redaktora *Wiadomości*, że „Breiter nadał mu charakter regulaminu musztry formalnej plutonu, urozmaiconej mile ćwiczeniami arytmetycznymi”. Z kolei przeciw sformułowaniu, że nowego członka jury wybiera się w przypadku „śmierci członka jury lub powrotu na stałe do Kraju” zaprotestował Tadeusz Nowakowski („15 członków jury ma więc drogę do Polski na zawsze zamkniętą”) — ale dla Grydzewskiego za regulaminem stał Autorytet Tradycji. Trzeci punkt regulaminu stanowił, że „członkostwo jury jest dożywotnie”, toteż mimo że Czesław Miłosz nie przyjął zaszczytu i obowiązku jurorowania (miał z *Wiadomościami* na piętku), Grydzewski z kolei nie przyjął do wiadomości jego rezygnacji i stale wy-

mieniał nieobecność Miłosza w sprawozdaniach jury. Mniejsza o sprawozdania, bo jako formalny juror Miłosz nie mógł być przez *Wiadomości* nagrodzony jako rzeczywisty autor (już na pierwszym posiedzeniu jury Tadeusz Nowakowski i Józef Wittlin zgłosili do nagrody *Kontynenty*, a na drugim Tymon Terlecki zgłosił *Rodzinną Europę*). Regulamin został zmieniony dopiero w 1968 r. Po prostu, podczas nieobecności Grydzewskiego jurorzy ułaskawili Miłosza od dożywotniego wyroku. Dlaczego jednak dorośli ludzie, tak czujni na punkcie najmniejszego ograniczania swej wolności, tolerowali przez lat dziesięć jawny nonsens Breitera-Grydzewskiego, skoro nawet regulamin stanowił, że „członek jury może, rzecz prosta, nie skorzystać z wyboru”?

Były jednak i spory gwałtowniejsze, bardziej konfliktowe, a przez to — z dzisiejszej perspektywy — ciekawsze. W 1963 r. na znak protestu przeciw przyznaniu nagrody *Dziennikowi 1957-1961* Gombrowicza z jury wycofał się Zygmunt Nowakowski. Jego antygombrowiczowską tyradę warto tu przypomnieć: „To jest człowiek, który się wyobcował z emigracji! To jest człowiek, który się wyobcował z Polski! To jest człowiek, który [...] pisze, że Polak, aby zostać pełnym człowiekiem, powinien wyzwoić się z polskości. Ja tego nie mogę słuchać! [...] Ja [...] wszystko, co mam, co kocham — to Polska! [...] Człubym się w najwyższym stopniu upokorzony, gdyby rezultatem tego głosowania miała być nagroda dla Gombrowicza”. I... Gombrowicz nagrodę otrzymał.

W 1967 r. Kazimierz Wierzyński odmówił udziału w posiedzeniach jury, gdyby w obradach wziął udział Jan Rostworowski — jeżdżący wówczas do PRL i odbywający tam wieczory autorskie. Rostworowski nie pojawił się na obradach i w 1973 formalnie zrezygnował z uczestnictwa w jury — co w oczach Grydzewskiego byłoby oczywiście złamaniem regulaminu. W 1978 r. Józef Mackiewicz zaprotestował przeciw zgłoszeniu do nagrody książek Stanisława Barańczaka, Tadeusza Konwickiego i Wiktora Woroszyłskiego, a w rok później — Jacka Kuronia (wcześniej protestował przeciw zgłoszeniu *Apelacji* Andrzejewskiego). „Pojęcie 'emigracji' — wywodził, nie jest pojęciem geograficznym. Nie określa żadnego terytorium, lecz oznacza pewien status faktyczny — w danym wypadku autora — poza granicami komunistycznej Polski, czyli tzw. PRL-u. A żeby wydać książkę 'na emigracji' trzeba samemu być emigrantem”. Mackiewicz nie uznawał pojęcia „emigracji wewnętrznej”, a nagrodę *Wiadomości* widział jako wznoszenie granicy, a nie przerzucanie mostów po-



między krajem a emigracją. Trochę się spóźnił z taką interpretacją regulaminu, bo pierwszą nagrodę *Wiadomości* otrzymał wszak... Marek Hłasko za *Cmentarze*. Ostatecznie w 1978 r. nagrodę otrzymał Barańczak a w 1980 r. — Konwicki. Józef Mackiewicz zrezygnował z uczestnictwa w jury. I znów rzecz ciekawa, obrona ducha i litery regulaminu, musiała być tego ducha i tej litery... naruszeniem, bo przecież ten sam regulamin zobowiązywał do jurorowania dożywotniego.

Niekiedy sam mechanizm głosowania drwił sobie niemiłosiernie z jurorów. Oto w roku 1963 spośród trzynastu członków jury, ośmiu zgłasza do nagrody *Drugie przyjsie* Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, a dwóch — *Wróble nocy* Ireny Bączkowskiej. W wyniku głosowania nagrodę... otrzymała Bączkowska. Kiedy indziej znów — cytuję Nowakowskiego — Kazimierz Wierzyński „grą na zaczarowanym flecie wyprowadził dziatwę na manowce [i] przeforsował nagrodę dla podręcznika archeologii”...

Jednak najbardziej dla mnie zadziwiające były nie spory i konflikty wśród członków jury i ich walka o jednoznaczny interpretację mętnego regulaminu Breitera, lecz sama zasada nagradzania po prostu... książki — bez uwzględnienia jej, by tak rzec, kategorii. W efekcie, *Poezje zebrane* Kazimierza Wierzyńskiego musiały konkurować z *Kwiatuskami administracyjnymi* Sławoja-Składkowskiego i *Legalizmem polskim w świetle prawa publicznego* Gawendy (1960), *Eseje dla Kasandry* Hostowca z *Od podwoły do czołga* Stanisława Maczka (1962), *Wiersze* Czesława Miłosza z *Drogą do wojska* Jerzego Stypułkowskiego (1968) albo tom wierszy *Zagłada Świętego Miasta* Bronisława Maja z *Narodzinami systemu władzy* Krystyny Kerstenowej (1987)...

Książkę Kossowskiej kończy barwna gawęda jednego z jurorów Nagrody *Wiadomości*, Tadeusza Nowakowskiego: „wczytując się w przesłania zawarte w tej krytyczno-literackiej publikacji, trudno nie dostrzec, że unosi się nad nią aura patriotycznej ideowości. [...] Wśród jurorów przeważał pogląd, że literatura jest instytucją wychowawczą, walczy, broni, przestrzega”. Pierwsze zdanie jest arcytrafne i dobrze oddaje klimat wszystkich wypowiedzi jurorów, ale z drugim, jeśli je rozumieć dosłownie, trudno mi się zgodzić, bo zawęża kryteria, którymi rzeczywiście kierowali się członkowie jury — a wśród nich sam Tadeusz Nowakowski. Jurorom *Wiadomości* bliski był niewątpliwie pogląd, że literatura jest sztuką nie znającą ograniczeń, swobodną w podejmowaniu tematów i niezależną w swym prawie do poszukiwań włas-

nej prawdy o rzeczywistości. A o jej wartości nie decydują względy utylitarne, lecz jakości artystyczne, ranga intelektualna, oryginalność i odwaga nowego spojrzenia. Najlepszym dowodem są tu po prostu nagradzane książki: Hłaski, Miłosza, Gombrowicza, Herlinga-Grudzińskiego, Barańczaka, Konwickiego, Rymkiewicza czy Herberta.

Z perspektywy lat widać wyraźnie, że jurorzy nagrody *Wiadomości* mieli trafne wyczucie wartości książek, które nagradzali. Większość nagrodzonych tytułów należy dziś do kanonu literatury współczesnej. A dodać by do tego trzeba książki, które co prawda nagród nie otrzymały, ale których nieprzeciętne wartości zostały przez wielu jurorów bezbłędnie zauważone.

Najciekawszy jednak wniosek może się nasuwać, jeśli spojrzeć na nagradzane książki z perspektywy legendy *Wiadomości* jako pisma skupiającego autorów do końca tak „niezłomnych”, że kompletnie odizolowanych od rzeczywistości Polski. Tymczasem pierwszą nagrodę otrzymał Hłasko, później pisarze skłóceni z emigracyjnym „doktrynerstwem” (np. Miłosz, Gombrowicz, Grynberg czy Herling-Grudziński), a w latach 1978-1990 aż dziewięciu pisarzy mieszkających w PRL!

Stefania Kossowska — w czasie przedostatnich obrad jury w 1990 r. — zauważyła z goryczą, że w książce Marty Fik pt. *Kultura polska po Jałcie* zabrakło informacji o tej najstarszej nagrodzie emigracyjnej i o jej laureatach. Mnie to nie dziwi. Książka Fik powstała z przeświadczenia, że kultura polska po Jałcie to przede wszystkim tzw. wydarzenia kulturalne PRL. To tak jakby książkę o kulturze polskiej po Kongresie Wiedeńskim ograniczyć do kultury Królestwa Kongresowego. Bardziej mnie jednak dziwi, że w książce Fik, pod koniec XX wieku, w pojęciu kultury mogło zabraknąć nauki, techniki, szkolnictwa, muzealnictwa, architektury i wielu innych dziedzin, w tym tzw. kultury materialnej, bez których określenie „kultura polska” zwężało się do zainteresowań departamentów dawnego Ministerstwa Kultury i Sztuki (i to zaledwie niektórych). Tymczasem Kazimierz Wierzyński, i inni jurorzy *Wiadomości* dostrzegali osiągnięcia kulturalne w książkach z zakresu archeologii, wojskowości, techniki, historiografii... Wszystkie te dziedziny kultury polskiej pielęgnuje od dziesięcioleci *Kultura* Jerzego Giedroycia, a do kultywowanego w niej rozumienia kultury należałoby zachęcić wszystkich chcących zajmować się dorobkiem emigracji pojałtańskiej.



Książka Stefani Kossowskiej pozwoli — mam nadzieję — przełamać wiele stereotypowych wyobrażeń o nagrodzie *Wiadomości* i jej jurorach. Jest nie tylko „przykładem solidnej roboty” uczestnika, świadka i dokumentalisty, lecz przede wszystkim dokumentem wiary emigracyjnych pisarzy w tajemną siłę wolnego słowa i literatury. Tej najdziwniejszej instytucji świadomości narodowej, bez której na pewno nie mogłaby się nam udać — jak napisał Tadeusz Nowakowski — „podróż do brzegów niepodległości”.

Włodzimierz BOLECKI

## Odsłanianie przeszłości

(Z PRAC BIBLIOTEKI POLSKIEJ W PARYŻU)

Redakcja tomu drugiego „Aktów Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu”<sup>1</sup> koncentruje tym razem uwagę na ujawnianiu zawartości kolekcji porządkowanych ostatnio przy pomocy stypendystów dwu blisko związanych z Biblioteką Polską fundacji: im. Stanisława Lama i Jana i Suzanne Brzękowskich. Pożytek stąd podwójny, bo na opracowanie czekają zaległości i świeżo pozyskane kolekcje — a dla stypendystów jest to okazja debiutu w ważnej publikacji naukowej. Przedstawione Redakcji prace przesiewa i ocenia Rada Naukowa w składzie: prof. Daniel Beauvois, red. Jerzy Giedroyc, Zenon Kałuża, Andrzej Krzeczunowicz, Stan. Lazar, Krzysztof Rutkowski, Leszek Talko i Tadeusz Wyrwa. Redaktorem „Aktów” jest nadal Marek P. Prokop. Ponad połowę tomu wypełniają bloki korespondencji z archiwów Kaz. Woźnickiego i Zygmunta Lubicz-Zaleskiego; listy Stan. Zielińskiego pochodzą dla odmiany ze zbiorów Bibl. Narodowej w Warszawie a otwierający tom artykuł Tomasza F. de Rosset opiera się na materiałach znajdujących się w Bibl. Polskiej w Paryżu uzupełnionych kwerendą w zbiorach krakowskich.

1. Akta Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu, t. II. (Red. Marek P. Prokop). Paryż 1993, nakł. Biblioteki Polskiej, s. 296 (6), druk. Biutex Sp. — T. I (1991) omówiłam w *Kulturze*, nr 10/529, 1991.

Legat Macieja Wodzińskiego dla Bibl. Polskiej w Paryżu z r. 1848 zajmuje w historii Biblioteki miejsce specjalne: „wzbogacił stan posiadania”, umożliwił stworzenie Gabinetu Rycin i był wyrazem zaufania dla młodej, jeszcze na Wyspie św. Ludwika nie umiejscowionej placówki emigracji polistopadowej. W sposób dla ważnych nabytków typowy sprowadzenie zbioru, obejmującego ponad 40.000 prac graficznych artystów obcych od XV w. do lat czterdziestych XIX w., grafikę artystów polskich i polonica oraz księgozbiór pomocniczy (4.000 t.) — a więc zbioru pokaznej objętości a umiejscowionego w Dreźnie, nastęrczało wiele trudności i kosztów. Górował nad nimi klimat epoki przeżywającej wstrząs Wiosny Ludów i dodatkowe kataklizmy w postaci pożaru mieszkania wdowy po ofiarodawcy w czasie powstania w obronie tzw. konstytucji frankfurckiej z r. 1849. „Co na wiosnę będzie, co z Europą stanie się? — pisał Stanisław Barzykowski z Paryża 13. III. 1850 — Ja mniemam, iż nie ma Człowieka Stanu w Europie co by wiedział, co by mógł odgadnąć, Bóg jeden tylko wie. To pewna, iż świat dawny kończy się i zamyka, nowy przyjąć musi, ale jaki — przejrzeć nie można. Wszystko zmienione. Wszystko pokrzyżowane [...]” (s. 40). Ofiarodawca, woj. Maciej Wodziński (stryj Marii z biografii Chopina i Słowackiego) optymistyczniej był jednak usposobiony, gdy zapisywał 100.000 florenów polskich w listach zastawnych „na potrzeby Emigracji Polskiej we Francji” — a zbiory graficzne Bibliotece, mieszczącej się jeszcze kątem na rue des Saussaies.

Losów, tym razem księgozbioru emigracyjnego, dotyczy szkic Beaty Bartczak pt. „Stanisław Zieliński a tzw. sprawa rapperswilska”. Opracowanie dotyczy marginesowej sprawy sprzedaży *en bloc* dubletów po cenie uznanej za zbyt niską. Nabywcą był Michał Sokolnicki a reprezentantem interesów Muzeum Waclaw Karczewski, który zmarł w toku pertraktacji z Sokolnickim a po którym odziedziczył „stajnię Augiasza” młody bibliotekarz Stan. Zieliński. Opublikowane w „Aktach” listy do Stan. Szpotańskiego wnoszą wiele istotnych szczegółów do zawilej sprawy dubletów i ich wyłączenia ze zbiorów w tym, co Zieliński określa jako „normalną anormalną” atmosferę pracy w Muzeum. Znałam autora listów w okresie, gdy opiekował się przewiezionymi do Bibl. Narodowej w Warszawie zbiorami biblioteki rapperswilskiej. Był ich pierwszorzędnym znawcą, skwapliwie dzielącym się wiedzą o tajnikach publikacji emigracyjnych z czytelnikami odwiedzającymi Czytelnię Rękopisów w Centralnej Bibl. Woj-



skowej, w której — w charakterze depozytu — były złożone i z którą we wrześniu 1939 r. spłonęły. Uczynny i skromny działał w cieniu głównego opiekuna zbiorów rapperswilskich, dra Adama Lewaka, przekazując ładunek nagromadzonych w toku pracy wiadomości w cennych opracowaniach bibliograficznych (m.in. bibliografii czasopism polskich za granicą 1830-1934 i bibliografii morza i Pomorza).

W zakrojonym na szeroką skalę opracowaniu cz. 1-ej olbrzymiego bloku listów Stefana Dąbrowskiego do Kazimierza Woźnickiego otrzymujemy obraz egzystencji studentów polskich łączących służbę sprawie publicznej z pracą naukową w Paryżu — „po żołniersku” i traktujących studia nad Sekwaną jako przygotowanie do dalszej działalności w kraju. Opublikowane obecnie przez Danutę Płygawko listy z lat 1901-1905 (55 listów) należy chyba uważać za wprowadzenie do obrazu działalności Dąbrowskiego w życiu politycznym i na polu naukowym. Był profesorem biochemii i u kresu życia rektorem Uniw. Adama Mickiewicza w Poznaniu. W okresie studiów paryskich dzielił z Woźnickim francuski dla Askanażego i pośredniczył w pertraktacjach z prawnikami wydawcami przekładów jego książek. „Zetowiec” w młodości, był po powrocie z Paryża do Kraju bardzo aktywny we władzach Stronnictwa Chrześcijańsko-Narodowego i Stronnictwa Narodowego, które jednak, jak relacjonuje to Danuta Płygawko, w r. 1935 „odsunęło go od władzy”. Obiecuje to interesujący dalszy ciąg korespondencji z Woźnickim, doprowadzonej w „Aktach” do r. 1905.

Ponad połowę tomu wypełniają bloki listów do prof. Zygmunta Lubicz-Zaleskiego, także „Zetowca” i także związanego bliską współpracą z Komitetem Narodowym Polskim w czasie I wojny światowej. W dwudziestolecie krążył między Paryżem a Warszawą jako delegat Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego i czołowy przedstawiciel Polonii paryskiej. Był nim nadal w czasie wojny a udział w ruchu oporu stał się przyczyną aresztu i wywiezienia do Buchenwaldu. „Udało mu się przeżyć” — jakże słusznie pisze Małgorzata Willaume we wstępie do wydania listów prof. Marcellego Handelsmana skierowanych do niego.

Blok listów Tadeusza Makowskiego do „mojego drogiego, kochanego” albo „więcej od wszystkich kochanego Zymka” wnosi szereg uściśleń do biografii malarza i jego sytuacji, jako formalnie obywatela austriackiego we Francji w czasie I wojny światowej. W r. 1914/15 Makowski był gościem Wł. Ślewińskiego w Doëlan w Bretanii — jak długo ukła-

dały się znośne stosunki obu malarzy. Po jakiejś zasadniczej dyskusji na temat zadań sztuki Makowski opuścił „Zameczek” i przeniósł się na wieś do Le Pouldu, z niezmiernie korzystnym dla twórczości jego skutkiem.

Najważniejszym i najcenniejszym członem drugiego tomu „Aktów” są listy prof. Marcellego Handelsmana do tegoż prof. Zygmunta Lubicz-Zaleskiego — 124 listy z lat 1911-1939, towarzyszące praktycznie całej karierze uniwersyteckiej i naukowej znakomitego historyka zakończonej tragiczną śmiercią w obozie w Dora-Nordhausen (20. III. 1945?). Przyjaźń nawiązana w latach studenckich zdała trudną próbę w latach I wojny światowej, gdy Zaleski działał w Komitecie Narodowym Polskim a Handelsman był związany z lewicą niepodległościową. Ostatni jego list nosi datę 10. VII. 1939. Warto przytoczyć charakterystyczny fragment listu z okresu reform uniwersyteckich. 20 grudnia 1937 r. tak oto charakteryzował sytuację (str. 232):

„Zajęcia dużo, a efektu mało. Nie mam na nic czasu, a robiąc rachunek sumienia — w sumie otrzymuję smutne saldo. Sytuacja najsmutniejsza. Nastrój tak ciężki jak nigdy, a obiektywne warunki istnienia przygnębiające. Nie zwykłem narzekać. Nie jestem człowiekiem skarg i wydaje mi się, że z każdej trudności można znaleźć wyjście. A jednak nie czuję tego wyjścia i słabnę w sobie. A przy tym mam poczucie najzupełniejszego osamotnienia. Pracuję z ludźmi, wydobywam z siebie co mam najlepszego, tak mi się zdaje, chcę ludzi pchnąć gdzieś wzwyż — i czuję, że między mną a nimi jest jakaś ściana. Albo, że mówię językiem, którego nikt nie rozumie. Nie ma kontaktu i nie znajduję oddźwięku. Nie czuję się starym, tj. w sobie znajduję coraz to nowe koncepcje, pomysły, formuły, których dawniej nie było. A jednak ci młodzi nie potrzebują tego wszystkiego i co więcej, nawet tego nie chcą rozważać. Wytwarza się jakaś dziwaczna sytuacja nawet w stosunku do tych, którzy podobno są zblizeni do mnie ideowo. I rodzi się pytanie: po co ta udręka i moralna, i czysto bytowa, bo samo istnienie fizyczne w tych czasach nie jest łatwe i wymaga wyjątkowej wytrwałości. Zresztą po co o tym mówić. Wystarczy jeżeli się myśli”.

Po prezentacji przykładów zaczerpniętych z korespondencji Kaz. Woźnickiego i Zygmunta Lubicz-Zaleskiego mała dawka z nie mniej cennego archiwum Gierszyńskich. Są nią listy Mieczysława Golberga do Stan. Gierszyńskiego, syna dra Henryka, mecenasa pisarzy i artystów. Golberg, ur. w Płocku w 1868 r., od r. 1891 do śmierci w r. 1907 mieszkał we Francji,



piisał po francusku, nie tracąc jednak kontaktów ze środowiskiem polskim a ze Stan. Gierszyńskim, jak on gruźlikiem, łączyła go wieloletnia przyjaźń. Był, jak ujmuje to wydawca listów (24 l. z lat 1899-1904) Ksawery Deryng, „legendarną postacią literackich i artystycznych kół paryskich na przełomie stulecia, przyjaźnił się z Guillaume Apollinaire'em, Ant. Bourdelle'em” i innymi wybitnymi osobistościami z ich kręgu. Wart jest na pewno przypomnienia.

Tom zamykają sprawozdania z działalności Tow. Historyczno-Literackiego za r. 1991/2 sporządzone po raz ostatni przez śp. prof. Andrzeja Folkierskiego, który opiece nad Biblioteką Polską, Tow. Hist.-Literackim i stypendystami oddał się bez reszty i dobrze zasłużył nauce polskiej na obczyźnie. Wydanie t. II „Aktów” jest w wysokim stopniu Jego zasługą. Życzyć należy Redakcji, by zdołała kontynuować to jakże udane i cenne wydawnictwo.

Feijó, 9. II. 1994

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

## Karta

*Karta*, pismo historyczne ukazujące się nieregularnie. Początkowa formuła miesięcznika okazała się niemożliwa w realizacji. N-ry 1-6 noszą datę 1991, n-ry 7-9 ukazały się w r. 92 a 10 i 11 w 1993. Rezygnacja z pośpiechu i doraźnej aktualności, staranność w selekcji i opracowaniu materiałów sprawiają że dziś zarówno numer jedenasty jak i pierwszy czyta się w całości z równym zainteresowaniem.

*Karta* ogłasza głównie świadectwa uczestników wydarzeń, od początku pierwszej wojny światowej do roku 1989. Być może przedwcześnie, zaczynam się jednak zastanawiać, kiedy uznamy, że ta data nie była aż tak istotna jak nam się wydawało? Teksty w *Karcie* są to relacje zapisane w pierwszej osobie bądź zanotowane przez redaktorów lub współpracowników pisma. Ci starają się wówczas dotrzeć do możliwie największej ilości świadków tej samej sprawy. Wydarzenia niezależnie od ich zasięgu — czy dotyczą jednostki czy tysięcy ludzi — ukazywane są tu jako zapis osobistych doświadczeń. Ogłaszane są też dokumenty, czasem dość osobliwe jak zbiór pism rektora i dzie-

kana wydziału prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego, protokołów spisanych w kancelarii rektora, orzeczeń komisji dyscyplinarnej UJ, odwołań i ostatecznej decyzji w sprawie usuwanego z uniwersytetu studenta Zdzisława Ziemyby za to, że w październiku 1950 na korytarzu dziekanatu w obecności dwóch osób określił rozporządzenie ministra szkół wyższych i nauki o socjalistycznej dyscyplinie pracy jako idiotyzm. Jest to zresztą jeden z bardzo niewielu materiałów w *Karcie* zasługujących na dodatkowy komentarz. Lektura tych orzeczeń podpisywanych przez znanych i czasem prawdziwie zasłużonych profesorów nasuwa przede wszystkim i nieodparcie myśl o ich udziale w ponurej i groteskowej farsie. Równocześnie jednak z *Karty* można się dowiedzieć, że wówczas za podobne a nawet bardziej powściągliwe uwagi Komisja Specjalna do Walki z Nadużyciami i Szkodnictwem Gospodarczym skwapliwie umieszczała tysiące ludzi w obozach pracy przymusowej, np. na 24 miesiące. Ogólna liczba tam osadzonych zbliżała się do 200 tysięcy. A jeśli szkodnictwo polegało na słuchaniu zagranicznych radiostacji na dodatek konfiskowano jeszcze dowód rzeczowy w postaci radioodbiornika „Pionier”. Profesorowie UJ przyjmując założenie winy studenta, biorąc udział w farsie ostatecznie doprowadzili do tego, że usunięcie zostało zamienione na karę nagany z zagrożeniem usunięcia. Z. Z. studia ukończył i jest dziś profesorem logiki.

Historia jest oglądana w *Karcie* raczej z perspektywy tych, którzy walczyli o niepodległość, zwalczali okupantów, podlegali represjom. Nie brak jednak świadectw zmiany przyjętych czy narzuconych ról. Jan Ł., urodzony na wsi, skromnego wykształcenia, wysłany przez Niemców na roboty przymusowe, mając 24 lata w maju 45 wstąpił do UB i PPR. W oczach tych, których zwalczał wyróżniał się gorliwością. Dwaj AK-owcy, aresztowani w r. 46, porozumieli się w czasie pobytu w więzieniu i obaj zeznali, że Ł. współpracował z podziemiem. Aresztowano go, torturowano, doprowadzono do utraty wiary w partię. Mimo braku dowodów skazany na śmierć dostał ataku szału i wyrwał eskortującym go milicjantom pepeszę co sprawiło, że jego sędziowie w popłochu rzucili się do ucieczki. Spędził niemal trzy miesiące w celi śmierci wspólnie ze skazanymi na nią AK-owcami. Po wyroku i zachowaniu w sądzie był przez nich traktowany jak swój i odnalazł się bez reszty w tej wspólnotce. Potem Bierut łaskawie zamienił mu karę śmierci na dożywocie. W końcu wyszedł z więzienia, zajął się pracą na roli, a w r. 90-tym spisał swe wspomnienia, opowiadając ciekawie, bardziej o zamordowanych współwięźniach niż o sobie.

Wypadki paradoksalne, nadzwyczajne czy marginalne, pełne jednak znaczenia nie przesłaniają w *Karcie* wielkich wydarzeń zasadniczej wagi, łączą się z nimi, uzupełniają je i wzbogacają.



Czytając te teksty jesteśmy prawdziwie ciekawi co zdarzy się na następnej stronie. Nie dające się przewidzieć niespodzianki nie zmieniają zasadniczych konturów historii. Czynią ją jednak żywą. *Karta* przynosząc setki szczegółów, uściśleń, często rewelacji służy nie tylko utrwalaniu lecz nade wszystko odbudowaniu zbiorowej pamięci. Regułą jest w niej poważny stosunek do języka. Umiałbym sobie nawet wyobrazić, że tak jak powstał „Słownik Języka Paska” czy „Słownik Języka Adama Mickiewicza” tak kiedyś może zostać opracowany „Słownik Języka *Karty*”. Z ukazywaniem się kolejnych numerów zaczyna się ją czytać jak ogromną wielowątkową powieść epicką o polskich i zresztą nie tylko polskich losach mijającego stulecia. Jest w niej siła żywiołu, poddana jednak mniej widocznym lecz żelaznym rygorom kompozycji. Tyle już razy spotykaliśmy ludzi, którzy przeżyli wiele, mających niepokonywalne trudności ze znalezieniem stosownej formy dla wyrażenia swej prawdy. A tu wszyscy mówią swoimi własnymi, zróżnicowanymi głosami. Już samo wyznaczenie każdemu stosownej ilości miejsca, znalezienie mu właściwego sąsiedztwa odgrywa ważną rolę. Zmieniają się rytmy narracji. Z wydarzeniami wielkiej ponurości przeplatają się takie jak opis skutecznego ataku AK na obóz NKWD w Rembertowie i uwolnienie większości polskich więźniów. Ta historia też nie jest całkiem krzepiąca, gdyż powodzeniu ataku nie towarzyszyła niemożliwa do przygotowania ewakuacja więźniów. Wielu szczęśliwie uciekło. Ci jednak, których schwytano byli natychmiast mordowani z wyjątkowym okrucieństwem. Pewna trudność w przedstawieniu zawartości *Karty* polega nie tylko na tym, że chciałoby się równocześnie opowiedzieć niemal o wszystkim co w niej zamieszczono. Trudność ta staje się wyraźna w momencie, w którym uświadomiłem sobie, że — z wyjątkiem 16 rozdziałków z książki Zbigniewa Raszewskiego\* „Pamiętnik gapia” wydanej w całości w ostatnich dniach, ogłoszonych w numerze 2-gim — każdy z pozostałych tekstów, przejmujących, rewelacyjnych nabiera dodatkowego sensu i wartości w komplecie pisma. Zwykle w gazetach znajduje się jakiś esej, felieton czy reportaż przerastający wszystko co wydrukowano wobec niego. Tu stosunek między fragmentem a całością jest zupełnie innej natury. Jeszcze jedna ważna kwestia: często jest w *Karcie* mowa o wyrokach śmierci wydawanych w pierwszych latach po wojnie. I wymieniani są z imienia i nazwiska ci, którzy te wyroki ferowali. Mam jednak poczucie, że przytoczenie za *Kartą* jednego czy kilku takich nazwisk byłoby sprzenie-

\* Zbigniew Raszewski był pisarzem równie skromnym jak wybitnym i jego proza mieszcząc się dobrze w *Karcie* stanowi jednak zupełnie osobną, samoistną całość.

wierzeniem się przesłaniu pisma, które zajmuje się ustaleniem i utrwaleniem prawdy a nie pościgiem. Wymienienie tylko kilku zbrodniarzy byłoby równocześnie osłanianiem wielu innych, im podobnych. *Karta* z zasady nie zabiega o ustalenie pełnego rejestru winnych i drugiego: zasłużonych, przypominając jednak o konieczności naprawienia krzywd.

Słownik *Karty* okazuje się dostatecznie obszerny i bogaty by służyć z powodzeniem do dokładnego i zajmującego opisu przeszłości. Słowa odzyskują w niej znaczenie i wagę. Wzmacnia to nadwątłone poczucie wspólnoty. Inna rzecz, że gdy redakcja starannie unika mieszania się w dzisiejsze spory to lektura wielu tekstów doprowadza do zaostrzenia stanowiska w aktualnych kwestiach. Historia sowieckiego dezertera zagrożonego wyrokiem śmierci, osobiście na dodatek dosyć nieciekawego, którego jakieś sto pięćdziesiąt osób zdołało kolejno przechować przez ponad cztery lata i wreszcie przerzucić na Zachód — sama w sobie pasjonująca — skłania na dodatek by traktować z najdalej posuniętym sceptycyzmem argument, że oddawanie na powrót kierownictwa służby bezpieczeństwa w ręce wypróbowanych funkcjonariuszy jest uzasadnione ich zawodową sprawnością. Po lekturze *Karty* wypada też odrzucić przypuszczenie, że panowie mogli schwytać poszukiwanego, nie uczynili tego jednak przez wrodzoną dobroć serca.

*Karta* była najpierw pismem wydawanym w podziemiu. Niektóre teksty z tamtego okresu zostały powtórzone w obecnej edycji. Jest to jeszcze jeden przykład na to, że działalność redakcji bardziej przypomina pracę pisarza niż zwykle dziennikarstwo. We wczesnym okresie jawnej działalności pisma i zarazem ośrodka gromadzącego ogromne archiwum liczone na stałą współpracę kilkudziesięciu osób, którym rozdano tematy. Okazało się wkrótce, że wspólnota celu i metod nie da się rozciągnąć na całe plutony piszących. Obecnie zespół pisma kierowany przez Zbigniewa Gluzę liczy siedem osób, w tym dwa małżeństwa oraz kilkunastu dość stałych uczestników tego niezwykłego przedsięwzięcia.

Andrzej DOBOSZ



## „Inna Rosja” w Krakowie

Książka, którą tu chcę zaprezentować\*, ukazała się pod koniec ub. roku w Krakowie i jest dziełem 7 pracowników naukowych Instytutu Filologii Wschodniosłowiańskiej UJ, zgromadzonych w pododdziale tego Instytutu pod nazwą: Zespół Badawczy Rosyjska Literatura Emigracyjna (kierownik: prof. L. Suchanek). Sądząc po uwadze technicznej na odwrocie karty tytułowej (Seria: Literatura Rosyjska — Emigracja — Tamizdat — Samizdat, Nr 1) stanowi ona zapowiedź dalszych publikacji o piśmiennictwie „innej Rosji” i już choćby z tego powodu zasługuje na uwagę i poparcie — nie tylko finansowe, ale i książkowe z zagranicy. Chcę przez to powiedzieć, że zbiory Instytutu ze zrozumiałych względów są niepełne i przesyłki rzadszych publikacji rosyjskich, łatwiej do niedawna dostępnych na Zachodzie niż na wschód od Łaby będą zapewne mile widziane. W czasie mej wizyty w krakowskim Instytucie latem 1990 r. prof. Suchanek z dumą pokazał mi dwie pekaty szafy zawierające „trefne” do niedawna książki i czasopisma, z trudem zgromadzone (i uchronione) w okresie, gdy Instytut oficjalnie mógł zajmować się tylko Szołochowem i Gorkim. Dwie szafy to dużo, ale na pewno nie wszystko, choć wiele już z pewnością w międzyczasie przybyło. Świadczy o tym choćby świeżo wydana książka — bardzo *up to date* i oparta na solidnej podstawie literatury fachowej.

Siedmiu współautorów pracy to — obok redaktora — panie: Lidia Liburska, Krystyna Pietrzycka-Bohosiewicz i Anna Rażny, oraz panowie: Andrzej Drawicz (od 1992 na UJ), Andrzej Dudek i Wasilij Szczukin; wszyscy oczywiście z tytułami naukowymi, które dla krótkości pomijam. (*Nota bene*: ktoś powinien kiedyś obliczyć, ile dodatkowego papieru pochłaniają te wszystkie „ks.bp.prof.dr.hab.inż.”, wciąż *de rigueur*). Książka składa się z obszernego wstępu redaktora, omawiającego historię rosyjskiej emigracji tzw. 3-ciej fali czyli od początków ery breżniewowskiej aż do końca ZSSR i prezentującego panoramę rosyjskich czasopism i wydawnictw na Zachodzie („tamizdat”), oraz 14 szkiców wspomnianych autorów o najważniejszych postaciach powojennej „innej Rosji”. Obok takich wielkości jak Pasternak, Solżenicyn i Szalamow dużo uwagi poświęcono też lżejszemu, ale ważnemu i symptomatycznemu nurtowi grotesko-

\* Lucjan Suchanek (red.), *Emigracja i tamizdat. Szkice o współczesnej prozie rosyjskiej*. „Universitas”, Kraków 1993, 416 str., ISBN 83-7052-161-4.

wemu, który reprezentują A. Zinowiew, W. Wojnowicz, W. Jerofiejew („Moskwa-Pietuszki”!), W. Aksjonow i Abram Terc, czyli Andriej Siniawski (Szczukin omawia jego stosunkowo mało znaną autobiograficzną powieść pt. „Dobranoc”, oryg. Paryż 1984). Dla porządku wymienię też pozostałe „obiekty” studiów: Lidia Czukowska, Wasilij Grossman, Wiktor Niekrasow i Gieorgij Władimow.

Przyjęty sposób prezentacji można by nazwać (w analogii do np. terminu „minimaks” w teorii gier) metodą „mikro/makro”, czyli skupieniem uwagi na jednej pozycji, np. „Doktor Żywago” Pasternaka (A. Rażny), czy określonych ważnych książkach (Drawicz o „Oddziale chorych na raka” i „Archipelagu” Solżenicyna, Suchanek o „Dennych wyżynach” [n.b. wolałbym mimo wszystko „przepastne”!] i „Świetlanej przyszłości” Zinowiewa) — przy równoczesnym opisie szerszego tła utworu, tzn. reszty twórczości danego pisarza i sytuacji ogólnej w jakiej tworzył. Całość daje dobry ogólny obraz „nielegalnej” literatury rosyjskiej od mniej więcej końca II wojny światowej aż do czasów najnowszych. Książka będzie miała niewątpliwie obszernie i fachowe recenzje w pismach specjalistycznych, ograniczę się więc tylko do kilku refleksji, jakie nasunęły mi się w ciągu lektury.

Pisanie o bolszewickiej Rosji (choćby tylko w związku z jej literaturą) jest niełatwym zadaniem — szczególnie dla przedstawicieli narodów przez nią zawładniętych na długo — ponieważ był to fenomen zła podobny do hitleryzmu i do dziś jest trudny do objęcia umysłem i uczuciem (w sensie niemieckiego słowa *Bewältigung*). Nie chodzi tylko o ilość trupów, lecz także o urągającą cywilizowanym normom sytuację, w której umysłowa czołówka ogromnego kraju podlegała przez trzy czwarte stulecia ludziom o mentalności troglodytów — trochę tak, jakby rzeźnicy dyrygowali chirurgami. Świadomość tej nienormalności rodzi u piszących dwie przeciwstawne pokusy: 1-o, nadmiernego moralizatorstwa lub też 2-o, nadmiernego „wczuwania się” w postawy nie do przyjęcia. Najlepszym chyba sposobem „na razie” jest pisanie o tym jak o innych nagich faktach, czyli w sposób czysto opisowy — co, kiedy, ile lat łagru, kto przeżył, jak to opisał, jak się skończyło, itp. Z tego punktu widzenia najbardziej podoba mi się sposób prezentacji Suchanka, Dudka i Szczukina, choć można powiedzieć, że „im łatwiej”, jako że piszą o autorach, którzy sami odcinają się od żywej, tzn. krwawej, rzeczywistości sowieckiej kpinią i groteską (Zinowiew, Wojnowicz, Jerofiejew i Siniawski). U pozostałych w różnej formie objawiają się pewne symptomy wspomnianych pokus, przeważnie tej pierwszej; takie w każdym razie odniosłem wrażenie czytając prace p. Anny Rażny o Pasternaku i Szalamowie, w których jak



na mój gust trochę za dużo odniesień do św. Augustyna, Tillicha i Rahnera, co nadaje całości lekkiego kolorytu Klubu Inteligencji Katolickiej. Skądinąd należy się p. Rażny duże uznanie za solidną prezentację dzieła Szałamowa, gdyż ze wszystkich omawianych w książce pisarzy najważniejszym — w sensie moralnym, nie pragmatycznym czy literackim — wydaje mi się właśnie on, jako autor „Opowiadań kołymskich”, szczególnie na tle jego dramatycznego życiorysu (z tej też racji usunięcie traktującej o tym przedmowy Michała Hellera w polskim przekładzie w wydawnictwie NOWA w 1989 [por. str. 138, odn., omawianej pracy] jest trudne do zrozumienia). Najważniejszym do dziś, ponieważ ta książka-świadectwo jest okazją do wciąż jeszcze aktualnych rekolekcji. Każdy byłby poputczyk komunistyczny po jej przeczytaniu winien pomyśleć (o ile w ogóle jeszcze myśli): „więc ja to popierałem/usprawiedliwiałem/współtworzyłem”. Niestety na tle faktów wydaje się to jednak tylko *pium desiderium*.

Trochę szkoda, że p. Pietrzycka-Bohosiewicz — autorka szkicu o wciąż za mało znanym Wasilim Grossmanie — nie omówiła przy okazji szerzej jego wielkiej powieści „Życie i los”, która jednak cudem przeżyła „aresztowanie” manuskryptów i ukazała się w Szwajcarii w 1980 r. (pewnie jednak nie trafiła w porę do wspomnianych szaf w Krakowie); trochę szkoda, że p. Drawicz nie napisał (*ex re* Sołżenicyna) o cyklu „Czerwone koło”, gdyż z racji samych rozmiarów tego dzieła nieprędko doczekamy się polskiego przekładu; *bardzo* szkoda, że p. Szczu-kin w swej pracy o Siniawskim nic nie wspomniał o roli Instytutu Literackiego w transmisji Terca i Arzaka na Zachód (trafili tam właśnie przez *Kulturę!*). No, ale to są tylko takie wypo-  
minki recenzenckie. W sumie książka jest udaną pozycją: zawiera masę informacji, czyta się dobrze i budzi nadzieję, że ten ważny temat będzie w równie kompetentny sposób kontynuowany. Może przy tej okazji mój faworyt, nikomu nie znany (a szkoda!) Władimir Kazakow — świetny kontynuator Chlebnikowa i Charmsa — doczeka się wreszcie *joyeuse entrée en Pologne*.

M. BRONSKI

## Nowa Europa Wschodnia w oczach Zachodu

Nowa książka Ewy Hoffman: „Exit into History” (Wyjście w Historię) wyszła jesienią 1993 r. jednocześnie w wydaniu amerykańskim i angielskim (Viking/Henemann). Jest ona podsumowaniem wrażeń i refleksji z podróży, podjętej latem 1990 roku i, po raz drugi, w rok później, szlakiem, który prowadził autorkę przez pięć krajów „nowej Europy Wschodniej”. Autorka, urodzona w Polsce, gdzie spędziła pierwszych trzynaście lat swojego życia (które posłużyły jej za kanwę jej wcześniejszej, autobiograficznej książki, „Lost in Translation”, 1989\*), pojechała tam prowadzona „najbardziej osobistym impulsem”: chciała zobaczyć tę „swoją” Europę, „zamrożoną” w historycznym niebycie przez uniformizację totalitarnego systemu, zanim ta nie odejdzie na zawsze w przeszłość. Wiedzioną sentymentem, ale też i ciekawością by zobaczyć i, co ważniejsze, zrozumieć sens historycznego przełomu w krajach tej drugiej Europy, tak dotąd „złe obecne” w świadomości Zachodu.

Ewa Hoffman ma tę ogromną przewagę nad innymi autorami licznych studiów i reportaży na temat rewolucji 1989 r. we Wschodniej Europie, że w swojej ocenie ma luksus podwójnej optyki: jest zdolna do spojrzenia od wewnątrz (bo zna i rozumie *modus operandi* świata, który opisuje), a jednocześnie potrafi oceniać rzeczywistość wedle norm i kryteriów świata zachodniego, do którego przynależy. Nieustanna gra tych dwóch perspektyw to właśnie to, co czyni tę książkę tak interesującą dla czytelników po obu stronach przedzielonego do niedawna Żelazną Kurtyną świata.

Inną wielką atrakcją tej książki, wymykającej się sztywnym podziałom na *genre*, (jeśli potrzeba definicji, proponuję: „refleksyjny dziennik podróży”), jest wyrafinowana metoda pisarska, bardzo postmodernistyczna w swoim „polifonicznym” wielopoziomowym potraktowaniu tematu. Dopiero przy głębszej refleksji czytelnik zdaje sobie sprawę, jak subtelnie przeplatają się ze sobą, niczym wielobarwne nitki w misternej tkaninie, rozliczne warstwy narracji:

— warstwa klasycznego reportażu (wedle wypróbowanej recepty książki podróżniczej): opis samej podróży, zewnętrznych okoliczności, krajobrazów, wrażeń, spotkań;

\* Mającej wkrótce ukazać się w polskim wydaniu, nakładem „Czytelnika”.



— wplecione w ten reportaż portrety ludzkie, najczęściej pogłębione w studia psychologiczne, zawsze ujęte w kontekście społecznym i historycznym; co uzasadnia w przedmowie autorka stwierdzeniem, że: „*charakter ludzki jest niejako mocniej określony we Wschodniej Europie (...) przez takie właśnie presje*” (wszystkie cytaty w tłumaczeniu własnym);

— i wreszcie próba „wzucia się” i zrozumienia wewnętrznej prawdy o opisywanych wydarzeniach i sprawach: dylematów autentycznych komunistów, w momencie, w którym zaczęli rozumieć, że byli tylko narzędziem systemu; dramatów osobistych i rodzinnych tych, którym nikt już nie jest w stanie zrehabilitować krzywd „minionego okresu”; tych, jak dawni bohaterowie Solidarności, którym ich zwycięstwo moralne może się jawić pyrrusowym zwycięstwem; a nawet racji „przeigranych”, którzy obalony właśnie system instalowali i którzy mu przez długie lata, czasem z całą bezwzględnością, służyli.

Fascynacja autorki narzuca pewną selekcję kręgu jej rozmówców, którzy nieomal wyłącznie rekrutują się spośród tych, którzy — kilkadziesiąt lat temu — budowali w tej części Europy system totalitarny; są to w dużej większości intelektualiści pochodzenia żydowskiego lub ich dzieci. Zabrakło mi trochę w całościowym obrazie ludzi, którzy opierali się systemowi od samego początku, choćby tylko metodą emigracji wewnętrznej (choć do takich niewątpliwie zaliczyć trzeba sylwetkę Anny Branickiej Wolskiej, której historia życia, mająca w określeniu autorki znamiona „historycznego melodramatu”, reprezentuje w książce dramatyczne losy polskiej arystokracji w ostatnim pięćdziesięcioleciu). Do pełni obrazu brakuje mi też owego sklepikarza z eseju Havla, tego tzw. szarego (czytaj: nie zaangażowanego politycznie) człowieka, który znajdował swój sposób na przetrwanie w codziennych, drobnych kompromisach; swoją bierną zgodą na *status quo* umożliwiając praktycznie funkcjonowanie systemu.

Temat ten ma, oczywiście, dużo mniejszą nośność dramatyczną, ale, w ostatecznym rachunku, kto wie, czy to nie ten właśnie aspekt mentalności społecznej (zależność od państwa opiekuńczego; strach przed brutalną bezwzględnością wolnego rynku) zadecydował o wyniku wolnych wyborów w latach już po napisaniu tej książki.

Ale Ewę Hoffman interesują nade wszystko indywidualni ludzie, a przede wszystkim ci uwikłani w Historię. Tu najpełniej dochodzi do głosu jej wspaniały dar empatii i zrozumienia tragicznego zawikłania żyć ludzkich pod nieustanną presją polityki i ideologii, które stanowią tak wielką siłę tej książki. Nigdzie nie jest to tak widoczne, jak w części rumuńskiej, która, w opinii wielu ludzi, jest rozdziałem może najmocniej angażującym emocje

czytelnika. Z oczywistych powodów, ma się rozumieć — w tym to kraju okrucieństwo i nieludzkość systemu osiągnęły swoje apogeum. Hoffman ilustruje na własnym przykładzie mechanizm adaptacji, który pozwala człowiekowi przetrwać, co więcej, uznać za „normalne” warunki, jakie na pierwszy rzut oka wydawałyby się nie do zniesienia. Autorka stawia sobie pytanie: jak ludzie mogą w takim kraju żyć? Jak można za takim krajem tęsknić i chcieć do niego wracać? I sugeruje odpowiedź — może kluczem do zrozumienia jest:

„... *mocne przywiązanie, jakie ludzie [w tej części Europy] tak często odczuwają wobec swego kraju, i nostalgia, jaką często, ku naszemu zdumieniu, wyrażają, kiedy go opuszczają (...)* ...*większa bliskość między ludźmi, z wszystkimi ekscesami miłości i nienawiści, które z niej płyną — i z cementującą siłą obu tych uczuć*”.

Niemniej jednak, nie może ująć uwadze autorki paradoks, który tak niepokoi obserwatorów sceny społecznej w krajach postkomunistycznych: prawie każdy z jej młodych rozmówców marzy o wyemigrowaniu na Zachód!

„*Rozumiem, oczywiście, ironię tego; lecz koszt wykorzenia i nieubłagany pęd do migracji — popychający całe populacje w kierunku zachodnim i północnym, jak gdyby napędzanych jakąś siłą heliotropiczną — zaczynają mi się wydawać czymś rozpaczliwym. Czemuż to nadzieja podróżuje tylko w jednym kierunku? I czyż nie będzie jej wszędzie mniej, jeśli będziemy jej szukać zawsze gdzie indziej? A zatem podejmuję swoją diatribę przeciwko emigracji: jeśli pojedziecie do nowego kraju, musicie liczyć na co najmniej dziesięć ciężkich lat, zanim znajdziecie grunt pod nogami; czyż nie lepiej przeżyć tych ciężkich dziesięciu lat tutaj, gdzie macie szansę uczestniczyć w budowaniu nowego świata?*”

Ale powracając do głównego tematu: co autorka wybija tłustym drukiem jako znamię czasu w tych gorączkowych miesiącach przełamania gorsetu totalitarnego reżimu? Tematem, który przewija się nieustannie, jest problem stosunku do przeszłości, wobec której większość rozmówców autorki (jako tych, co mieli — jako się rzekło — swój czynny w niej udział) czuje pewną moralną ambiwalencję. Atmosfera tych rozmów staje się ciężka, bo nie można w żaden sposób uchylić się od konieczności zajęcia stanowiska; słuchający musi w każdym wypadku decydować, czy jego interlokutor „*był odpowiedzialny, czy też po prostu przystał na status quo? Czy był kolaborantem, lub tym co się przystosował do systemu, czy też milczącym opozycjonistą?*”.



Hasłem dnia we wszystkich prawie odwiedzanych krajach jest słowo „lustracja”. Hoffman interpretuje to słowo (chyba się myląc?) jako „oczyszczanie”. Mechanizm gry jest wszakże przerywany: po to aby wielu mogło być oczyszczonych z winy, trzeba znaleźć paru takich, których da się desygnować w charakterze kozłów ofiarnych. Rozmowy o przeszłości przesycone są prawie zawsze aurą dwuznaczności moralnej, w której trzeba nauczyć się delikatnych różnic pomiędzy cynikami (jak polski ex-cenzor, Michał Malicki, którego portret uważam za jeden z najbardziej interesujących w tej książce) a oportunistami (jak czeski aparatczyk, Zdenek Sofar, którego ideą przewodnią było „przystosować się do sytuacji”). Autorka proponuje takie robocze rozróżnienie: pierwsi naginają cynicznie ideały do swoich potrzeb, drudzy już dawno stracili je (ideały) z uczu i gną się sami wedle aktualnej potrzeby.

A jak wygląda ocena teraźniejszości (z punktu czasowego pisania tej książki, ma się rozumieć, albowiem zadanie autorki można by porównać do fotografowania ruchomego obiektu z rozpędzonego pociągu)? Dzień dzisiejszy tych krajów widzi autorka jako „nową wieżę Babel pluralizmu”, stan rzeczy stawiący krok milowy w kierunku „normalności”. Pustkę po ideologii zapęłnia programowa antyideologia, pragmatyzm, ale z wyraźnym przechylem w stronę konserwatyzmu (który, zauważa ironicznie, otacza w krajach postkomunistycznych taka sama aura aprobaty społecznej, jaką w krajach zachodnich do niedawna cieszyła się idea „postępowości”). Powszechnym uznaniem na tym etapie cieszą się idee Milтона Friedmana, apostoła drapieżnego kapitalizmu. Ideały demokracji jakże szybko nabierają banalności sloganu. Rodzi się nowy cynizm: tymi, co naprawdę rządzą, są w „nowych demokracjach” Europy... rekiny biznesu. „Na pewnym poziomie — konkluduje autorka — „*plus ça change, plus c'est la même chose*, choć nie jestem pewna, czy jest to założenie pesymistyczne, czy też, odwrotnie, bardzo optymistyczne”.

Jeśli zaś o przyszłość chodzi, ogólny ton opinii autorki „Exit into History” wydaje się być optymistyczny, choć jest to optymizm utemperowany nieco bliższą znajomością tego słodkogorkowego owocu, za którym tak wszyscy tęsknią w tej części Europy. W posłowniu do swojej książki (datowanym: kwiecień 1993), Ewa Hoffman wyraża nadzieję, że „być może, Wschodnia Europa znajdzie się w awangardzie czegoś nowego: jakiejś 'trzeciej drogi', zgoła różnej od tego, co do tej pory zdołaliśmy wymyślić”. Ale choćby powierzchowne spojrzenie wstecz na wydarzenia, jakie miały miejsce już od daty ukazania się książki, nakazują ton ostrożności: narody „drugiej Europy” zaczęły się od tego czasu uczyć granic swojej wolności, która jest „powrotem

w historię”. „Jeśli przemiany, jakie się dokonały, to istotnie rewolucje, są to wszakże rewolucje sceptyczne, rewolucje pozbawione apokaliptycznej nadziei”.

„Wschodnia Europa” — konkluduje Ewa Hoffman, na użytek swojej zachodniej publiczności — „powinna być dla nas okazją do projekcji naszych własnych wyobrażeń, lecz, odwrotnie, okazją do refleksji nad samymi sobą” (...) „Tamtejsze społeczeństwa są obecnie rodzajem laboratorium, w którym wszystko zostaje poddane redefinicji od podstaw. Redefinicji w kontekście i w kategoriach naszego świata. A więc, pośrednio, jest to wyzwanie dla nas, aby przemyśleć na nowo, czym on jest i jakim chcielibyśmy go mieć; co jest w nim wartościowe, a co godne potępienia”.

Historię — stwierdza Ewa Hoffman — można porównać do księgi buchalteryjnej, w której każdemu wpisowi w rubryce: „zyski” odpowiada inny, w rubryce: „straty”.

Teresa HALIKOWSKA-SMITH

## „...bo oni wszyscy żyją we mnie...”

*„...bo oni wszyscy żyją we mnie  
bo nie są trupem, ni krwią co zasycha,  
każdy jest we mnie, jak wędrowiec w cieniu,  
co po trudnej drodze powoli  
oddycha”.*

Stanisław Wygodzki

Książka Natana Grossa „Poeci i Szoa. Obraz zagłady Żydów w poezji polskiej”<sup>1</sup> pozbawiona jest rozdziału wprowadzającego w założenia, cele i metodę badania, w którym składa się też podziękowania poprzednikom, sumując ich trudy. Takiego rozdziału nie ma, gdyż reguły traktowania tematu są luźne, niesprecyzowane, sprawozdawcze, zaś dziękować nie ma komu. Tak naprawdę autor nie miał poprzedników.

Jest to bowiem dziedzina, którą historycy literatury w Polsce zaniedbali i prace Ireny Maciejewskiej o getcie warszaw-

1. Sosnowiec 1993, Offmax, s. 191.



skim w literaturze polskiej<sup>2</sup> należą do wyjątków. Tak samo jak na emigracji napisane szkice Henryka Grynberga<sup>3</sup>, czy w Izraelu — po hebrajsku — artykuły Jehoszuy A. Gelboa.

Właśnie ten zespół zagadnień — najogólniej można by go nazwać sprawami polsko-żydowskimi objawiającymi się na terenie historycznoliterackim — przez całe dziesięciolecie obłożono w Polsce swoistym tabu. O uchylenie tego tabu głośno i odważnie — jeszcze w roku 1981 — dopominała się publicznie Maria Janion<sup>4</sup>. Dopiero obecnie tą problematyką okresu wojennego zainteresowali się poloniści młodszego pokolenia, Józef Wróbel<sup>5</sup> i Władysław Panas.

Gross podjął zatem próbę inwentaryzacji, tematycznego układu i pewnego rodzaju klasyfikacji napisanych po polsku wierszy o zagładzie Żydów w Polsce. Układ trzydziestu dwu szkiców w jedenastu osobnych grupach został dokonany w celu przeprowadzenia w sposób możliwie najbardziej przejrzysty czynności tutaj najistotniejszej i nadającej sens całej książce: interpretacji.

Interpretacja, zgodnie z definicją literaturoznawczą, jest działaniem badawczym, zmierzającym do wydobycia i wyjaśnienia sensu omawianego zjawiska, w szczególności poprzez określenie jego miejsca w jakiejś całości wyższego rzędu<sup>6</sup>. Zastanówmy się, co w problematyce książki należy rozumieć przez określenie miejsca zjawiska w całości wyższego rzędu. Należy stwierdzić, iż chodzi tu o wyznaczenie momentu nowego zrozumienia, lub nawet zrozumienia dopiero po raz pierwszy, doniosłych zjawisk, z którymi zawsze od początku boryka się każde pokolenie. Pokusę powrotu do odtworzenia, wyjaśnienia i komentowania węzłowych zdarzeń minionego czasu każda generacja odczuwa jako konieczną dla określenia samoświadomości historyczno-intelektualnej. I tak odbywa się przekazywanie — jak pałeczki szybkobiegacza — rozstrzygających wartości humanistycznych. Sądzę, że w dziejach polsko-żydowskich łączności i styków problem „poeci i Szoa” do tej kategorii będzie się zaliczać.

2. Edycja wierszy Władysława Szlengla i wstęp do niej, przedmowa do zredagowanej antologii „Męczeństwo i zagłada Żydów w zapisach literatury polskiej”.

3. Niektóre z nich zostały przedrukowane potem w tomie „Prawda nieartystyczna”, 1984.

4. M. Janion, „Głos w dyskusji na Zjeździe Literatów”, *Zapis*, Londyn 1981, nr 19.

5. „Tematy polsko-żydowskie w prozie polskiej 1939–1987”, Kraków 1991.

6. Sformułowanie Teresy Kostkiewicz w „Słowniku terminów literackich”, 1988.

Wiersze o tragicznym losie Żydów w Polsce towarzyszyły zdarzeniom w chwilach ich dziania się, rodziły się szybko, były często reakcją natychmiastową na przerażającą rzeczywistość. Pisali je sami Żydzi w gettach, obozach, pisali w ukryciu i „na aryjskich papierach”; pisali Polacy w Polsce i na emigracji, i na emigracji poeci-Żydzi; powstawały wtedy, potem, powstają ciągle jeszcze. To temat otwarty i rozdział dziejów literackich wciąż dopisywany wszędzie: w Polsce, poza jej granicami i w Izraelu. Piszą nowi ludzie, którzy wiedzę swoją czerpią z nauki historii, którzy nie byli ani świadkami, ani nawet współczesnymi Szoa. Nie dławi ich więc swąd dla tak wielu spośród nas ciągle unoszący się z kominów Oświęcimia, ze zgłiszcz płonącego wciąż getta.

Te czasami kiepskie wiersze należą do historii literatury, w której zostają poddane hierarchizacji zgodnie z kryteriami estetycznymi. Nie jako takie jednak przywołuje je i omawia Gross. Przywołał je jako dokumenty historii, świadectwa wypadków, obraz wytracenia narodu Żydów. Świadczą i będą świadczyć i żaden badacz nie będzie w mocy podważyć ich autentyczności.

Autentyczności zeznań poetyckich. I dlatego tak ważną, decydującą niemal, staje się znajomość dat i miejsc, w których poszczególne wiersze stworzono; w większości przypadków jesteśmy tej wiedzy pozbawieni.

Zeznaniami poetyckimi są — by sięgnąć po charakterystyczne przykłady — wiersze Władysława Szlengla „Kontratak” czy „Kartka z dziennika Akcji” pochodzące z getta warszawskiego czasu powstania i jednocześnie, po drugiej stronie gettowych murów, Czesława Miłosza „Campo di Fiori”, podobnie jak dokładnie datowany wiersz Jana Kotta „Obrońcom getta”: 19 kwietnia 1943.

Nie tym samym są jednak utwory napisane przez ludzi należących do pokoleń następnych, pokoleń, które przyszły po tym. Dla nich źródłem wiedzy i emocji stały się wieści i przekazy o losie Żydów na ziemi Polaków. W dziejach literatury zajmują one oczywiście miejsce obok tych, które stały się zeznaniami poetyckimi świadków, jako dokumenty jednak reprezentują ważność odmienną. To materiał pośredni, materiał dla historyka mentalności, recepcji wydarzeń, przeżyć. Takich zwłaszcza, które nie mogły być inaczej utrwalone. Co bowiem działo się w komorze gazowej i co przeżywali w ostatnich swoich chwilach zaryglowani w niej ludzie? Próbę rekonstrukcji poetyckiej tej właśnie sytuacji podjęła po upływie paru dziesięcioleci, w Izraelu, Jael Szalit w porażającym swoją mocą „Trenie”.

Poeci zatem — odmiennie od historyków tego typu literatury — wywiązali się z przyjętego na siebie obowiązku: dali świadectwo, zapisali, napisali bardzo dużo tekstów poetyckich, któ-



re ukazały się drukiem w obiegu podziemnym, potem w czasopiśmie literackich, książkach autorskich, wielu antologiach; były deklamowane, powtarzane, śpiewane.

Trzeba jednak wreszcie zadać pytanie odnoszące się do losów tych utworów. Jaka była ich recepcja i oddziaływanie? W jaki sposób zrozumiana została przekazana przez nie prawda? Czy bierne przyswajanie ich przez kilka już pokoleń czytelników polskich stało się zarazem zapłonem czynnego rozumienia?

Tutaj właśnie należy umiejscowić zjawisko „poeci i Szoa” w całości wyższego rzędu. Będzie tym uruchomiony przez Niemców system wyniszczania. Zło w wymiarach ludzkich, ludzkim dziejom dotąd właściwie obce i w rozmiarach nie zapisanych w kronikach, spotkało Żydów jako Żydów ze strony Niemców. Udziałem Żydów stała się śmierć własna poprzedzona bezradną obecnością przy śmierci najbliższych, poniżenie, strach, zaszczucie. Szoa opanowała większość europejskiego kontynentu lat 1939–1945.

W poezji znalazł odbicie jej wariant poznany w Polsce, wariant, w swoim natężeniu najsilniejszy i najokrutniejszy. Żył się on również resentymentami, z jakimi w czas wojny wkraczali Żydzi i Polacy, resentymentami bynajmniej nie złagodzonych przez wspólne zniewolenie przez okupanta. Zjawiskiem zatem najzupełniej zrozumiałym i wręcz oczekiwanym stała się w poezji tej problematyka zawilego, skomplikowanego i nieprzejrzystego splotu polsko-żydowskich powiązań w latach wojny i po niej.

Aktywne rozumienie przekazu poetyckiego włączonego w obieg czytelniczy przez opiniotwórczych poetów pokolenia — Tuwima, Słonimskiego, Wierzyńskiego, Balińskiego, Wittlina, Broniewskiego, Przybosia, Jastruna, Wygodzkiego, Miłosza i tak wielu innych — winno było spowodować, że „Żydzi mogli oczekiwać zrozumienia, współczucia, serdecznej pomocy a nawet radości, że uniknęli śmierci” napisała — z perspektywy badacza dziejów dokonanych — Krystyna Kersten<sup>8</sup>. Bezsilność poezji objawiła się tutaj z siłą przemożną. Stało się to w kraju i w społeczeństwie, w którym w przeszłości poezja właśnie wywoływała zrywy powstańcze i bunty. Czyli przeobrażała. Teraz, po zakończonej wojnie i wyzwoleniu, bardzo szybko ci uratowani z miejsc kaźni Żydzi, jeszcze w drodze do nie istniejących domów, stali się przedmiotem erupcji masowego gwałtu i psychologicznie trudno wytłumaczalnej nienawiści — pogromów w Krakowie, Kielcach. Sprawcy pogromów nie czytują wierszy...

To polski poeta Czesław Slezak napisał po latach w cyklu „Wołam cię Jeruzalem” wiersz usprawiedliwiający:

7. K. Kersten, „Polacy, Żydzi, komunizm”, Warszawa 1992, s. 87–88.

*Inni wytykali palcami  
Nie pokazywał mnie  
Inni ciskali kamieniami  
Nigdy nie schylił się  
By rzucić  
On nie miał ręki...*

W Polsce lat okupacji, czasu Szoa i Holocaustu, uratowała się (poza obozami) pewna ilość Żydów. Ich ocalenie stało się możliwe tylko dzięki pełnej poświęcenia i samozaparcia pomocy pewnej ilości Polaków. O nich jednak poezja milczy i nie rozumie dlaczego. W wierszach napisanych przez Żydów dochodzi natomiast do głosu straszna samotność, gorycz zawiedzionych przyjaciół, obojętność otoczenia i obecność tych Polaków, których działalność przyczyniła się aktywnie do dzieła Zagłady.

Historycy już ten wątek podjęli. „Żydzi, którzy uszli Zagładzie żyjąc w ukryciu lub na tzw. aryjskich papierach, zapamiętali swoją samotność, poniżenie, strach odczuwany nie tylko przed Niemcami, lecz również, co gorsza, przed polskimi rodakami” — pisze Krystyna Kersten<sup>8</sup>, zaś kategorię „Pióhun i popiół” z r. 1987 Roman Zimand: „...Żydzi w gettach ginęli z rąk Niemców i bali się Niemców, natomiast Żydzi ukrywający się na aryjskich papierach w piwnicach, szafach i lasach ginęli z rąk Niemców, lecz bali się Polaków”<sup>9</sup>.

Natan Gross napisał cykl swoich szkiców z innej perspektywy. Patrzył na tamte wypadki złagodzone mijającym czasem, końcem diaspory ocalałych Żydów polskich we własnym, niepodległym państwie, osobistymi (pozytywnymi) doświadczeniami okupacyjnymi i tragicznymi Polaków i Polki, na które nikt nie ma prawa pozostać niewrażliwym. Spadek poetycki po tym strasznym czasie odczytał na swój własny, indywidualny zatem subiektywny sposób. Książkę swoją pisał w Izraelu, gdzie od ponad czterdziestu lat żyje i pracuje. Przepisuję z niej krótki akapit o zapamiętanie którego proszę:

„W tej Polsce, w której część społeczeństwa żydowskiego widzi tylko (wzrastający nową falą) antysemityzm, szerzy się (ciągle jeszcze nieprzerwaną falą) kult pamięci narodu, który przez szereg wieków zamieszkiwał ziemie polskie, pielęgnował swoją kulturę narodową, ale też stał się nieodłączną częścią kultury polskiej. Kult ten wyraża się m.in. w nader obfitej literaturze historycznej, pamiętnikarskiej, w szerokiej publicystyce pole-

8. *op. cit.*, s. 150.

9. R. Zimand, „Materiał dowodowy. Szkice drugie”. Paryż 1992, s. 57.



micznej, beletrystyce i w poezji. Kto tego nie widzi (a i innej działalności) — ten po prostu nie chce widzieć" (str. 45).

Do tego cytatu osobiście nie mam nic do dodania. Ani ujęcia.

Ryszard LÓW

## Nadesłane nowości wydawnicze

*Polska bibliografia literacka za rok 1984. Część I.* Opracował zespół Poznańskiej Pracowni Bibliograficznej Instytutu Badań Literackich PAN. Redakcja: Teresa Tyszkiewiczówna. Str. 496. (Wyd. Inst. Badań Literackich PAN, Warszawa-Poznań 1993).

*Polska Bibliografia Literacka za rok 1984. Część II.* Opracował zespół Poznańskiej Pracowni Bibliograficznej Instytutu Badań Literackich. Redakcja: Teresa Tyszkiewiczówna. Str. 696. (Wyd. Inst. Badań Literackich PAN, Warszawa-Poznań 1993).

*Antologia polskiej poezji metafizycznej epoki baroku.* Od Mikołaja Sep-Szarzyńskiego do Stanisława Herakliusza Lubomirskiego. Wstęp i opracowanie Krzysztof Mrowciewicz. Str. 280. (Wyd. Instytut Badań Literackich PAN, Warszawa 1993).

NOWAK (Andrzej). *Między carem a rewolucją.* Studium politycznej wyobraźni i postaw Wielkiej Emigracji wobec Rosji 1831-1849. Str. 368. (Wyd. Warszawska Oficyna Wydawnicza GRYF, Warszawa 1994).

*Współczesna literatura polska lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych.* Opinie, poglądy, prognozy literaturoznawców polskich i niemieckich. Str. 192. (Wyd. Instytut Polski w Lipsku, Uniwersytet Lip-

ski i Inst. Badań Literackich PAN, Lipsk 1993).

*Dzieje harcerstwa na obczyźnie w latach 1912-1992.* Materiały z konferencji naukowej w Rogach k. Gorzowa Wlkp. 29-30 maja 1992. Red. Marek Szczerbiński. Str. 330 i 2 nb. (Wyd. Polskie Towarzystwo Naukowe Kultury Fizycznej, Sekcja Historii, Gorzów Wlkp. 1992).

KOCHANOWSKI (Jerzy). *Spojrzenie na Rosję.* Str. 182 i 2 nb. (Wyd. Warszawska Oficyna Wydawnicza GRYF, Warszawa 1994).

KRÓLIKIEWICZ (Grażyna). *Terytorium ruin.* Ruina jako obraz i temat romantyczny. Str. 134 i 26 nb. (Ilustracje). (Wyd. Universitas, Kraków 1993).

Śmieja (Florian). *Ziemia utracona.* Wiersze. Str. 32. (Wyd. Silcan House, London, ON-Canada-1994).

HLEBOWICZ (Adam). *Kościół odrodzony. Katolicyzm w państwie sowieckim 1942-1992.* Str. 256. (Wyd. Stella Maris, Gdańsk 1993).

KANDZIORA (Jerzy). *Zmęczeni fabułą.* Narracje osobiste w prozie po 1976 roku. Str. 156 i 4 nb. (Wydawnictwo PAN, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław-Warszawa-Kraków 1993).

*Regiony w dziejach Polski — Pomorze Zachodnie. Zeszyt 1: Szczecin i Pomorze Zachodnie od czasów najdawniejszych do XIII wie-*

ku. Red. Kazimierz Kozłowski. Sfr. 116. (Wyd. Polskie Towarzystwo Historyczne, Kuratorium Oświaty w Szczecinie, Urząd Miejski w Szczecinie, Szczecin 1992).

*Regiony w dziejach Polski — Pomorze Zachodnie. Zeszyt 2: Szczecin i Pomorze Zachodnie w XIX i XX wieku (do 1945 r.).* Red. Kazimierz Kozłowski. Str. 130 i 4 nb. (Wyd. Kuratorium Oświaty w Szczecinie, Urząd Miejski w Szczecinie, Polskie Towarzystwo Historyczne, Szczecin 1993).

KURECKA (Maria). *Czarodziej — Rzecz o Tomaszu Mannie.* Str. 378 i 6 nb. (Wyd. Oficyna Literacka, Kraków 1993).

PISKOZUB (Andrzej). *Morze w dziejach cywilizacji.* Str. 186 i 6 nb. (Wyd. Pomorska Oficyna Wydawniczo-Reklamowa „MARIOL”, Gdańsk 1993).

TYSZKA (Juliusz). *Widowiska nowojorskie.* Str. 228 i 4 nb. (Wyd. Ars Nova, Poznań 1994).

FALIGOT (Roger), KAUFFER (Rémi). *Tajne służby Chin (1927-1987).* Przekład z francuskiego Łucja Aderman, Maria Stefańska-Matuszyn. Str. 486 i 2 nb. (Wydawnictwo Bellona, Warszawska Oficyna Wydawnicza „GRYF”, Warszawa 1994).

ELEKTOROWICZ (Leszek). *Jeden znak.* Wiersze. Str. 116. (Wyd. Św. Stanisława B.M. Archidiecezji Krakowskiej, Seria: W kręgu metafizycznym Nr 1, Kraków 1993).

GRUPIŃSKI (Jerzy). *Protokół towarzyski.* Wiersze. Str. 70 i 2 nb. (Wyd. Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, Poznań 1994).

WAŃCZYCKI (Jan K.). *Genealogie rodzin Wańczyckich, Rolskich i Kroguleckich.* Str. 96. (Wyd. nakładem Autora, Ottawa 1992).

KAKIET (Małgorzata). *Pewna forma szczęścia według Jerzego Wolfa.* Str. 96 i 8 nb. (ilustracje). (Wyd. Biblioteka „Więzi”, tom 78, Warszawa 1993).

RODOWICZ (Władysław). *Komitet na Piwnej.* Str. 284 i 4 nb. (Wyd. Biblioteka „Więzi”, tom 79, Warszawa 1994).

KULIK (Adam Wiesław). *Gra.* Str. 230 i 3 nb. (Wydawnictwo Lubelskie Nowe, Lublin 1993).

*Ethos.* Kwartalnik Instytutu Jana Pawła II KUL — Lublin i Fundacji Jana Pawła II — Rzym. Nr 23 (rok 6) 1993. Str. 308 i 4 nb.

SKOCZYŃSKI (Jan). *Wartość pesymizmu.* Studia i szkice o Marianie Zdziechowskim. Str. 160 i 4 nb. (Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 1994).

*Jawor 93.* Informator o organizacjach pozarządowych w Polsce. Str. A 112 — Alfabetyczny spis organizacji; B 622 i 2 nb.; C 154 — indeks pól działań organizacji. (Wyd. Fundusz Współpracy, Program Dialog Społeczny N.G.Os., Warszawa 1993).

LOW (Ryszard). *Pod znakiem starych foliantów.* Cztery szkice o sprawach żydowskich i książkowych. Str. 82 i 2 nb. (Wyd. Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych „Universitas”, Kraków 1993).

NOWAKOWSKA-WEGENEK (Celina). *Wiersze tęsknoty.* Str. 80. (Wyd. „Komplet”, Koszalin).

GLIKSMAN (Łucja). *Wczoraj.* Str. 48 (w języku polskim i hebrajskim). (Wyd. Kontury, Tel-Aviv, 1993).

TOKARCZUK (Ignacy, Abp.). *W starciu z totalitaryzmem.* Rozmowy przeprowadził Tadeusz Fredro-Boniecki. Str. 200 i 8 nb. (Editions du Dialogue, Paryż 1994).



## KOMUNIKAT FUNDUSZU POMOCY NIEZALEŻNEJ LITERATURZE I NAUCE POLSKIEJ

W latach 1992-1993 Fundusz udzielił:

- 63 stypendia indywidualne, łącznie na sumę 311.743 FF;
- dotację (9.000 FF) dla lubelskiego Centrum Kultury i Wszecznicy Teatru na zorganizowanie sesji pt. „Józef Czapski — życie i dzieło” (Lublin, maj 1993);
- dotację (15.000 FF) dla trzydziestu uczestników (Białorusinów, Litwinów, Ukraińców i Polaków) międzynarodowej sesji w Lille (Francja) na temat widzenia Europy Środkowo-Wschodniej przez Europę Zachodnią (wrzesień 1993).

Stypendia Funduszu przeznaczone były przede wszystkim dla polskich twórców i naukowców w celu umożliwienia im miesięcznych pobytów za granicą. Stypendystami Funduszu były głównie osoby zamieszkałe stale w Polsce; skorzystali z nich także — jedna Rosjanka, jedna Polka z Ukrainy oraz dwóch Litwinów. Większość stypendiów została zrealizowana we Francji, kilka w Anglii, Niemczech, Polsce, we Włoszech i na Ukrainie.

Działalność prowadzona była w oparciu o subwencje powierzone Funduszowi przez norweską fundację „Fritt Ord” i stowarzyszenie „Les Amis de la Culture” (Francja), a także dzięki wpłatom indywidualnym i wpływom uzyskanym z operacji bankowych.

Zasady przyznawania stypendiów: o stypendia mogą ubiegać się pisarze, publicyści, artyści oraz naukowcy w dziedzinie nauk humanistycznych i społecznych. Stypendia przyznawane są na okres nie dłuższy niż jeden miesiąc — na pobyty za granicą, w wyjątkowo uzasadnionych wypadkach również na wykonanie konkretnej pracy w kraju. Ta sama osoba nie może otrzymać ponownie stypendium wcześniej niż przed upływem pięciu lat. Wysokość jednorazowej dotacji wynosi zwykle 5.000 FF.

Podania powinny wpływać do 30 października — na pobyty planowane na I połowę roku następnego, i do 30 kwietnia — na II połowę tego samego roku. Podanie powinno zawierać życiorys, informacje o dorobku twórczym oraz program pobytu za granicą. Wskazane jest załączenie opinii osoby kompetentnej w danej dziedzinie.

Wnioski należy przysyłać do sekretarza Funduszu:

Wojciech Sikora, FPNLiNP,  
31, rue de Garlande,  
77-220 Tournan-en-Brie,  
Francja.

## Notatki Redaktora

Premier Waldemar Pawlak, wicepremierowie i ministrowie otrzymali od 20 do 25 milionów złotych nagrody za pierwsze dwa miesiące urzędowania. Nie są znane nagrody i premie dla pracowników Belwederu i Kancelarii Prezydenta. Jeśli idzie o poprzedni rząd to premier Suchocka przyznała sobie nagrodę 142 mln, po 102 otrzymali dwaj wicepremierzy Goryszewski i Łączkowski, po 93 mln trzej ministrowie: Rokita, Osiatyński i Flisowski.

Biuro Prasowe Rządu poinformowało, że pensja premiera brutto wynosi 22 mln złotych, wicepremiera 19 mln, ministra 16,5 mln, wiceministra i wojewodów po 16 mln, dyrektora generalnego i wicewojewody po 14,5 mln zł. Ujawnienie tych danych wywołało wzburzenie opinii publicznej, przy braku pieniędzy na glodowe emerytury i coraz gorszym stanie gospodarki narodowej.

Ostatnio mówi się, że p. Andrzej Drzycimski, rzecznik prasowy prezydenta Wałęsy, ma zostać ambasadorem przy Kwirynale względnie przy Stolicy Apostolskiej. W pierwszym wypadku szef placówki, Bolesław Michałek, kończy w czerwcu br. swoją kadencję, a w drugim stanowisko ambasadora praktycznie wakuje od szeregu miesięcy w związku z ciężkim stanem zdrowia prof. Henryka Kupiszewskiego. O nieodpowiednim obsadzeniu placówek pisałem już w *Notatkach Redaktora* w nr 1/2 (styczeń-luty br.). Przeglądając dawne *Zeszyty Historyczne* przypomniałem sobie wspomnienia W. Drymmera, dyrektora Departamentu Personalnego w MSZ za czasów ministra Becka (*Zeszyty Historyczne*, nr 29, 1974), w których pisze o przeprowadzonych przez siebie reformach w ministerstwie. Nie straciły one dotąd aktualności. Cytuję fragmenty:



„W ciągu bez mała 10 lat mojej pracy na stanowisku szefa Biura Personalnego przyjąłem i dopuściłem do egzaminu dyplomatyczno-konsularnego około 170 młodych ludzi, a więc trzecią część stałych urzędników, którzy posiadali dobrą znajomość dwóch języków obcych, odbyli służbę wojskową, zakończoną przeważnie w stopniu ppor. rezerwy, no i odznaczyli się dobrą sprawnością fizyczną...

Na kilka lat przed wojną przyjąłem, na skutek polecenia min. Becka, dwóch młodych Ukraińców. Był to wyłom w dotychczasowej praktyce MSZ i wyłom bardzo dobry. Również prawie w tym samym okresie czasu uzyskało stypendium na studia w słynnym uniwersytecie muzułmańskim w El-Ezhar w Kairze dwóch Tatarów wileńskich. Po dwóch latach studiów jeden z nich, Mustafa Aleksandrowicz, został przyjęty do MSZ-u i został urzędnikiem stałym. (...)

Kandydat do służby w MSZ, tak zwany praktykant, miał dość trudną drogę zanim został stałym urzędnikiem. Musiał przejść roczną praktykę na placówce zagranicznej, po czym także praktykę w centrali MSZ, wreszcie zdać trudny, komisyjny egzamin z prawa międzynarodowego, prywatnego i publicznego a w szczególności konsularnego, z ekonomii światowej i polskiej, z historii ze szczególnym uwzględnieniem najnowszej historii Polski i historii dyplomacji, z geografii z naciskiem na dobrą znajomość geografii Polski. W tej materii mieliśmy w pierwszych latach smutne doświadczenia.

(...)

Konsulaty, poczynając od generalnych a kończąc na agencjach konsularnych, były miniaturami tego wszystkiego, co się w Polsce działo i wytwarzało, po wszystkie troski i kłopoty codziennego życia i bytu obywatela polskiego tak w kraju jak i poza jego granicami; a więc służba wojskowa, śluby, rekwizycje sądowe, spadki, urodziny i śmierci, interesy i przedsiębiorstwa handlowe, praca i przeróżne doświadczenia, opieka nad wszystkimi obywatelami polskimi. W oczach szerokiej publiczności konsul był czymś znacznie ważniejszym aniżeli poseł RP.

#### *Budżet Ministerstwa Spraw Zagranicznych*

Sejm na rok 1939/40 uchwalił budżet Ministerstwa Spraw Zagranicznych w wysokości 42.203.000 złotych.

Pozycja *Urzędów dyplomatycznych i konsularnych*: wynosiła 22.058.000 zł., z której około 40% szło na „Opiekę i pomoc Polakom za granicą”.

Jak z tej pozycji wynika wysiłek uboższego państwa był olbrzymi w stosunku do jego skromnych możliwości.

Zdając sobie sprawę z odpowiedzialności za wydawanie tych

cennych pieniędzy państwowych, byłem surowy i dokuczliwy w kontrolowaniu celowości wydatków.

(...)

Ze względów zarówno na bezpieczeństwo jak i bezrobocie w Polsce, zabraniałem zatrudniania cudzoziemców na jakimkolwiek stanowisku, ze służbą domową włącznie. Zatrudnionych cudzoziemców polecałem zwolnić. Z centrali przysyłałem kierowników, woźnych i oczywiście urzędników.

(...)

Polska wstrzymała się ostatnio od poparcia rezolucji ONZ-u potępiającej łamanie praw człowieka w Chinach. Należy przypomnieć, że nie tak dawno prof. Geremek i Adam Michnik, w czasie swojej wizyty w Chinach, zorganizowali konferencję prasową w polskiej ambasadzie, gdzie bardzo ostro potępiali politykę represyjną chińską. To znakomicie ilustruje meandry naszej polityki zagranicznej: niekonsekwentna i arogancka.

Rząd odesłał do Sejmu konkordat ze Stolicą Apostolską podpisany przez rząd p. Suchockiej. Należy mieć nadzieję, że Sejm zatwierdzenie konkordatu odłoży do czasu uchwalenia nowej konstytucji.

Szczecińskie środowisko nauczycieli historii i pracownicy pomorskich uniwersytetów przed dwoma laty opracowali projekt nauczania historii regionu w szkołach województwa. Jest to inicjatywa godna poparcia. Przy masowych przesiedleniach ludności, które miały miejsce po wojnie, najwyższy już czas by mieszkańcy poszczególnych regionów odzyskali swoje korzenie. Dotyczy to w pierwszym rzędzie Górnego Śląska i Opola. Mam nadzieję, że rząd zajmie się intensywnie tą sprawą.

Niespodziewanie premier Pawlak z bardzo liczną delegacją pojechał do Moskwy. Ta „robocza” wizyta była zupełnie nieprzygotowana. Pan Pawlak nie będzie przyjęty przez Jelcy-



na, którego nie ma w Moskwie. Według naszych informacji premier miał w pierwszej kolejności odwiedzić Kijów. Ta wizyta jest przykładem kompletnego chaosu w naszej polityce wschodniej. Prezydent Wałęsa w czasie pobytu na Łotwie bardzo gwałtownie zaatakował Rosję, pozwolono przyjechać do Polski p. Żyrynowskiemu zamiast uznać go za *persona non grata*, jak to zrobiły inne kraje zachodnie. Konferencja ministra Olechowskiego w Krakowie z rosyjskim ministrem spraw zagranicznych skończyła się na niczym. To wszystko daje zniechęcający obraz naszej polityki.

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zgodziło się na to, by policja była „sponsorowana” przez różnego rodzaju biznesmanów. Prowadzi to nieuchronnie do nadużyć i skandali. Tłumaczenie, że jest to wynikiem trudności budżetowych jest niepoważne. Można sponsorować walkę z narkotykami czy z AIDS, ale nie policję. Jest to zresztą rozkładanie struktury państwa, gdyż jednocześnie np. przeprowadza się masowe zmiany wojewodów, czasami bardzo niefortunne, jak to miało miejsce w Przemysłu. W ostatnim okresie przeciętnie zmienia się trzech wojewodów tygodniowo, jak dotąd w sumie dwudziestu sześciu. Do czego ma to doprowadzić?

Źle się również dzieje na odcinku radia i telewizji. Próby ingerencji — bardzo niefortunnych — prezydenta, presja środowisk katolickich jeśli idzie o Radio „Maryja”, kwestionowane decyzje udzielanych koncesji doprowadzają do tego, że tak niezmiernie ważny czynnik jak radio i telewizja są całkowicie sparalizowane.

W Stanach Zjednoczonych przebywa na studiach bardzo wielka ilość polskich studentów, szereg młodych naukowców, którzy w ostatnich latach wyemigrowali do Stanów Zjednoczonych, oraz wielu polskich przedsiębiorców. Byłoby celowe by ambasada polska w Waszyngtonie zorganizowała ich zjazd z udziałem przedstawicieli rządu i polskich organizacji gospodarczych. Takie forum pozwoliłoby zastanowić się jak można by wykorzystać tych ludzi do współpracy z Polską. Podobne

forum organizuje ambasada francuska w Waszyngtonie dla około tysiąca studentów francuskich kończących studia w Stanach Zjednoczonych.

Nieprawdopodobne historie z Radiem Wolna Europa—Liberty. W związku z planowaniem przeniesienia obu radiostacji do Pragi, stworzono specjalną komisję tzw. *Prague Working Group* (grupa wyższych pracowników dyrekcji amerykańskiej), która prowadzi badania w Pradze celem ustalenia jak będzie wyglądało życie pracowników Radia po ewentualnym przeniesieniu tam Radia. Szukają m.in. odpowiedzi na następujące pytania:

— Jaki jest przeciętny koszt spożywania obiadu w restauracji w Pradze?

— Czy dostępne są następujące rodzaje spektakli: opera, koncerty symfoniczne, przedstawienia baletowe, koncerty rockowe, jazz itp.

— Czy dostępne są kluby sportowe z nowoczesnym sprzętem i programami treningowymi?

— Czy w Pradze będzie można znaleźć fachowców, którzy będą umieli podłączyć urządzenia domowe, w rodzaju maszyn do prania lub maszyn do mycia naczyń?

— Czy cudzoziemiec może zakupić parcelę w Republice Czeskiej?

— Czy to jest rzecz powszechna, że mieszkania w Pradze posiadają piwnicę?

— Czy można mieć telewizję kablową? Ile stacji telewizyjnych jest dostępnych w Pradze?

— Gdzie są najlepsze sklepy żywnościowe?

— Jakie linie lotnicze latają do Pragi?

— Czy można kupić jedzenie w puszkach dla psów i kotów?

— Czy można nabyć utensylia dla zwierząt domowych? i tak dalej.

Pytania te przytaczamy z memorandum *Information Resources Department* z 16 lutego 1994 r.

REDAKTOR



## Polemiki

### O stosunkach polsko-ukraińskich bez katastrofizmu

Pan prof. Bohdan Osadczyk jest autorem szkiców na tematy ukraińskie ukazujących się prawie w każdym numerze *Kultury*. Autor przedstawia kolejne zmiany na Ukrainie, analizuje działania polityków, wiele uwagi poświęca również ukraińskiej polityce zagranicznej. Ważne miejsce w tych rozważaniach zajmuje stan relacji polsko-ukraińskich i perspektywy dwustronnych stosunków.

B. Osadczyk niezwykle krytycznie i nad wyraz emocjonalnie ocenia dotychczasowe poczynania w tej sferze, a winą za katastrofalny — w jego przekonaniu — stan rzeczy obarcza głównie stronę polską. Co prawda, w minionym roku autor przywoływanych artykułów kilkakrotnie ulegał pokusie nadziei, że w polsko-ukraińskich stosunkach pojawi się nowa jakość — dość pozytywnie ocenił zarówno intensyfikację kontaktów na przełomie roku, kiedy to Ukrainę odwiedzili premier H. Suchocka i szefowie polskiego MSZ oraz MON, jak i majową wizytę prezydenta L. Wałęsy — jednak bieg wydarzeń szybko przynosił publicznie *Kultury* rozczarowanie. W jego opinii Polska grzeszy już nie tylko „opieszalnością i zwłoką”, jak to zostało sformułowane jeszcze w grudniu 1992 r., ale brakiem wizji polityki zagranicznej. Jak sądzi B. Osadczyk, wykazaliśmy „nacionalistyczny egoizm i zupełne niezrozumienie sensu partnerstwa z Ukrainą”. Zapatrzona w Zachód polska inteligencja tradycyjnie nienawidzi Wschodu i tradycyjnie go nie rozumie. „Doświadczenia ostatnich miesięcy wykazały, że dewiza prezydenta Krawczuka o priorytecie stosunków z Polską była politycznym niewypałem i błędem”, a „oparta na naiwnej wierze” miłość do Polski zawiodła.

Z tak stronnicy widzeniem spraw nie można się zgodzić. Jednym z założeń polskiej polityki zagranicznej jest popieranie niepodległości państw, które odrodziły się bądź powstały na skutek rozpadu Związku Sowieckiego. Stanowisko takie nie powinno być motywowane — w kategoriach politycznych — jakąś szczególną sympatią, lecz wspólnym interesem, który w tym wypadku jest oczywisty. Ukraina — sąsiedni kraj dwukrotnie większy od Polski, dysponujący pokaźnym potencjałem — zawsze będzie dla nas ważnym partnerem. Interes wzajemny wymaga wzorowego ułożenia stosunków i opracowania mechanizmów jak najszerzej współpracy.

Powyższy passus jest na tyle deklaracyjny, iż nie wątpię w irytację mojego adwersarza. Zawsze jednak pewne ogólne sformułowania wytyczają kierunek bardziej konkretnych działań. W moim odczuciu, można uważać za osiągnięcie stworzenie w ciągu dwóch lat podstawowej bazy prawnej określającej wzajemne stosunki. Szczególne znaczenie ma „Traktat o dobrym sąsiedztwie, przyjaznych stosunkach i współpracy” z 18 maja 1992 r., doceniany także przez B. Osadczyka. Oprócz traktatu podpisano wiele porozumień międzyrządowych i międzyresortowych, które wyznaczają ramy dwustronnej współpracy w poszczególnych dziedzinach.

Jednak, jak trafnie przypomniał ostatnio min. A. Olechowski, podpisanie umowy nie jest końcem a zaledwie początkiem drogi. Jest faktem, że niektóre z zawartych porozumień nie są w pełni realizowane, co utrudnia dalsze przedsięwzięcia. Niestety, bardzo często dzisiejsze realia blokują wspólne inicjatywy. I tak np. trzeba powiedzieć, że póki na Ukrainie nie staną się widoczne efekty zdecydowanego wprowadzania w życie konsekwentnego i odważnego programu naprawczego, to współpraca gospodarcza nie osiągnie satysfakcjonującego obie strony poziomu. Poważne przeszkody w jej rozwoju to choćby słabość ukraińskiej waluty, nieuporządkowany system prawny czy różny stopień zaawansowania przekształceń własnościowych w obu krajach. W tej sytuacji trudno się spodziewać znaczącego zaangażowania firm potencjalnie nawet bardzo zainteresowanych kontaktami z partnerami ukraińskimi.

B. Osadczyk stosunkowo niewiele miejsca poświęca tym zagadnieniom. Moim zdaniem rzeczywisty rozwój w tej dziedzinie — z jego następstwami społecznymi i mentalnymi — jest szalenie istotny ze względu na możliwość unacznienia wątpiącym, że wzajemne korzyści mogą być rzeczywiste i bar-



dzo wymierne. Przez dziesiątki lat anormalności nikt nie mógł się o tym przekonać.

Problemem obu krajów są trudności budżetowe, które powodują odkładanie na bliżej nieokreśloną przyszłość różnych wspólnych projektów. Myślę tu już nie tylko o konkretnych programach gospodarczych, ale także o możliwych działaniach w zakresie nauki czy kultury. Te, miejmy nadzieję, przejściowe ograniczenia sprawiają, że być może nieco z konieczności tak wyraźna jest — także w artykułach B. Osadcuka — koncentracja na problemach politycznych.

B. Osadcuk przedstawia się jako zdecydowany zwolennik stworzenia na obszarze pomiędzy Rosją a Niemcami „regionalnego paktu”. Z wyraźną irytacją pisze o braku gotowości przede wszystkim Polski do stworzenia regionalnej strefy bezpieczeństwa oraz „fiasku umizgów” Ukrainy do Grupy Wyszehradzkiej i ISE. Jakby zapomina przy tym o polskim wniosku popierającym wejście Ukrainy w skład Inicjatywy oraz propozycjach udziału w niektórych pracach Grupy Wyszehradzkiej, co oczywiście nie jest natychmiastowym spełnieniem ukraińskiego postulatu, ale mogłoby sprzyjać rozwojowi i zacieśnianiu kontaktów. Zresztą ubolewanie nad odwracaniem się GW i ISE od Ukrainy nie brzmi zbyt przekonująco, skoro jednocześnie autor odmawia powyższym porozumieniom istotnego znaczenia.

Odnosząc się do stanowiska Polski wobec tzw. Inicjatywy Krawczuka warto przypomnieć, bo najwyraźniej istnieje taka potrzeba, że jednym z podstawowych celów RP jest, sformułowana m.in. w „Założeniach polskiej polityki bezpieczeństwa” oraz „Polityce bezpieczeństwa i strategii obronnej Rzeczypospolitej Polskiej”, integracja z Unią Europejską i przystąpienie do NATO. Ewentualny udział w innych inicjatywach może być przez Polskę brany pod uwagę o tyle, o ile zbliża nasz kraj do realizacji głównego celu. Nawet zakładając, że ukraińska propozycja spełniała ten warunek (zarzucano jej ogólnikowość i nieprecyzyjność), warto przypomnieć, że została ona skierowana do wielu państw. Nie tylko od Warszawy zależał jej dalszy los, a reakcje innych stolic były sceptyczne, czy wręcz negatywne. Z tego samego względu nie została kiedyś podjęta idea NATO-bis prezydenta Wałęsy.

Jakiegokolwiek koncepcje wielostronnych związków mogą się urzeczywistnić jedynie wtedy, gdy wszyscy potencjalni członkowie wyrażą na to zgodę. Każde państwo ma pełne prawo do określenia swoich interesów i działania na rzecz ich realizacji, jeśli tylko nie występuje przeciwko normom prawa

międzynarodowego. Nawet jeśli konsekwencje takiego założenia nie są akurat zbieżne z naszym postrzeganiem spraw, powinniśmy przyjmować je do wiadomości. Obrażliwe epitety niczego tu nie zmieniają.

Inną kwestią jest ocena, czy priorytety zostały właściwie wyznaczone. Zdaniem B. Osadcuka, NATO nie jest w stanie wypełnić powstałej próżni bezpieczeństwa. Dlatego też remedium na środkowo-wschodnioeuropejskie problemy ma być „regionalny system bezpieczeństwa i kooperacji” ulokowany między Zachodem a Rosją. Zwolennik tej koncepcji sądzi, iż nowy twór funkcjonowałby sprawnie i z korzyścią dla wszystkich, a ewentualne słabe protesty mocarstwowego otoczenia nie miałyby większego znaczenia.

Czy naprawdę autor wierzy w tak proste rozwiązania? W jaki sposób proponowany — zresztą niejasno i zarysowo — system miałby działać, skoro tworzyłyby go państwa bardzo zróżnicowane: w części dość niestabilne wewnętrznie, borykające się z ogromnymi trudnościami gospodarczymi, społecznymi, ustrojowymi; państwa które czasem nie uregulowały jeszcze spraw istotnych dla wzajemnych stosunków? Jak miałyby się kształtować relacje tej grupy z Rosją? Przekonanie o jej niezależności — w sytuacji tak poważnego powiązania dawnych republik z Moskwą — nie wydaje się mieć silnego umocowania w rzeczywistości. Sądzę, że efektywność nowego systemu, nawet gdyby taki powstał, byłaby wątpliwa. Wbrew kategoriycznym stwierdzeniom B. Osadcuka, nie powoduje nami ślepy okcydentalizm sprzężony ze strachem przed Rosją oraz izolacjonistycznymi ciągotami wynikającymi ze sceptycyzmu wobec nowych państw. Naszym celem pozostaje zbudowanie demokratycznego państwa o gospodarce rynkowej, wpisanego w system bezpieczeństwa, którego zasady i sposób funkcjonowania są już znane. Co więcej, uważamy, że stopniowe rozszerzanie strefy bezpieczeństwa na Wschód będzie miało pozytywne znaczenie również dla Ukrainy. Znaczenie to będzie rosło proporcjonalnie do rozwoju współpracy polsko-ukraińskiej. B. Osadcuk zapewne zdaje sobie sprawę, iż nie jest niczym marzeniem pełnienie roli przedmurza. Proces rozszerzania strefy bezpieczeństwa będzie rozciągany w czasie. Od wszystkich zainteresowanych zależy, w jaki sposób czas ten zostanie wykorzystany.

B. Osadcuk dramatycznie pisze, iż osamotniona Ukraina została pozostawiona sama sobie. Oczywiście, można polemizować z tym sądem, ale nic nie zmieni prostej prawdy,



że atrakcyjność danego państwa dla partnerów jest związana przede wszystkim z jego rzeczywistością i — jedynie w pewnym stopniu — potencjalną pozycją. Doświadczyła i doświadcza tego Polska, przekonała się już o tym Ukraina. Przede wszystkim każdy musi pomóc sobie sam, co jest być może konstatacją gorzką, ale nieuniknioną. Żadne, nawet najbardziej zaangażowane wspieranie ukraińskich interesów i przedstawianie racji Ukrainy na Zachodzie, co strona polska czyni, nie zastąpi najmocniejszego argumentu, jakim byłyby sukcesy procesu transformacji na Ukrainie.

Polska jest zainteresowana rozwojem współpracy z Ukrainą. Aby przebiegała ona w sposób jak najbardziej płynny i naturalny, niezbędne jest lepsze poznanie wzajemnych oczekiwań. Zgodnie z koncepcją prezydenta L. Wałęsy, podjętą przez prezydenta Ukrainy L. Krawczuka, forum umożliwiający dyskusję nad kwestiami, które obie strony uznają za istotne, ma być Komitet Konsultacyjny Prezydentów Rzeczypospolitej Polskiej i Ukrainy.

Decyzja o utworzeniu Komitetu została podjęta w styczniu 1993 r. Po ustaleniu składów, opracowaniu statutu i przygotowaniu przez obie strony materiału obrazującego stan stosunków polsko-ukraińskich, w maju 1993 r. odbyło się w Kijowie pierwsze posiedzenie Komitetu. Komentując to wydarzenie B. Osadczuk stwierdził, iż jeśli inicjatywa nie przerodzi się w fikcję, to — jako „kuźnia idei i programów” — może mieć pozytywne znaczenie dla naszych narodów i państw.

Na ocenę nie musieliśmy długo czekać. Od pierwszego posiedzenia nie minęło jeszcze pół roku, a autor *Kultury* już obwieścił światu nicosć omawianej instytucji. Najwdzięczniejszym symbolem upadku wydało się B. Osadczukowi zainteresowanie Komitetu doprowadzeniem do uruchomienia tzw. „gorącej linii”. Cóż, realizacja takiego przedsięwzięcia nie jest taka prosta; wymaga ustalenia wielu szczegółów technicznych, finansowych, a przede wszystkim zmierzenia się z biurokracją. Członkowie Komitetu jedynie sformułowali odpowiednią sugestię traktując ją jako wskazówkę dla odpowiednich instytucji i własnego Sekretariatu.

Wracając jednak do poważniejszego tonu, chciałabym przypomnieć, że zadaniem Komitetu jest z jednej strony przygotowywanie odpowiednich propozycji dotyczących strategii stosunków polsko-ukraińskich, z drugiej zaś stała obserwacja aktualnego stanu wzajemnych relacji i interweniowanie w przypadku pojawienia się niekorzystnych zjawisk bądź nie-

prawidłowości w realizacji obowiązujących porozumień.

Ponieważ Komitet będzie się spotykał najprawdopodobniej dwa razy do roku, bieżącą pracą zajmą się komisje ekspertów. Dotychczas utworzono Komisję Ekspertów ds. Polityki Bezpieczeństwa i Komisję Ekspertów ds. Mniejszości Narodowych. Na swoim drugim posiedzeniu (w listopadzie 1993 r.) Komitet ustalił, że pierwsza z Komisji zajmie się m.in. oceną stanu bezpieczeństwa w regionie, druga natomiast opracuje porównywalne materiały nt. położenia polskiej mniejszości narodowej na Ukrainie i ukraińskiej mniejszości narodowej w Polsce.

Moim zdaniem, a byłam obecna podczas wszystkich w/w spotkań, jest wiele spraw, które wymagają pogłębionej analizy. Podczas debat okazywało się, że wymiana informacji i prezentacja własnych interpretacji jest bardzo potrzebna, gdyż pozwala zapoznawać się ze specyfiką myślenia drugiej strony. Szczególnie widoczne stało się to podczas obrad Komisji Ekspertów ds. Mniejszości Narodowych.

Do zrobienia jest bardzo wiele i jeśli tylko strona ukraińska będzie podtrzymywała gotowość do współpracy, jej efekty — przy obopólnych wysiłkach, co należy podkreślić — mogą być znaczące. Mam nadzieję, że B. Osadczuk będzie miał okazję zrewidować wówczas swoje pełne niewiary oceny.

Stosunkom polsko-ukraińskim na pewno służy krytyczne zainteresowanie, ale wydaje się, iż powinno ono być okazywane w sposób bardziej obiektywny i wyważony, niż czyni to p. B. Osadczuk. Gdy czyta się kolejne szkice odnosi się wrażenie, że dotknęliśmy już dna i nie mamy jakichkolwiek szans na odbicie się. Takie stanowisko nie przyczynia się do zmiany sytuacji, a chyba od znawcy spraw ukraińskich, jakim niewątpliwie jest B. Osadczuk, moglibyśmy spodziewać się konstruktywnych propozycji.

Warszawa, 20 stycznia 1994

Aldona CHOJNOWSKA

Aldona Chojnowska, sekretarz Komitetu Konsultacyjnego Prezydentów RP i Ukrainy.



*Zamieszczamy poniżej artykuł Bohdana Osadczyka odpowiadający na zarzuty p. Aldony Chojnowskiej. Redakcja Kultury podziela oceny p. Osadczyka. Od bardzo dawna wysuwaliśmy konkretne postulaty jeśli idzie o naszą politykę wschodnią, specjalnie wobec Ukrainy. Niestety bezskutecznie.*

#### REDAKCJA

## Stosunki polsko-ukraińskie

Wśród liberalnych i umiarkowanie konserwatywnych elit naszych krajów utarło się pojęcie, że wzajemne stosunki rozwijają się pozytywnie. Nie warto się więc o nie specjalnie troszczyć i wystarczy, aby od czasu do czasu odbywać spotkania na rozmaitych szczeblach drabiny państwowej. Natomiast trzeba się bardziej troszczyć o stosunki z Zachodem, pielęgnować wszechstronną współpracę z Niemcami, zalecać się do NATO, udawać że z Francją i z Czechami kwitnie przyjaźń — chociaż z Paryża i z Pragi wieje chłodem. I wreszcie patrzeć z genetycznym już po dziesięcioleciach treningu peerełowskiego strachem na panią-matkę Rosję i według jej zaleceń albo i kaprysów regulować stosunek do wschodnich sąsiadów.

Ogół społeczeństw po obu stronach Bugu wszystko to mało obchodzi z tym, że społeczeństwo ukraińskie jest najniepropolskie a społeczeństwo polskie tradycyjnie antyukraińskie. Rządy to mniej więcej wiedzą i odpowiednio do tego działają lub milczą. Władza w Kijowie nie potrzebuje się wstydzić propolskich sympatii wciąż jeszcze dominujących na całej Ukrainie z tendencją ujemną w geograficznym kierunku od wschodu do zachodu. Niedawno zresztą ambasador Polski na Ukrainie Jerzy Kozakiewicz publicznie wystawił swym gospodarzom jak najlepsze świadectwo. Wątpię, aby ambasador ukraiński w Warszawie Henadij Udowenko mógł się w podobny sposób zrewanżować. Musi on, niestety, od dłuższego czasu rejestrować nie tylko uwiad we wzajemnych stosunkach jeśli chodzi o partnera polskiego ale wręcz systematyczny odwrót od poprzednich postępów w okresie odzyskanej niepodległości Polski. Podnieśli tę sprawę niedawno w celnym rozważaniu Andrzej Romanowski w Krakowie i

Marek Nowakowski w Warszawie, przejmując się nią Jerzy Giedroyc w Paryżu, stale podkreśla wagę tych stosunków Zbigniew Brzeziński z dalekiego Waszyngtonu. No i co? Nie tylko nic, lecz gorzej niż nic. Wyłamuje się z tych karbów oficjalnej inercji szef resortu polityki zagranicznej, Andrzej Olechowski: Ukraińcy w kraju i za granicą są mu wdzięczni za odważne słowa wstawiennictwa w Waszyngtonie i Bonn. Ale Ameryka i Niemcy to nie Polska. A dzieło przywrócenia aktywności i rozbudowy stosunków należy rozwijać nad Wisłą i Dnieprem.

Owszem jest wiele pożytecznych rzeczy. Na pierwszym miejscu postawiłbym inicjatywy i imprezy urządzone pod egidą zapaleńca w Lublinie, profesora Jerzego Kłoczowskiego. W ogóle Lublin staje się poważnym ośrodkiem promieniowania idei wspólnoty dziejowej i kulturowej czterech narodów: Polski, Białorusi, Litwy i Ukrainy. Ukazuje się tam cenne pismo z ideą współpracy duchowej *Kresy*. Godne uwagi są rozmaite poczynania w Krakowie. Nawet w Warszawie nie wszystko jest blichtrzem i lipą. Wiele rzeczy robi Fundacja Batorego, działa polska sekcja ukrajinistów, pracuje Instytut Wschodni, ukazują się pisma specjalistyczne. Mimo to upowszechnianie idei konieczności naszych wspólnych sił i możliwości jest na miarę zadań i potrzeb absolutnie niedostateczne.

Tym bardziej, że siły wrogie temu zbliżeniu przejawiają niezwykłą żywotność, swą genezą sięgającą lat PRL. Grasują na przykład dwaj dyżurni od roboty antyukraińskiej panowie Jacek Wilczur i Edward Prus.

Ale Prus i Wilczur — to tylko wierzchołek góry lodowej. Za kulisami montuje się bowiem coś w rodzaju powszechnego bojkotu Ukrainy. Nie należę do zwolenników teorii spiskowej. Ale to, co opowiadają niektórzy znajomi z obozu rządowego, napawa obawą. Pierwszym zwiastunem tych machinacji nie jest milczenie premiera Pawlaka, choć i ono należy do tego repertuaru. Latem rzucono się — bez udziału ówczesnego rządu — na Ukraińca-wampira; obecnie z większą inwencją i poparciem kół oficjalnych sfabrykowano proces szpiegowski. Na próżno rząd ukraiński zwracał się dwukrotnie do rządu polskiego z wyjaśnieniem, że Łysenko nie miał żadnego oficjalnego upoważnienia od wywiadu ukraińskiego do zbierania jakichkolwiek informacji. Minister Milczanowski zbył te wyjaśnienia milczeniem. Tak nie postępują nawet rządy państw niezaprzyjaźnionych. Czyli, że komuś zależało na inscenizacji tego, do żywego przypomina-



jącego czasy peerelowskie, politkryminału. Nie otrzymawszy logicznej odpowiedzi od rządu polskiego, w Kijowie i we Lwowie ukuto dwie wersje. Jedna wychodzi z założenia, że inspiracja do procesu wyszła od agentów KGB siedzących w polskiej „dwójce”. Druga widzi w inscenizacji działanie czynników szowinistycznych, usadowionych w wojskowym sądownictwie polskim według tradycji sięgających aktu deportacji Ukraińców znanego pod kryptonimem „Wisła”.

Na domiar wszystkiego stało się to po szumnym utworzeniu Komitetu Doradczego prezydentów Polski i Ukrainy. Latem ubiegłego roku wydawało się, że instytucja weźmie na siebie odpowiedzialne zadanie inspirowania u władz wykonawczych pożytecznych idei realizowania programów bilateralnej współpracy w dziedzinie politycznej, ekonomicznej, naukowej i kulturowej, że się podejmie ambitnej misji udzielania zaleceń czynnikom rządowym, parlamentarnym, samorządowym, rozbudzaniem inicjatywy wśród ospałej biurokracji, poszukiwaniem rezerw celem uruchomienia i ożywienia współpracy. Sam byłem po powrocie Wałęsy z Ukrainy przez jakiś czas urzeczony tym eksperymentem. Kiedy wiedziony euforią zdradziłem moje nadzieje pewnemu bardzo wysokiemu urzędnikowi w gabinecie Hanny Suchockiej, usłyszałem krótką ocenę, „zobaczy pan, że to fikcja”. Miał rację. Okazało się bowiem, że jest to towarzystwo czysto kanapowe.

Jesienią szczycono się w Warszawie i w Kijowie rzekomym założeniem bezpośredniej linii telefonicznej między Belwederem i siedzibą Krawczuka przy ulicy Bankowej. Ale Komitet nie zdołał nawet przeszkodzić inscenizacji „procesu szpiegowskiego”. A co by było, gdyby doszło do poważniejszych opresji?

Na Ukrainie roi się podobno od polskich prawdziwych łapsów a nie podrabianych jak ów nieszczęsny bohater warszawskiego procesu przeciw „ukraińskiemu szpiegowi”, Łysenko. Ale jakoś nikt ich nie bierze do ciupy. Jest natomiast inna bardziej brzemienne sprawa, a mianowicie działalności polskich księży — misjonarzy, nawracających prawosławnych na wiarę rzymskokatolicką.

Na Ukrainie władze tolerują tę ekspansję obliczoną nie na opiekę duchową dla mniejszości polskiej obrządku rzymskiego, lecz na zdobywanie nowych dusz, co jest łączone oczywiście z akcją polonizacyjną. Większość tych misjonarzy nawet się nie nauczyła przedtem języka ukraińskiego. Rośnie w związku z tym wśród inteligencji ukraińskiej rozgorczenie wobec Watykanu, który ogłosił Ukrainę „krajem misyjnym”,

co znowu prawosławie rosyjskie wykorzystuje w propagandzie przeciwko „polskiemu papieżowi” i polonofilstwu części ukraińskiego kościoła prawosławnego. Czołowi ukraińscy intelektualisci we Lwowie wystosowali ostry protest przeciwko tolerowaniu tej działalności Watykanu do prezydenta Ukrainy Krawczuka. A przewodniczący Klubu Ukraińskiej Inteligencji Katolickiej we Lwowie, zresztą wielki przyjaciel Polski, Iwan Hreczko, pisze, że pogarsza to i tak już bardzo oziębłe stosunki pomiędzy wiernymi obrządku rzymskokatolickiego i greckokatolickiego, i nie widać też „żadnych dążeń do współpracy pomiędzy hierarchiami tych dwóch gałęzi katolicyzmu, które zaświadczyłyby wobec świata i wierzących obydwu wyznań, że poprzez Stolicę Apostolską tworzymy jeden Kościół Powszechny” — skarży się ukraiński działacz świecki.

Stosunki polsko-ukraińskie są obecnie nijakie — stwierdził ostatnio w dyskusji radiowej Marek Nowakowski. A wiadomo, że złe stosunki można polepszać, dobre dalej rozwijać, a nijakie? Nijak. Czyli: weszliśmy w okres inercji i musimy podjąć wysiłek wyjścia z niebezpiecznego impasu.

Bohdan OSADCZUK

## Odpowiedź na list p. M. Dakowskiego

W nr 9/1993 *Kultury* ukazał się list p. M. Dakowskiego w sprawie moich rzekomych błędów w traktowaniu sprawy czarnobylskiej (por. mój artykuł w nr 4 *Kultury* i uzupełnienie w numerze 7/8). Czytelnikom *Kultury* radzę się z tym drugim materiałem zapoznać po przeczytaniu listu p. D. (Przepraszam za stosowanie tej niezbyt uprzejmej metody skracania nazwiska wprowadzonej przez dr.hab. D.).

List p. D. niestety potwierdza to co wiadomo z rejestru naukowców polskich, że nie ma on od dłuższego czasu nic wspólnego z działalnością naukową i stąd płyną jego pytania i wątpliwości. Do pkt 1-3. Szkoda że p. D. nie przeczytał mojego artykułu w *Problemach* nr 11 z roku 1987, gdzie po polsku i przystępnie wyjaśniłem co to jest reaktywność reaktora,



co w nim wybuchło, jak to pożar grafitu rozproszadził materiał promieniotwórczy itd., i co najważniejsze co zrobiono żeby reaktory tego typu pracowały — i pracują z mniejszym ryzykiem. Dla Czytelników *Kultury* informacja: artykuł ukazał się w nakładzie 100 tys. egzemplarzy, jest ogólnie dostępny i został nawet dodatkowo dodrukowany przez Państwową Agencję Atomistyki w Warszawie i rozdawany bezpłatnie. Artykuł nigdy nie był krytykowany dzięki pełnej dokumentacji liczącej setki stron obiektywnych dokumentów i świetnej pracy redaktora *Problemów*, fizyka Andrzeja Gorzyna.

Do punktu 4: Istotnie, w bałaganie sowieckim zaginęło wiele danych niezbędnych dla prawidłowego wnioskowania o związku dawki ze skutkiem. Niestety bałagan żyje nadal w republikach. Wspominanie p. D. o liczbie likwidatorów 300–500 tys. podawanych przez „oficjalne źródła ukraińskie” każe współczuć tym źródłom i brakowi wyobraźni ich autorów: oto jak tworzy się dalsza dezinformacja. Obstaje przy twierdzeniu, że Rosjanie we własnym i nauki interesie prowadzą skrupulatne badania medyczne sporej, statystycznie znamiennej grupy „czyszcicieli”. Znam osobiście jednego z nich, zresztą naukowca zesłanego do Czarnobyla jako zwykłego robotnika i mogę tylko powiedzieć że jeżeli epidemiologom uda się odseparować efekty promieniowania od wieloletnich działań alkoholu i papierosów na obserwowaną grupę, to powinniśmy mieć poprawny radiobiologicznie obraz.

Co do punktu 5: Zwyczajna logika mówi, że jeżeli mieszkańcy nie śpią w ziemiankach i nie zjadają rosnącej wokół legowiska trawy, to śladowe skażenia nie mają prawie żadnego znaczenia (p. dalej pkt 7 o zwierzątkach). Jakikolwiek efekt biologiczny musi się rozpocząć od pochłonięcia dość znacznej dawki promieniowania.

Do punktu 6. Gdyby p. D. miał kontakt z dziedziną o której pisze, to nie stawiałby pytań w rodzaju gdzie się zdarzył incydent z wyrzuceniem na śmietnik medycznego źródła z cezem 137, bo jest to opisane w polskiej literaturze fachowej, ogólnie dostępnej. Zdarzyło się to w roku 1988, a nie było nagłaśniane przez media, jako że nie pasowało do obrazu „paskudnej” energetyki jądrowej; było wynikiem zwykłego bałaganu w brazylijskiej służbie zdrowia. Przypokro czytać że fizyk jądrowy nie umie sobie wyobrazić kilku tysięcy curie aktywności. W Polsce jest kilka o wiele większych źródeł — najbliższe p. D. w Warszawie. Jeżeli jest ciekaw źródła o aktywności 15 000 Ci, które można sobie poklepać po osłonie, to niech zadzwoni do naszego Instytutu Chemii i Techniki Jądrowej (11–23–47) i umówimy się na spotkanie. Dotyczy to zresztą każdego Czytelnika *Kultury*, bo nasz Instytut jest stale otwarty dla zaintereso-

wanych. Możemy w trakcie wizyty przyciemnić na żądanie okulary osobiste i pokazać parę innych sztuczek, demonstrowanych naszym gościom, nawet najbardziej wrogo ustosunkowanym do promieniowania i do naukowców. Żal ogarnia gdy fizyk zapomina to o czym wiedział i nie poszerza swojej wiedzy o to czego nigdy się nie uczył.

P. D. żąda bym mu udowadniał niektóre moje twierdzenia. To co jest do udowodnienia znajduje się w literaturze, którą winien poznać ten, kto pragnie zabierać głos. Bo z literaturą naukową jest tak jak z prawem: nieznanomość opublikowanego przepisu prawnego nie zwalnia od odpowiedzialności. W nauce nieznanomość opublikowanych faktów kompromituje naukowca i dlatego ten znaczną część swego czasu poświęca na drenowanie baz danych, abstraktów itd. — jeżeli chce być naukowcem.

Do pktu 7. W sprawie czarnobylskiej czekamy jeszcze na wiele publikacji, które są wynikiem żmudnych badań. Lojalnie o tym informowałem w moich artykułach. Powoli luki są zapełniane, o czym niżej. Nie ma jeszcze obiektywnej publikacji na ile wzrosły częstotliwości odchyień nowourodzonych od normy. Kłopot w tym, że odchylenia takie zdarzają się zawsze i dopiero statystycznie znamienne częstotliwość jest początkiem korelowania zjawiska z nowymi czynnikami, których nie było poprzednio. Na ziemiach b. ZSSR wielu statystyk nie prowadzono i nie ma z czym porównywać nowej sytuacji. Z góry zaznaczam, że nie można brać za miarę szkodliwości dla Człowieka tego, co obserwuje się być może na zwierzętach, które tarzają się w skażonej glebie i jedzą nie wiadomo co. Podobno po Polsce krąży wystawa słojów z denaturatem, w którym zanurzone są żmije o trzech głowach i inne tzw. w biologii potwornictwa. Były zawsze, pamiętam z dzieciństwa fotografie cieląt o dwóch głowach w prasie. A więc takie rzeczy zdarzały się często i znów nie wiadomo na ile jest ich więcej po Czarnobylu. Wyszło z mody, na szczęście, pokazywanie nieszczęsnych karłów w cyrkach, a przecież rodzą się nadal, mimo że ich rodzice nie sypiali w ziemi skażonej cezem 137 i nie mieli styczności z promieniowaniem w ogóle.

Spóźniony zapłon p. D. jest w pewnym sensie pożyteczny, bo pozwala przypomnieć co zdarzyło się w ciągu roku od chwili kiedy napisałem mój artykuł o Czarnobylu. A więc sami Rosjanie z Białorusinami udowodnili epidemiologicznie, że białaczki dziecięce w najbardziej skażonych terenach nie mają nic wspólnego z promieniowaniem (*The Nature*, 21.10.1993). Dalej, niezawisły sąd brytyjski, po szczegółowym zbadaniu sprawy, nie stwierdził związku białaczki u córki wieloletniego pracownika przemysłu nuklearnego, z domniemanym u niego, a nie udowodnionym uszkodzeniem spermy. Dalej, parlament ukraiński



przyłaczającą większością przegłosował dalsze kontynuowanie produkcji energii elektrycznej w Czarnobylu i rozwoju energetyki nuklearnej w ogóle. Dalej, niemiecki przemysł węglowy polega na subsydiach przemysłu nuklearnego (to już się w głowie nie mieści, ale udowadnia to *The Nature* z 4 listopada 1993). Dalej, oponentom krajowym polecam przeczytanie znakomitego reportażu *Gazety Wyborczej* (10 września 1993) co się dzieje z bunkrami w Międzyrzeckim Rejonie Umocnionym — oprócz nietoperzy opanowali teren narkomani i męty — giną ludzie, a przecież bunkry są tak ogromne że zmieściłyby się i subkultury, i nietoperze, i składowiska dowolnych odpadów, wzajemnie sobie nie szkodząc a dając trochę porządku i pożytku społecznego, itd. itd. Wszystko to potwierdza moje poprzednie wypowiedzi, z których się nie wycofuję, przeciwnie, dziś jeszcze ostrzej wystąpiłbym przeciw hysterii, kłamstwom i złośliwym pomówieniom.

Nie mogę przedłużyć tego listu więc zapewniam wszystkich niezadowolonych i rozczarowanych małą liczbą szkód wyrządzanych przez energetykę nuklearną, medycynę i pokojowe zastosowania, że zapewne do końca świata co rusz będzie ktoś wytyczał przeciwko promieniowaniu różne armaty. Czasem nie wiadomo po co — np. pismo rotarianów utrzymywało w październiku roku 1992, że „opad radioaktywny” Czarnobyla dotknął 300 tysięcy dzieci, z których 40 tysięcy umrze do końca roku! *The Rotarian* powoływał się na oficjeli szpitalnych w Moskwie (cytuję za *The Bulletin of the Atomic Scientists*, listopad 1993). Ten fałszywy banknot zaintrygował mnie szczególnie, bo jaki interes, na miły Bóg, mogą mieć w tej sprawie masoni? Czuję się szczęśliwy, że w końcu lat 50-tych jako stypendysta British Council w Anglii odrzuciłem propozycję czeladnikowania w loży. Zapewne dlatego w życiu nie zrobiłem większej kariery. Ale za to mogę mówić i pisać prawdę, nie głosząc tego co mi ktoś każe robić, w niejasnych celach.

W drukowanie fałszywych banknotów antynuklearnych zaangażowanych jest mnóstwo osób prywatnych i organizacji i trzeba przyznać że fałszerstwa są czasem tak dobre, że wiele trudu potrzeba na ich identyfikację. Wszedł w to wszystko też wielki biznes adwokacki: co szkodzi spróbować naciągnąć bogate państwa na odszkodowania, że się na coś zachorowało, bo 40 lat temu delikwent służył w wojsku na poligonie nuklearnym? Połowa dla mnie — mówi adwokat — połowa dla ciebie, ryzyko moje. Każda fałszywka zaczyna się od nie dającej się określić dawki (bez tego nie ma dyskusji), ani rodzaju izotopu. „O wszystkim decyduje dawka” głosił dawno, ale słusznie Paracelsus.

Szczególnym producentem paniki jest *Greenpeace*, który nie dba o fakty i stara się tylko o sianie zamętu. Nasz Kraj rzadko

jest nawiedzany przez *Greenpeace* — nie ma potrzeby. Panowie w rodzaju p. D., Wierusza, Jaśkiewicza, Bojarskiego dbają o utrzymanie atmosfery antynuklearnej. W lecie ubiegłego roku urządzono festiwal jazzowy w Żarnowcu, na który najęto blażnów w kostiumach z symbolami radioaktywności, którzy tarzając się nad jeziorem sławili wstrzymanie tej inwestycji, co pokazano w TV. Na poważniejszym odcinku podjudza się tzw. opinię publiczną, by nie dopuścić do budowy elektrowni nuklearnej w Żarnowcu, gdzie przecież pozostała jeszcze infrastruktura warta ok. 100 mln dolarów. Tylko sięść i zapłakać.

Ponieważ *Kultura* zajmuje się szerszym od partykularnego spojrzeniem na poruszane zagadnienia zwracam uwagę socjologów na sprawę Czarnobyla jako element filozofii i polityki straszenia. Marzy mi się, by ktoś kontynuował to, co zrobiono kiedyś rozważając mechanizmy i skutki straszenia w różnych epokach — o ile wiem nie zrobiono jeszcze tego dla strachów nuklearnych. Gdyby socjologowie, politolodzy i historycy chcieli zrobić dyskusję na temat straszenia w obecnym świecie, to służę odcinkiem nuklearnym.

Pan dr habil. M. Dakowski raczył pochwalić się swoim stopniem naukowym w podpisie do listu. Uważam, że w publicystyce nie powinno to mieć miejsca i raczej nie jest stosowane. Ale zmuszony, kreślę się stopniem i tytułem

Prof. dr habil. Z.P. ZAGÓRSKI

## WAWEL

### PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne  
oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.  
Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.



## KRAJ — BLOK WSCHODNI

15.02.94

Zmarł w Warszawie w wieku 91 lat Wacław Korabiewicz, wilnianin, założyciel Klubu „Włóczągów”, harcerz, żeglarz, autor wielu książek podróżniczych.

23.02.94

Zmarł w Warszawie w wieku 81 lat poeta, krytyk literacki i tłumacz Zbigniew Bieńkowski.

24.02.94

Nagrodę *Przeglądu Wschodniego* otrzymali *ex aequo* Stanisław Sławomir Nicieja i Edmund Małachowicz. Laudację wygłosił prof. Aleksander Gieysztor.

25.02.94

Zmarł w Warszawie w wieku 80 lat mecenas Władysław Siła-Nowicki, słynny obrońca w procesach politycznych z okresu PRL.

1.03.94

Na Uniwersytecie w Poznaniu ma powstać w najbliższym czasie Instytut Wschodnioznawczy. Będzie on kształcił w zakresie języka białoruskiego, ukraińskiego i litewskiego i dawałby orientację ekonomiczną, prawną, kulturalną i historyczną.

5.03.94

Zmarł w Warszawie w wieku 83 lat Jan Dobraczyński, pisarz katolicki, autor wielu książek.

7.03.94

Zmarł w Warszawie w wieku 70 lat Józef Pajestka, ekonomista, długoletni prezes Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego, były wieloletni redaktor miesięcznika *Ekonomista*.

## ZACHÓD — EMIGRACJA

28.01.94

Nagrody Fundacji Alfreda Jurzykowskiego za rok 1993 otrzymali: w dziedzinie medycyny — George O. Studziński, profesor Szkoły Medycznej w New Jersey; w dziedzinie biologii — Marek Zembala z Krakowskiej Akademii Medycznej; w dziedzinie matematyki — Henryk Toruńczyk z Instytutu Matematyki Polskiej Akademii Nauk; w dziedzinie astronomii — Aleksander Wolszczan z Uniwersytetu Stanowego w Pensylwanii; w dziedzinie filozofii — Czesław Lejewski, profesor na Uniwersytecie Manchester w Wielkiej Brytanii; w dziedzinie historii — Jó-

zef Andrzej Gierowski, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego; w dziedzinie nauk społecznych — George Lenczowski, profesor nauk politycznych wielu amerykańskich uniwersytetów; w dziedzinie literatury — Ewa Lipska, poetka; wicedyrektor Instytutu Polskiego w Wiedniu; w dziedzinie muzyki — Krzysztof Meyer, kompozytor i wykładowca Musikhochschule w Kolonii. Za tłumaczenia otrzymali wyróżnienia: Richard Lourie, tłumacz literatury polskiej na język angielski oraz Lillian B. Vallee, tłumaczka Czesława Miłosza, Witolda Gombrowicza i Adama Zagajewskiego.

1.02.94

Redaktorem miesięcznika *Orzeł Biały* w Londynie został Wiktor Moszczyński na miejsce J.N. Bilińskiego, który przeniósł się na stałe do Polski.

10.02.94

W Instituto Valenciano de Arte Moderno — Centre Julio González w Walencji odbył się wernisaż wystawy: „Władysław Strzemiński 1893-1952 w setną rocznicę urodzin”. Wystawa będzie trwała do 24 kwietnia br., potem zostanie przeniesiona do Kunstmuseum w Bonn (10 maja-7 sierpnia br.). Wystawa została zorganizowana staraniem Muzeum Sztuki w Łodzi.

15.02.94

W dniach 12-15 maja br. w Domu Polskim Jana Pawła II w Rzymie odbędzie się zebranie Rady Koordynacyjnej Polonii Wolnego Świata.

25.02.94

Staraniem Stowarzyszenia Polskiego w Genewie odbył się odczyt ks. prof. Józefa Tischnera na temat „Polska na zakręcie”.

15.03.94

W Instytucie Polskim w Paryżu odbył się wieczór „L'âme slave à Paris”, na który składały się piosenki Kabaretu „Pawna pod Baranami”.

16.03.94

W Bibliotece Polskiej w Paryżu staraniem Towarzystwa Historyczno-Literackiego miał miejsce odczyt prof. Michała Tymowskiego, w którym prezentował on swoją ostatnią książkę „Najkrótsza historia Polski”. Poprzednio miał miejsce wieczór zorganizowany przez Tow. Historyczno-Literackie i Towarzystwo Polsko-Ukraińskie, w którym Wołodymyr Małynowycz, prezes Towarzystwa Polsko-Ukraińskiego i dyr. *Słowa Ukraińskiego* (Paryż i Kijów) mówił o „Wpływie przeszłości na teraźniejszość i przyszłość Ukrainy”. Ponadto była omawiana książka Józefa Darskiego „Ukraina: historia, teraźniejszość, konflikty narodowe”.

12.04.94

W Institut Catholique de Paris — Centre d'Etudes Slaves, Section Polonaise odbył się odczyt Witolda Zahorskiego *Le Primat de Pologne, cardinal August Hlond et les crimes commis par les puissances totalitaires*



en 1939-1945. Poprzednio miały miejsce następujące wykłady: 18 stycznia: Krzysztof Rutkowski — *La vision de l'Europe professée au Collège de France par Adam Mickiewicz*; 1 lutego: Krzysztof Rutkowski — *Mickiewicz et les Français: l'histoire d'une amitié — Henri Burgaud des Marets, traducteur des „Aieux” et „Konrad Wallenrod”*; 1 marca: Marie-Thérèse Vido-Rzewuska — *„Aujourd'hui c'est mon anniversaire”*; l'oeuvre ultime de Tadeusz Kantor; 15 marca: Edmond Marek — *Kochanowski, poète et humaniste*.

## KOMUNIKAT

### FUNDACJA POMOCY BIBLIOTEKOM POLSKIM

potwierdza otrzymanie kolejnych darów na rzecz bibliotek, przekazanych w lutym 1994 roku. Dziękujemy:

- Agencji Autorskiej OFFMAX za przekazanie 2.000 egz. książek
- Wydawnictwu Naukowemu OPEN za przekazanie 400 egz. książek
- Wydawnictwu IZAN za przekazanie 20 egz. książek
- Pani Zofii Szanter za przekazanie 140 egz. książek
- Pani Marii Nowickiej za przekazanie 59 egz. książek
- Panu Karolowi Szawłowskiemu za przekazanie 55 egz. książek

Otrzymane pisma i książki przekazujemy nieodpłatnie bibliotekom w kraju i za granicą. Dla tych, którzy zechcą wesprzeć finansowo idee Fundacji, podajemy numer naszego konta: Fundacja Pomocy Bibliotekom Polskim, PBK III Oddział w Warszawie, nr konta 370015-975148-132-3.

Nasz adres:

FUNDACJA POMOCY BIBLIOTEKOM POLSKIM,  
ul. Hoża 29/31, 00-524 WARSZAWA,  
tel. 621-70-75, tel./fax 628-42-57.

## Listy do Redakcji

Paryż, 11.03.94

Szanowny Panie Redaktorze,

Pańska życzliwość i nasza współpraca trwająca prawie pół wieku dają mi odwagę, by jeszcze raz skorzystać z łamów Jego pisma.

Od ogłoszenia w listopadowym numerze *Kultury* o zamknięciu „Libelli” i „Galerii Lambert”, otrzymałem tyle listów i innych dowodów życzliwości od naszych Przyjaciół i Klientów, że po prostu fizycznie nie stać mnie na odpowiedzenie każdemu z osobna. Chciałbym więc za Pana pośrednictwem, jeżeli to jest możliwe, złożyć im podziękowanie.

Dla mnie te 47 lat to była najważniejsza część życia. Miło mi wiedzieć, że i w ich życiu „Libella” i „Galerie Lambert” zasłużyły sobie na pamięć. To dla mnie bardzo cenne. I za to wszystkim najserdeczniej dziękuję.

Kazimierz ROMANOWICZ

Warszawa, 6 marzec 1994 roku

Szanowny Panie Redaktorze!

Wielu Polaków w kraju, a zapewne i za granicą, z najwyższym niepokojem śledzi falę politycznych i prasowych enuncjacji rosyjskich, w których coraz mocniej pobrzmiewa ton wielkomocarstwowy w stosunku do Polski. Niestety, elity polityczne i intelektualne w Polsce wybierają strusią politykę wobec tych wystąpień; przy czym najczęstszym argumentem jest teza, iż dzisiejsza Rosja to już coś innego niż ZSSR. Ten argument trzeba niestety odrzucić nie tylko z racji podobieństw obu tych państw, ale także z powodu, iż w czasach PRL sowietyzacja nader często szła w parze z rusyfikacją, a ambasador sowiecki pilnował, by w druku nie pojawiały się treści „antyrosyjskie”. Niżej podpisanemu cenzura zdjęła artykuł o Dostojewskim to właśnie podając za przyczynę — a w *Przeglądzie Katolickim* jeszcze w 1988 r. dwukrotnie ingerowała w tekście Conrada o rozbiorach.

Może na emigracji ktoś zareaguje na wysoki ambasadora Kaszlewa? Na polski prasowy i polityczny establishment już przestałem liczyć.

Piotr SKÓRZYŃSKI



Oxford, 26 lutego 1994 roku

Szanowny Panie Redaktorze,

Czytanie tekstu w języku polskim Bernharda Haeringa (o którym jest jeszcze osobna wzmianka w *Kulturze* nr 1/556-2/557, 1994) przypomniło mi niezwykłą przygodę, jaka spotkała go wiosną 1945 r. na Helu, gdzie ten niemiecki kapłan redemptorysta spolonizował się do tego stopnia, że przez następne kilka miesięcy nawet w opinii władz sowieckich uchodził za autentycznego proboszcza lokalnej parafii. Dowiedziałem się o tym w rozmowie z nim, w Oxfordzie, ok. 1970 r. Ks. Bernhard Haering, służąc jako sanitariusz w wojsku niemieckim, był zimą 1942 r. pod Stalingradem. Skutkiem nie skoordynowanych przesunięć jednostek armii znalazł się wraz z grupą żołnierzy poza pierścieniem, jaki zaciskał się wokół Niemców. Nie chcąc pójść do niewoli sowieckiej, przedarł się na zachód do Jastarni. Tam otrzymał sutannę i zgodził się pozostać wśród polskich przyjaciół w charakterze proboszcza. Dopiero jesienią 1945 r. pojechał do wschodniego Berlina, skąd przostał się do RFN, do rodziny. Gdy w latach 50-tych powstała Academia Alfonsiana wszystkie katedry otrzymali redemptoryści i dr Bernhard Haering wykładał teologię moralną.

P. Antoni Pospieszalski pomylił się, pisząc w *Tygodniku Powszechnym* (Nr 3, str. 7): „Ojciec Haering, były profesor rzymskiego Gregorium”. Academia Alfonsiana podlegała Uniwersytetowi Laterańskiemu.

Łączę wyrazy szacunku

Wiesław F. TOPOROWSKI

## OŚWIADCZENIE

W artykule Dory Kacnelson pod tytułem „Polscy naukowcy w Wilnie i Lwowie” zamieszczonym w numerze 12/555/1993 miesięcznika *Kultura* na stronach 44-47 znalazły się twierdzenia autorki niezgodne z prawdą i pomawiające mnie o postępowanie poniżające w opinii publicznej i narażające na utratę zaufania, potrzebnego do wykonywania zawodu adwokata.

Powyższe pomówienie stanowi przestępstwo, opisane w art. 178 polskiego kodeksu karnego.

Niezgodne z prawdą jest m.in. twierdzenie Dory Kacnelson, że „polski mecenas Makowski z Warszawskiego Zespołu Adwokackiego Nr 40 prowadzi sprawę o oddanie na własność synowi Mikołaja Herciuka willi położonej przy ulicy Czeremszyny 29 we Lwowie, stanowiącej własność Witolda Dunin-Wąsowicza zamieszkałego w Sopocie”.

Jerzy Z. MAKOWSKI  
Adwokat

## ODPOWIEDZI REDAKCJI

*Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.*

*B.W., Polska* — Pisze Pan o swoim „jakby dokumentalnym spojrzeniu na rzeczywistość czterech ostatnich lat w Polsce”. Uradowała nas ta zapowiedź w Pana liście, bo współczesna proza polska odwróciła się prawie całkowicie od bieżącej rzeczywistości. Niestety, Pana opowiadania są zbyt dydaktyczne, za dużo zawierają komentarzy autorskich, nie mogą więc dać oczekiwanej obrazu dzisiejszego życia polskiego. Trzeba opisywać możliwie precyzyjnie, a komentarze pozostawić czytelnikom.

*E.W., Polska; Z.N., Polska; C.Z., Polska* — Z wierszy nie skorzystamy.

*A.L., Polska* — Pana opowiadanie *Granica* robi wrażenie bajeczki dla niegrzecznych dzieci. Kompleks granicy świetnie pokazał kiedyś Mrozek w jednej ze swoich jednoaktówek.

*M.K., USA* — Wybraliśmy do druku wiersze *Starość* i *Psia tęsknota*.

## SPROSTOWANIA

W nrze 12/555 *Kultury* w artykule Leszka Szarugi „O Polsce w Niemczech” został popełniony nieprzyjemny błąd w przekładzie tytułu omawianej książki. Zamiast „Kultura w dobie przełomu” podano „Kultura w dobie przemysłu”. Przepraszamy autora i czytelników. (*Redakcja*)

W grudniowym numerze *Kultury* z 1993 r. w „Nadesłanych nowościach wydawniczych” (str. 140) odnotowaliśmy „Poezje zebrane” Adama Czerniawskiego podając mylnie, że wydawcą był PPHU „Wist. Poligrafia” w Zgierzu, podczas gdy wydawcą jest łódzka *Biblioteka*. Przepraszamy (*Redakcja*).



—	Wydarzenia miesiąca .....	154
—	• Komunikat Fundacji Pomocy Bibliotekom Polskim .....	156
—	• K. Romanowicz, P. Skó- rzyński, W. F. Toporowski: <i>Listy do Redakcji</i> .....	157
Adw. J.Z. Makowski:	<i>Oświadczenie</i> .....	158
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i> .....	159
Redakcja:	<i>Sprostowania</i> .....	159

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI  
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE  
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.  
Commission Paritaire N° 60789.  
Dépôt légal: 2<sup>m</sup> trimestre 1994.

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.  
42, av. de Wagram, 75008 Paris  
Imprimé en France.  
N° d'imprimeur 2584-1994

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
<b>Ceny na rok 1994</b>			
AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181 .....	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires .....	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32, York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248 AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114 .....	\$A. 15,00	\$A. 90,00	\$A. 160,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» .....	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» .....	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd .....	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu .....	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/11, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623 .....	F. 20,00	F. 110,00	F. 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv, tel. i FAX: (3) 5606311 .....	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5, Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crs., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Very rev. D.M. Malinowski, 3817 Laurel Dr., Royston, B.C., VOR 2V0. Tel.: (604) 338-80-40; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, Tel.: 545-2115; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifches, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 230 82 60, FAX (613) 235 01 63 .....	\$ can. 13,00	\$ can. 75,00	\$ can. 140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessesstrasse 39/41, Postfach 340108, D 80328 München. Tel.: (089) 52-20-27; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, I. Tel.: 0221/24-61-60 NORWEGIA: Zb. Tyszkó, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55 .....	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 4, Avenue Cardinal Mermil- lod, 1227 Carouge/GE, tel.: 343 05 84 .....	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWECJA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» lub na konto pocztowe jak poniżej U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Mil- waukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; Halina Kościuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wójcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 594-2386 .....	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210 .....	\$US 11,00	\$US 60,00	\$US 116,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06)77-20-15-58 .....	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 600; półroczna — F. 320.  
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.  
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (z Francji)  
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy).



## Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 476 — SMECZ

### Z UKOSA

Wybór felietonów o Polsce od maja 1990 do sierpnia 1992.

Str. 224

Cena F. 95,00



TOM 477 — ROMAN ZIMAND (Leopolita)

### MATERIAŁ DOWODOWY

Szkice drugie

Str. 312

Cena F. 120,00



TOM 483 — ZESZYTY HISTORYCZNE

### ZESZYT STO SIÓDMY

zawiera opracowania: A. Nowak: *Polityka wschodnia Józefa Piłsudskiego (1918-1921)*; E. Nowak: *Z archiwum obozu pracy w Łambinowicach (1945-1946)*; T. Mianowicz: *Między zbawieniem a polityką*; N. Kłosowska-Wohlman: *Wojna i druga młodość*; D. Mostwin: *Portret lekarza*; P. Mitzner: *Wspólne miejsce — Europa Wschodnia*; N.F. Bugaj: „Specjalnateczka Stalina”: *Deportacje i reemigracja Polaków; Siedem listów Polaków spec-przesiedleńców w ZSSR*; J. Tischler: *Reakcje w Polsce na wiadomość o procesie i straceniu Imre Nagya*; Marek Rudzki: *Korespondencja Adama Rudzkiego z min. Adamem Rapackim*; M.A. Balińska: *Korespondencja Ludwika Rajchmana*; M.A. Supruniuk: *Tajne publikacje*; J.R. Krzyżanowski: *Pamiętnik zdrady*; J. Lewandowski: *Polacy i Finowie w 1944 r.*; OKRUCHY HISTORII I LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 90,00.

**Cena 55 F**